http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

OFIARY.

http://rcin.org.pl

OTIARY.

http://rcin.org.pl

OFIARY.

POWIEŚĆ

przez

TEODORA TOMASZA JEŻA.

Tom II.

WARSZAWA,
NAKŁADEM KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA.
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.

1874.

http://rcin.org.pl

Дозволено Цензурою.

Варшава дня 8 (20) Мая 1874 года.

w Drukarni „WIEKU" (J. Noskowskiego), ulica Mazowiecka Nr. 4.

http://rcin.org.pl

I.

Znałem czasu onego pewnego literata chybionego, zamieszkującego te właśnie okolice, które służą za teatr powieści naszej. Literat ów nie pisywał ani dramatów, ani powieści, ani rozpraw żadnych mniej więcej filozoficznych, ani krytyk, ani wierszy nawet. Miał żyłkę do pamiętników, sprawił sobie księgę dużą *in folio* i postanowił napisać w niej coś dnia każdego. Miał się trzymać tej reguły pracowników pióra: *nulla dies sine linea.* Księga ta miała być żywą księgą wypadków powszednich, zdarzonych za życia literata, miała być wiernym obrazem życia domowego. Znajomy mój marzył o sławie latopisca strzechy wiejskiej. Wziął się do dzieła szczerze, gorliwie. Pisał. Oglądałem tę księgę w lat piętnaście od narodzenia się jej. Pierwszy rok dostarczył materyału obfitego, zajął kart z piętnaście bitem pismem, drugi coś około dziesięciu, trzeci dwie i pół, od czwartego zaś zaczynał się czysty papier i szedł przez wszystkie lata następne.

— Zaniechałeś kolego...—rzekłem, widząc to.

— Musiałem... Powtarzać się nie chciałem... W każdym roku powracało jedno i to samo z regularnością kalendarzową...

Wyrażenie to „regularność kalendarzowa“ przyszło mi na myśl, gdym się zastanawiał nad dalszym opowiada-

http://rcin.org.pl

nia niniejszego rozwojem. Zadałem sobie pytanie, jak je prowadzić?—czy chronologicznie, czyli też jakoś inaczej? Chronologiczność wepchęłaby powieść w formy kalendarzowe, wielce szanowne, ale nie wiem dla czego wstrętne. Odrzucam więc je a chwytam się sposobu „jakiegoś innego“, i zadając gwałt czasowi i przestrzeni, wprowadzam czytelnika do izdebki, mającej, w powieści niniejszej, charakter niespodziankowy, a to z tego powodu, że nie przypada ona do miary sielskości, z której opowiadanie nasze dotychczas nie wychodziło.

Szczupła i brudna. Ściany po mularsku wyprawne, wapnem osmarowane, lecz i z boków i na suficie poznaczone plamami wyprawy poodpadałej. Okno jedno ośmioszybowe i drzwi jedne noszące na sobie świadectwo staranności roboty stolarskiej, ale obdrapane i powalane. Podłoga powygniatana, postrzępiona i powypalana. Pod jedną ze ścian piecyk żelazny z rurą w okno wyprowadzoną, pod drugą łóżko, pod oknem stolik z szufladką, dwa stołki, trochę naczynia, skrzynka w kącie, wszystko proste i ubogie, oto meble i sprzęty, jakie izdebkę tę zapełniały, pozostawiając, mimo szczupłości, miejsca swobodnego dosyć. W chwili, w której czytelnika do niej wprowadzam, rozpatrzeć się w niej nie sposób, albowiem na dworze słońce zaszło od godziny już przeszło i zalewa ją ciemność zupełna prawie, pochodząca nie tyle od ciemności zewnętrznej, ile od wznoszących się za oknem murów wysokich, zasłaniających niebo. Ztąd sprawia ona effekt więzienny. Posępno w niej i chłodno, pomimo lato upalne. Rozpatrując się atoli w ciemnościach uważnie, widzieć się daje osobliwość jedna, nasuwająca się w rodzaju niespodzianki: postać ludzka, siedząca na łóżku—postać kobieca z dzieciątkiem na kolanach Dziecko kwili od czasu do czasu, wówczas kobieta nogą ki-

http://rcin.org.pl

wa i uspokoić je się stara za pomocą śpiewu naśladującego szypienie:

— Sz-sz-sz-sz.

Gdy to nie pomaga, piersią mu usteczka zatyka.

I nie rusza się z siedzenia swego. Gdyby nie owo „sz-sz-sz“ i nie kiwanie nogą, rzekłbyś, że to manekin, naśladujący kształty człowiecze.

Razy parę westchnęła głęboko.

Coraz to ciemniej, czas mija, kobieta nie rusza się, jakby ślubowała sobie niezmienianie pozycyi na łóżku. W izdebce cisza, przerywana niekiedy kwileniem dzieciątka i szypiącym śpiewem matki, za izdebką zaś gwar głuchy, podobny do gwaru wielkomiastowego, składającego się ze zgiełku ludzi i turkotu pojazdów na bruku. A i z pobliża, z poza ścian izdebki, dochodzą odgłosy, to rozmów, to śmiechów, to znów stąpania ludzkiego jakby po schodach, przesuwającego się niekiedy tuż obok drzwi zamkniętych.

Jedno ze stąpań zatrzymało się przed progiem, klamka zaszeleściła, drzwi się otworzyły, do izdebki wszedł mężczyzna i zapytał:

— Jest tu kto?...

— Któżby miał być, jak nie ja!...—odpowiedziała kobieta.

— Czemuż nie zapaliłaś światła?...

— Jakiego?... Z wczorajszego ogarka nie zostało nic, a gdyby i ogarek pozostał, to zapałek nie ma...

Mężczyzna nic na to nie odrzekł. Postąpił kroków kilka, drzwi nie zamykając, coś na stoliku położył, coś na jeden ze stołków rzucił, obok piecyka cisnął wiązankę drzewek i wyszedł.

Kobieta nie ruszyła się, tylko sobie pod nosem powiedziała:

http://rcin.org.pl

— Drzwi otworem zostawił...

Słowa te nie miały akcentu wymówki, konstatowały jeno fakt.

Mężczyzna niebawem powrócił, drzwi zamknął i wnet o ścianę siarnik zapalił. Błyszczało światło, zrazu jasne od fosforu, następnie sinawe, niepewne od siarki i zgasło.

— A!...—krzyknął mężczyzna z przyciskiem. Jeszcze dwa... Jeżeli i te dwa takie dobre jak ten jeden, to... chyba... siadaj i płacz...

— A świeca?...—zapytała kobieta.

— Świeca jest... Kupiłem... Ale mi już nie starczyło na paczkę siarników... Żądałem kilka w dodatku; dał mi kramarz trzy, ale ot jakich!... Cóż teraz?...

— Próbować...—odparła kobieta spokojnie.

— Próbować... powiadasz... A jeżeli się próba nie uda?...

— Nie będzie ciemniej jak jest...

— I to prawda... Ha!...

I z ostrożnością wielką pociągać zaczął zapałką po ścianie, zrazu zlekka, następnie coraz to mocniej, aż płomyk błysnął, fosfór się spalił, siarka zajęła, mężczyzna do płomyka knot przyłożył i ogieniek zgasł.

— Psia wiara!...—zawołał zapalacz nieszczęśliwy.— Jak ten jeden jeszcze zawiedzie!...

— To po ciemku zostaniemy...—rzekła kobieta.

— Z apewne... Tylko że ja tam przyniósł skombryę jedną, cebul dwie, soli i chleba bochenek, a przytem i drew trochę, tobyśmy powieczerzać mogli... A tak nie będzie jak skombryi ugotować...

— Zkądżeś ty to wszystko wziął?...

— Kupiłem...

- Tak, ale zkądżeś wziął pieniędzy na kupienie...?

Dziś rano, odchodząc do magazynu, nie miałeś ani pół kopiejki, a wypłata tygodniowa dopiero jutro wypada...

— Pożyczyłem...

— U kogo?...

— U sałdata... Ten sałdat to poczciwy człowiek... Prosiłem żyda, ale... a!... Chciał, żebym mu za złotówkę odstąpił połowę wkładki mojej na loteryę, która się jutro rozegrywa... Dawałem mu czwartą, trzecią część... nie, psiakość!... uparł się przy połowie... Sałdat słyszał, jak się z nim umawiałem... no... i wziął ita pożyczył...

— Och, ta loterya!...—westchnęła kobieta.

— Ha!... zobaczymy...

— Jakżeby się tych trzydzieści karbowańców teraz przydało!...

— Możemy mieć sto i dwieście... i więcej nawet...

— Albo nic...

— Albo i nic...—potwierdził mężczyzna.

— Oj, ten żyd!... Mówiła ja tobie, nie daj się podmówić... Nie posłuchałeś... Ot i masz teraz...

Westchnęła.

— Cóż robić!...—odrzekł mężczyzna i także westchnął.

— Jeszcześ, jak na toż, ty dał większą połowę, więcej jak sałdat i żyd razem... Jak przegrasz, to stracisz trzy razy tyle, co każdy z nich...

— A jak wygram, trzy części mnie, a czwarta na nich dwóch...

— Czyż wygrasz?...

— Zobaczymy... Jeżeli się ten siarnik zapali, wygram...

— Nie!... nie!...—zawołała kobieta.

— Stało się... Słowo się rzekło... Niech się dzieje wola boża!... *pułkownik* albo *pakojnik*, jak sałdat powiada...

http://rcin.org.pl

Pociągnął po ścianie siarnikiem ostatnim, pokazał się ślad fosforycznego blasku pod postacią linii niby parującej, zapałka się wcale płomieniem nie zajęła.

— Widzisz?... a co!...—odezwała się kobieta tonem wymówki. Nieszczęście!...

— Co za nieszczęście...

— Przepadło karbowańców trzydzieści...

— Przepadło nie dla tego, że się siarnik nie zapalił, ale siarnik się nie zapalił dla tego, że przepadło... Dowiedzieliśmy się o tem dniem jednym wcześniej, nie będziem się więc oskomili na wygranę... To i lepiej... To jednak gorzej (tu westchnął), że i skombrya jest, i sól jest, i cebula jest, i drwa są, a nie ma jak wieczerzy ugotować...

— Ach! do gotowania jużbym i ochoty nie miała... Karbowańców trzydzieści przepadło... mój ty Boże!... Ja mówiła, prosiła: chcesz spółki, niechże będzie po równemu... Dają oni po pięć, daj i ty pięć... Uparłeś się, ten żyd... bogdajby się powiesił!... skusił ciebie... żony nie posłuchałeś... przepowiadałam, że przepadnie... ot i na mojem stanęło... Ot, co to z żydami się wdawać!... Oj, hołowkaż moja biedna!...

Wtem dziecko zakwiliło.

— Sz-sz-sz...—poczęła kobieta.

— Toż dla dziecka potrzebaby, żebyś coś zjadła... Dziś już dzień trzeci jak nie kosztowałaś strawy gotowanej... Musi ci pokarmu braknąć...

— Et...—odparła kobieta tonem złego humoru.

— Czy ono ma tam co?...

— Licha ma!... Ciągnie, aż mnie w pieczonkach boli.

— Biedne ono... Trzeba więc ugotować...

— Ugotuję jutro...

http://rcin.org.pl

— Skombrya do jutra zepsuje się na gorącu takiem...

Kobieta nic na to nie odpowiedziała i nie ruszyła się. Kiwała nogą i przyśpiewywała.

— No...—tonem zachęty łagodnej odezwał się mąż.

— Jakże i przy czem ugotuję?...—odparła żona.

Nastała chwilka milczenia, w ciągu której dało się słyszeć stąpanie na schodach i błysnęło światło przez szczelinę drzwi. Ktoś ze światłem przechodził. Mężczyzna wnet wyszedł i powrócił, niosąc w ręku świecę zapaloną. Mina jego oznaczała tryumf. Zdawało się jakby mówił oczami: „Otóż dokazałem swego!“ Zawinął się po izdebce; pod stołem wyszukał lichtarz blaszany, nalepiony łojem i stearyną, w lichtarzu świecę, która była najprostszą łojówką, osadził; izdebka oblała się blaskiem, w którym wyraźnie wystąpiły zapełniające ją przedmioty.

Wystąpiło na jaw zupełne ubóstwo, nędza prawie, wyszczerzająca zęby z kąta każdego i ze sprzętu każdego, a najbardziej z łóżka, na którem pościel cała składała się z siennika, nie przykrytego nietylko kołdrą, ale prześcieradłem nawet i z poduszki poczerniałej od używania. Funkcyę kołdry pełniła bunda męzka z grubego szarego sukna, rzucona od niechcenia na poręczy od łóżka. Służyła ona za przykrycie dla dwojga ludzi dorosłych i dla dzieciątka, obwiniętego w pieluszki, będące drużyną składaną z koszul ojcowskich i ze spódnic matczynych. Dziecko wyglądało na półroczne. Matka w łachmanach, ale młoda i silna i nie nazbyt wynędzniała. Nędza ubrania znajdowała się w niezgodzie z policzkami jej dość pełnemi i z kształtami ciała cale krągłemi. Rysy oblicza nie odznaczały się ponętnością bynajmniej, oblicze zaś samo, przypatrując się mu pilnie, wyzywało zapytanie: „Czy się białogłowa ta myje kiedy?“ Ubranie składało się z sukni perkalowej ciemnej,

http://rcin.org.pl

podartej i zatłuszczonej, u spodu zadrypanej błotem oddawna zaschłem a u góry okrytej szalem tyftykowym, poprzecieranym w miejscach niektórych, w niektórych zaś połatanym okrawkami sukiennemi i bawełnianemi różnego koloru. Szal ten, gdy był nowym, musiał być wartości wysokiej, obecnie zaś mógł być jeno przydatnym do papierni, tak jak i reszta jej odzieży, z wyjątkiem trzewików, którym dziwić się należało, jak się one na nogach trzymały, posiadając jedyne kwalifikacye do śmieciska. To też kobieta jeden tylko trzewik na nodze miała. Drugi spoczywał na podłodze obok łóżka, otwarty na przodku szeroko w ten sposób, jakby reprezentował poziewanie. Noga, którą ozuwać miał, była tą właśnie, co kobiecie do kiwania służyła. Osłaniała ją strasznie brudna pończocha, z której wyłaziły wszystkie pięć palców i pięta cała.

Mężczyzna prezentował się inaczej. Było koło niego ubogo, ale dość chędogo. Odzieży zwierzchniej nie miał na sobie: rzucił ją na stołek gdy przyszedł, a zdaje się przyszedł, niosąc surdut na opaszki, pozostawał bowiem w kamizelce zrudziałej od starości i w koszuli grubej lecz stosunkowo czystej. Mówimy „stosunkowo“, mając czystość żony na względzie, bezwzględnie bowiem koszula na nim wyglądała jakby od tygodnia niezmieniana i na działanie kurzawy wystawiona. Nie była przeto białości olśniewającej i nie dziw. Stan rąk zgrubiałych i twarzy przypruszonej świadczył, że małżonek kobiety z dzieckiem pędzi żywot w pracy, uniemożliwiającej utrzymanie w czystości odzieży i bielizny.

Co się wieku tyczy, byli to ludzie młodzi—ani jej ani jemu nie możnaby lat trzydziestu policzyć. Pięknością nie odznaczali się. Rysy pospolite; w niej przeważała okrągłość przy wzroście miernym; on był od żony o głowę słuszniejszy i miał w sobie coś poważnego.

http://rcin.org.pl

— No, mamy więc światło, będzie ogień...—odezwał się on, stawiając lichtarz na stole. Trzeba tylko wodę nastawić, ugotować...

— Wodę?...—odparła kobieta tonem ironii.

— W dzbanku nie ma?...

— Zobacz...

Mężczyzna wziął dzbanek do ręki, skonstatował, że nie ma w nim wody ani kropelki, nic nie rzekł, wyszedł i za chwilę powrócił z dzbankiem napełnionym.

— Jest i woda...

Kobieta, pomimo to, nie ruszała się z miejsca.

— Trzebaby teraz ogień zrobić...

— Bez podpałek?... Musiałabym dmuchać do jutra chyba...

— Otże zobaczysz, że ja ogień zrobię i dmuchać długo nie będę...

Usiadł przed piecykiem, wziął jedno z polanek, łupał je na szczapy i układał.

Żona, kiwając nogą, przypatrywała się robocie mężowskiej w obojętnem milczeniu.

Mąż ogień naniecił, podmuchał trochę, płomień strzelił.

— Terazże wody w garnuszku przystawić, ażeby się drwa nie spaliły daremnie...

Widząc jednak, że żona ani myśli opuszczać siedzenia swego, zawinął się sam, wyszukał garnuszek w kształcie rynki bez nóżek, przypatrzył się mu do światła i ujrzał na nim, wewnątrz i zewnątrz, poprzysychane resztki dawnej jakiejś strawy.

— Nie myty...—rzekł.

Żona nic na to, jakby się rzecz ta nie tyczyła jej wcale. Kiwała nogą obojętnie.

— Hm...—mruknął mąż, obtarł garnuszek pierwszym

http://rcin.org.pl

lepszym gałganem co mu się pod rękę nawinął, wodą go napełnił, nakrył i do ognia przystawił.

— Karbowańców trzydzieści!...—odezwała się kobieta.

— Terazby nie o karbowańcach a o skombryi myśleć...—zauważył mąż.—Należałoby by ją sprawić, ażeby była gotowa, jak woda zakipi...

— Czemuś byczka nie kupił?...

— Bom kupił skombryę...

— Wolałabym, albo byczka, albo kambułę...

Mąż, nic na to nie odpowiadając, zakasał rękawy i wziął się do sprawiania ryby, co uskutecznił przy pomocy noża, na którym rdza obfita świadczyła, że nigdy czyszczonym nie był.

Następnie małżeństwo mało już się rozmową zajmowało. Żona siedziała, mąż krzątał się. Skończywszy z rybą, obrał cebulę i pokrajał takową; gdy woda po raz pierwszy zakipiała, ugotował smak, solił i kosztując, gdy smak zakipiał, włożył weń rybę i podczas kiedy się gotowała, postawił na stole dwa talerze, dwie grabki, chleb i w końcu rynkę z gorącą strawą.

— No... chodźże już...—przemówił.

— Czemużeś czem stolika nie okrył?...

Mąż obejrzał się po izbie, nie znalazł nic coby obrusa rolę odgrywać mogło i odparł z półprzekąsem:

— Nie mamy gości, to się i tak obejdziemy...

Przystawił dwa stołki.

Kobieta westchnęła.

— Połóż dziecko, będziesz miała więcej przy jedzeniu swobody...

— A jak się rozkrzyczy?...

— No, to pokrzyczy sobie trochę... I onoż wieczerzę dostanie, jak ty się posilisz...

http://rcin.org.pl

Nareszcie kobieta się ruszyła. Położyła dziecko, które się spokojnie zachowało, wsunęła nogę w trzewik i przeniosła się na stołek, zachowując w ruchach swoich dziwne jakieś od niechcenia, jakby robiła łaskę przez to, że się zbliżyć raczyła. Nie było w tem jednak ani cienia złej woli, albo też niechęci. Był jeno zły humor, który przypisywać należało, jeżeli nie trzydziestu karbowańcom, które, w rzeczy samej, przydałyby się w tej chwili bardziej aniżeli najświetniejsze na wygranę nadzieje, to po prostu głodowi. Od trzech dni nie jadła strawy gotowanej, a od rana nic w ustach nie miała. Niedziw więc, że na humorze szwankowała nieco; że zaś szwank ów przeważnie głodu się tyczył, pokazało się to ztąd, iż wnet poweselała, jak tylko talerz gorącej polewki z partyką dużą chleba zjadła. Humor się poprawiał w miarę jak znikała skromna bardzo i zaledwie dostateczna wieczerza, przy której kąski lepsze dostawały się kobiecie. Było o to trochę sprzeczki pomiędzy małżeństwem. Mąż podzielił rybę na trzy części, sobie wziął główkę i ogonek, jej dał środek z ikrą. Żona chciała się mieniać, mąż atoli zamiany nie przyjął, zaręczając jak najuroczyściej, że „przepada“ za główką i ogonkiem.

— Nie mógłbym zasnąć spokojnie, gdybym wspominał sobie, że do zjedzenia były a nie mnie się dostały...

Z chleba pozostało zaledwie ćwierć bochenka.

Kobieta podjadłszy sobie, ruchawszą się stała. Uprzątnęła ze stołu—łyżki i grabki włożyła do rynki, talerze położyła na rynce, na talerzach chleba resztę i na oknie to wszystko postawiła, następnie obtarła stół chustką tyftykową, usiadła na stołku i wyciągnęła się, wznosząc ręce do góry.

— Możeby to pomyć...—rzekł mąż, ukazując oczami na naczynie.

http://rcin.org.pl

— I... Niech to sobie do jutra czeka...

— Nie chce się tobie?...

— Dalibógże nie... Czy to się ja mało wodą nachlupała!... Nikt przecie nad karkiem nie stoi...

— Racya...—odparł mąż i po chwili milczenia, westchnął głęboko, ziewnął szczerze i zawołał: Hej-ha!...

— Co tobie?...

Mąż się uśmiechnął.

— Czy ci dumka jaka do głowy przyszła?...

— Zakurzyłbym sobie, gdyby było co... Przyszedł dziś do magazynu Grek kupiec z sygarem w pysku; jak mi dym w nos zaleciał, to omal na wznak nie upadłem... Bodaj to... bogactwo!...

— To prawda...—odparła kobieta.—Zarazbym sobie trzewiki kupiła...

— A jabym kupił sobie tytoniu tureckiego oko całe...

— Ja nic, tylko trzewiki...

— Zachciałoby się tobie jeszcze czego...

— Ta czego!... ciekawam... Gdybym ino miała trzewiki jakie ludzkie, to wyszedłszy na ulicę, nie potrzebowałabym przysiadać i okrakiem chodzić, ażeby ulicznikom powodu nie dawać do wytykania mnie i zapytywania: „Po czemu palce?...“ Zresztą obeszłabym się...

— Zachciałoby się tobie samowara...

— Owa!... Niby to ja pani taka wielka!...

— Gdybyś była bogatą, byłabyś panią...

— Taj co!... To już jak pani, to taki zaraz i samowar!...

— I samowar i... a!... wiele, wiele rzeczy innych jeszcze... Widziałaś panią przecie!...

Kobieta zamyśliła się na chwilę. Po chwili odrzekła

— Ot... służącębym sobie przyjęła... ładniebym ją

http://rcin.org.pl

ubrała, sprawiłabym Franusi sukienkę błękitną i przypatrywałabym się przez okno, jakby ona, z Franusią na ręku, po mieście chodziła...

Słowa te stosowały się do dziecka na łóżku leżącego. Dziecko, jakby zrozumiało, że o niem mowa, odezwało się kwileniem. Matka wnet do niego poskoczyła, na ręce wzięła, z pieluch rozwinęła i przy stoliku z niem usiadła. Ojciec począł do niego cmokać i w palce klaskać. Dziecina się ozweseliła, uśmiechy stroiła, okrzyki samozgłoskowe wydawała, i na wieczór cały, stała się dla rodziców przedmiotem zajęcia i rozrywki.

Od zapalenia w piecyku żelaznym trochę się za gorąco zrobiło—trzeba było okno otworzyć. Fale powietrza wieczornego zbawienny tak na temperaturę, jak na wonność izdebki ubogiej wpływ wywarły. Zrobiło się w niej rzeźwiej. Przez okno otwarte wyraźniej dochodził gwar miejski. Poczęła bić godzina na jednym z bliższych zegarów.

— Raz, dwa, trzy...—liczył mężczyzna.—Dziesiąta...

— A toć to już późno...—rzekła kobieta.

— Późno na wsi, ale nie w Odessie...—odrzekł mężczyzna.

Z odrzeczenia tego dowiadujemy się że, para, z którą zabraliśmy znajomość, zamieszkuje w metropolii handlowej okolic ciążących ku morzu Czarnemu. Wiadomość ta jest nam konieczną, ze względu na dopełnienie znajomości, w zakresie której poczynić mamy niektóre jeszcze odkrycia, zanim czytelnik dowie się ostatecznie, z kim ma do czynienia. Tymczasowie powiemy mu, że małżeństwo, zajmujące, w tej chwili uwagę naszą, nie długo już pozostawało w stanie czuwania. Kobieta dała Franusi piersi, położywszy się w ubraniu obok niej na łóżku. Mąż niebawem poszedł

http://rcin.org.pl

za przykładem żony, rozebrał się jednak—zgasił świecę palcami i wkrótce izdebkę napełniło chrapanie i sapanie, które ciągiem jednym dotrwało do dnia.

Równo ze świtem mąż był już na nogach. Kobieta z dzieckiem spała jeszcze.

Wstał po cichuteńku. Odziewając się, chodził na palcach. Umył się, naqierając wody w usta i zlewając takową na ręce, obtarł rękawem od koszuli, wzuł buty, zarzucił surdut na ramiona, włożył na głowę czapkę, i podszedłszy do łóżka, patrzał przez chwilę na żonę i dziecko z wyrazem w oczach, w którym malowało się rozrzewnienie. Prawdę powiedziawszy, nie był to widok zachwycający. Światło dzienne wyprowadziło na jaw wszystkie dziury, łaty i plamy, pstrzące odzież kobiety, która leżała na wznak z gębą otwartą i z wystawionemi na widok, z pończoch wyglądającemi palcami i piętami. Może też go to właśnie rozrzewniało. Postał przez chwilkę, okrył pełniącym funkcyę kołdry płaszczem żonę i dziecko, kiwnął do sennych głową na pożegnanie i wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

Miasto we śnie jeszcze pogrążone było i ruch cały na ulicach utrzymywały przekupki, pośpieszając zająć miejsca swoje na targowicy tak zawczasu, ażeby najwcześniejszego nie stracić kupca. Był to ruch słaby i pieszy po większej części. Baby dźwigały kosze i kobiałki. Znajomy nasz spotykał je rzadko, idąc ulicami przylegającemi do rynku, gdy zaś wydostał się na te, co ku bulwarom i morzu kierują, nie spotykał już bab nawet. Uszedł kawałek Riszeljewską, wziął się w prawo, wszedł na Włoską, i idąc tą ostatnią, zatrzymał się przed domem jednym, przed którym topole rosły. Pozór domu tego był porządny, nie wspaniały jednak. Brama wjazdowa zamknięta; w oknach z wewnątrz okiennice pozamykane; cisza do koła. Zatrzymał się, po-

http://rcin.org.pl

wiódł okiem po oknach, głową pokiwał, uśmiechnął się do siebie, westchnął i poszedł dalej. Zaledwie zrobił kroków kilka, oczy mu się zaśmiały, zgiął się nagle i podjął ogarek sygara w trzech czwartych częściach niedopalonego.

Znalezienie skarbu nie mogłoby mu większej sprawić radości.

— Oto!...—zawołał—kto rano wstaje, temu pan Bóg daje... Gdyby to tak jeszcze i ogień znaleźć, toż dopiero zakurzyłbym sobie!... Mam czem przynajmniej głód oszukać, gdy mi około południa kiszki skręci... Ogień znajdzie się u sałdata...

Schował starannie sygaro w zanadrze i poszedł dalej, śledząc pilnie oczami po ulicy, ażali czego nie znajdzie jeszcze. Nie znalazł nic, doszedł do długiej murowanej budowli, bez kominów i okien, a raczej, zamiast okien posiadającej otwory niewielkie kwadratowe w kraty żelazne zaopatrzone, i usiadł pode drzwiami, otwierającemi się na podniesiony na stóp parę nad ziemię pomost drewniany, na którym daszek się wznosił. Był to magazyn zbożowy. Pomost służył do wykładania worów wprost z podjeżdżających podeń podwód. Na nim znajomy nasz usiadł i w dumanie się pogrążył.

O czem dumał, nie wiemy. Po upływie chwili czasu, sięgnął w zanadrze, wydobył pugilares zatłuszczony, otworzył i wydostał z niego bilet loteryjny, stanowiący sześć ósmych części biletu całego, opiewającego na rubli srebnych czterdzieści i obiecującego wygrane od rubli sześćdziesięciu aż do tysięcy stu, dwiestu i czterystu. Wpatrywał się przez czas jakiś w ćwiartkę zadrukowanego papieru, w końcu ją złożył, do pugilaresu schował i w zanadrze wsunął. Zaledwie to zrobił, aliści stanął przed nim żyd w ubraniu świątecznem.

http://rcin.org.pl

— Tyż tu po co?...—zapytał znajomy nasz.

— Ny... ot... tak sobie...

— U ciebie dziś szabas, to do roboty nie staniesz...

— Ja bo też o robocie ani myślę...

— Gdybym na twojem był miejscu, spałbym do południa...

— I jabym spał, gdybym mógł... Coś mnie tej nocy napadło, oka nie zmrużyłem, a gdy zaświtało, pomyślałem sobie: pójdę, zobaczę, co też tam oni robią...

— Co robią?... Widzisz, ot... siedzę i czekam, magazynier nie widać jak z kluczami przyjdzie, otworzy i stanę do szuflowania pszenicy... Będzie tego do wieczora, tembardziej, że z przyczyny twego szabasu, robota cała spada na nas dwóch, na mnie ta na sałdata...

Podczas odpowiedzi powyższej, żyd usiadł obok na pomoście i wysłuchawszy jej, odparł:

— Jeżeli sałdat przyjdzie...

— Jakżeby miał nie przyjść do wypłaty!... ta i ja jemu winien piętnaście kopiejek srebrnych...

Żyd splunął przed siebie, głową pokiwał i powtórzył:

— Piętnaście kopiejek... Ot i zadłużyłeś się u sałdata...

— Cóż robić!... Prosiłem ciebie... dać nie chciałeś...

— Jakto nie chciałem!...

— Ba!... za połowę biletu...

— Która i półkopiejki nie warta i za którą byłbyś złotówkę dostał daremnie, a tak, rzucić ją musisz... Ale, żebyś wiedział, że ja nie taki, to ja ci dziś gotów dać złotówkę za ten papieru kawałek...

Znajomy nasz roześmiał się.

— Ny... co to się śmiać!... Powiedz na rozum: co chcesz?...

http://rcin.org.pl

— Wszak mówiłem ci wczora... dwadzieścia pięć złotych za połowę...

— I!...—machnął żyd ręką.—Pięć złotych za wszystko...

— Za to, za co ja dał karbowańców trzydzieści?...

— Nu... On o karbowańcach myśli!... Tyś je zgubił i przepadło...

Znajomy nasz ramionami ścisnął.

— Ot, do czego długie gadanie powiedzie!... Dam ci rubla...

Żyd rękę wyciągnął, z zacięciem podania dłoni do uściśnienia.

Znajomy nasz jednak nie kwapił się z ręką swoją.

— Dam ci złotych dziesięć...

— Nie...

— Nie?... ileż chcesz?...

— Za wszystko?...

— Za wszystko...

Ojciec Franusi pomyślał przez chwilę, głową wstrząsnął i odpowiedział:

— Nie... wszystkiego nie odprzedam...

— To niech będzie połowa... Ileż za połowę?...

— Złotych dwadzieścia pięć...

— Zwaryowałeś!... Słuchaj jednak, powiem ci słowo ostatnie... *putchejrym*... będziesz miał wóz i przewóz... Kiedy nie chcesz odprzedać wszystkiego, to... Bóg z tobą!... dam ci za połowę złotych dziesięć...

— Daj dwadzieścia...

— Nie...

— Piętnaście...

— Nie... Dziesięć złotych, słowo moje ostatnie... Zakląłem się na *putchejrym* i nie mogę postąpić ani kopiejki...

http://rcin.org.pl

— Rozbijmy różnicę na połowę... Złotych dwanaście i groszy piętnaście.

— Nie...

— To ustąpię ci jeszcze... Daj mi rubla i złotych pięć...

Chodziło o groszy pięćdziesiąt, o które się targ rozbił. Przyszedł sałdat wpół zaspany, wkrótce potem nadszedł magazynier i żyd się oddalił, mrucząc sobie pod nosem, głośno zaś zaklinając się, że posiadacz sześciu ósmych biletu będzie ciężko uporu swego żałował.

Sałdat i znajomy nasz stanęli do roboty. Zanim się wzięli do takowej, pierwszy zapytał drugiego:

— Czego on przyczepił się do ciebie?...

— Chce odkupić u mnie połowę mojej części...

— Ty dał za nią?...

— Karbowańców piętnaście...

— A on daje?...

— Półtora...

— E... Coś on przewąchuje...

Na tem rozmowa się urwała. Pozrzucali z siebie odzież zwierzchnią i wzięli się do roboty, która na tem polegała, ażeby pszenicę z jednej kupy przesypać na drugą łopatami, wyrzucając ziarno jak najwyżej do góry. Celem przesypywania takiego jest przewietrzanie zboża, które, leżąc długo na jednem i tem samem miejscu mogłoby się zagrzać wewnątrz i zepsuć. W tym celu po magazynach urządzone są przeciągi powietrza, na których jednak nie poprzestają właściciele i uciekają się do pomocy ramion ludzkich. Praca to ciężka. Ci co się jej oddają, muszą wielką we własnych siłach ufność pokładać. Nie lada kto wytrzymać potrafi, letnią zwłaszcza porą, wyrzucanie ziarna na wysokość i o dległość taką, ażeby wiatr ziarenko każde ochwycił

http://rcin.org.pl

i osuszył. Krzyże trzeszczą, pot ciało oblewa—my, co chleb gotowy pożywamy, ani się domyślamy, jaką drogą męczarni krzyżowych do rąk on naszych dochodzi. Jest to rzecz ciekawa i zasługująca na to, ażeby się zastanawiać nad nią, chociażby dla tego, ażeby wiedzieć, że praca—praca ciężka—jest matką żywicielką ludzkości. Bez niej, bogacze... kawałka chlebaby nie mieli.

Sołdat i znajomy nasz szuflowali pszenicę w pocie czoła, odpoczywając kiedy niekiedy dla nabrania oddechu w piersi. Po odetchnięciu, spluwali w dłonie, ujmowali łopaty i dalej. Ziarno, pod ich wyrzucaniami, rozsypywało się w powietrzu i padało, formując nieopodal od kupy starej kupę nową, coraz to większą i większą. Tak pracowali ciągiem jednym do południa. Dozorca przechodził mimo od czasu do czasu i spoglądał na robotę ich okiem uważnem. O południu odpoczynek. Rzucili łopaty, udali się w kąt magazynu, gdzie zwierzchnią odzież swoją złożyli, i postękując, przysiedli.

http://rcin.org.pl

II.

Sołdat posiadał węzełek z przekąską, składającą się z chleba i słoniny, w ilości umiarkowanej. Znajomy nasz wydostał z zanadrza sygaro, opatrzył je okiem znawcy, pomiął lekko palcami celem zapewnienia mu ciągu i zapytał towarzysza:

— Nie masz ty ognia, przypadkiem?...

Zapytany wydobył z kieszeni siarniczek, i podając takowy, rzekł:

— Cóż ty, brat!... Zamiast cobyś miał zjeść co, to się do kurzenia zabierasz...

— Taka moja natura...—odparł zagabnięty.

— Dobra natura... Sygaro pańskie... jak pachnie!... Raz byłem u generała w ordynarcach i raz w życiu taki zapach w nos mnie uderzył... Ty widzę barin, kiedy masz naturę taką, że kurzysz sygaro, za które mógłbyś mieć chleba ćwiartkę i marchotki kapciuch pełen... Przyznaj się, gałubczik... Ty coś mi nawielkiego patrzysz pana...

— Piękny mi pan, co pszenicę szufluje!...—odparł znajomy nasz, smakując w sygarze, które w rzeczy samej z jak najlepszego było gatunku, prawdziwe hawanna.

— Nu, dak co!... Wiadoma rzecz, i największemu panu przytrafi się czasem, że mu się noga powinie... ot, jak się powiada po naszemu... Ty bumagi masz?...

http://rcin.org.pl

— Mam... ta co mi tam po nich!...

— Jak... co!... Po waszemu ty szlachticz...

— A szlachcic...

— Wot i dieło... Ja odgadł od razu... To widać po tobie...

Sołdat zajadał chleb ze słoniną, a szlachcic delektował się hawanną, połykając ślinkę, co mu się do ust toczyła i pocieszając się w sumieniu, że chleba kawałek żonie zostawił.

Sołdat skończył jedzenie, wyjął fajeczkę na krótkim cybuszku i począł ją tartym w dłoni liściem tytoniowym napełniać, kiedy nagle zjawił się przed nimi żyd.

Pozór żyda niezwykłego coś zapowiadał. Z oczu i z postaci całej biło mu wzruszenie głębokie, które hamować i pokrywać usiłował, starając się przybrać minę obojętną i zupełnie spokojną. Przyszedł, stanął, głowę spuścił, widocznem było, że chciał coś przemówić, lecz wolał zaczepionym być.

— Cóż ty?...—zaczął sołdat.—My już pozawtrikali iza chwilkę do roboty staniemy... A ty?... szabasujesz, hę?...

— Ny... ja do niego...—odparł żyd, ukazując oczami na szlachcica. Cóż?... Przynoszę pieniądze za połowę...

— Ile?...

— O... tyle coś sam chciał...

To mówiąc pokazał na dłoni dwie sztuki monety, z których jedna była rublem, druga pięciozłotówką.

— Dam drugie jeszcze tyle za drugą połowę...

Głos żyda drżał.. Wyrazy w gardle mu więzły i z ust gwałtownie wyskakiwały. Widocznem było, że obojętność i spokój udawał.

— Co?...—zapytał sołdat.

— Tylko ty się nie mięszaj!...—ofuknął żyd.

http://rcin.org.pl

— Ach, ty ścierwo!...—sołdat na to.

— Nie tkaj nosa w to co do ciebie nie należy...—odrzucił żyd w uniesieniu; zmiarkował się wnet jednak, zachlipnął się i zmieniając nagle ton na łagodny, dodał: Eh, wy, Sidor Gawryłowicz i wybyście mi wasz bilet odprzedali...

— Daj pięć całkowych...

— Dam dwa...

— Pięć...

— Trzy!...

— Pięć...

— Cztery!...

— Pięć....

— Nu... Niech po waszemu będzie... Oto dieńgi...

Wyjął pięć rubli i dłoń z niemi do sołdata wyciągnął.

Sołdat się cofnął.

— Dawajcie bilet...

— Na!...—odpowiedź ta w ten wypadła sposób, że sołdat, zamiast wręczenia biletu, pokazał żydowi palec duży włożony pomiędzy dwa poboczne.—Ot tobie bilet...

— Ny!...—krzyknął żyd w rozpaczy prawie, naprzód się posuwając z giestem zaczepnym.—Ty, moszenik, ty!... Ugoda stanęła...

— Wot... będziesz mi czepuchę prawił!.. Ugoda?.. Jaka ugoda?...

— On świadek!...

— A ręka przebita?... Słowo wiatr, ugody nie masz bez przebicia ręki... ja mam prawo powiedzieć ci jeszcze: dawaj rubli dziesięć!...

— Dam dziesięć...—podchwycił żyd w zapale.

— Dawaj dwadzieścia!...

http://rcin.org.pl

— Dam dwadzieścia!... o!...—i dostawać z kieszeni pieniądze począł.

— Dawajże ty mi sto...—odparł sołdat z przyciskiem— a ja ci biletu nie oddam...

Żydowi do głowy płomienie uderzyły. Twarz mu spąsowiała. Zwrócił się do szlachcica i przemawiać do niego począł, bełkocąc.

— Aj waj!... to waryat... Z nim nie ma co do gadania... Ot, ty, to co inszego... Ty człowiek... U ciebie słowo, niby ten kamień... Tobie ja dam... ja dam... ny?... Ja dam tobie, ile sam zechcesz... Ja dam tobie, ile sam zechcesz, bo ty człowiek czesny... Tylko chodź ze mną... ny... chodź ty ze mną...

— Od roboty?...

— Co tam tobie robota!... Dam ci tyle, iżbyś tego przez rok cały nie zarobił... Chodź tylko ze mną...

Głos żyda był błagalny.

Szlachcicowi, świadkowi zajścia z sołdatem i nagłego podwyższania ceny, wydało się to ostatnie rzeczą podejrzaną. Zmiarkował, że żyd nie ryzykowałby poczwórnej biletu wartości, gdyby nie miał do tego ważnych powodów. Pomnożył sobie w myśli trzydzieści na cztery, wypadło sto dwadzieścia. Sto dwadzieścia rubli było dlą niego w tej chwili skarbem, za który, gdyby nie zajście z sołdatem, chętnieby żydowi bilet swój oddał. Zajście do myślenia mu dało. Spoglądał, to na żyda, który wciąż nalegał, chcąc go za sobą pociągnąć, to na sołdata, który żydowi dogadywał dobieranemi wyrazami i rzekł w końcu do niego:

— Posłuszaj... Nie zabierze to czasu dużo, chodźmy do kantory...

Na słowa te żyd zbladł.

— Do kantory?... Do kantory?...—krzyknął, przy-

http://rcin.org.pl

bierając ton szyderski. Do kantory?... Ty tam po co?... Ciebie nie wpuszczą... Ciebie za drzwi wypchną. Czy ty wiesz, jak tam gadać?...

— Niczawo... Chodźmy... Ty błagorodny, ja mam medal za chrabrost', to my już tam sobie rady damy...

— Nie słuchaj go i nie idź z nim...—przemawiał jeszcze żyd do szlachcica, a widząc, że słowa jego skutku nie odnoszą, opuścił ręce w rozpaczy i błędnym wzrokiem spoglądał za oddalającymi się powoli.

Usta jego ruszały się, jakby mówił, nie wydawały atoli głosu żadnego. Toczył snadź rozmowę wewnętrzną sam ze sobą. Trwało to chwilę. Nagle rzucił się, wybiegł z magazynu i śpiesznym chodem przesuwał się przez ulice Odessy, potrącając przechodniów, jakby od czego uciekał, albo za czem gonił. Przechodnie ze zdziwieniem spoglądali na niego. Nie jednemu na myśl przychodziło, że to może jakiś, co we względzie sprawiedliwości skrewił. Na szczęście jego jednak—a raczej, jak się to wnet pokaże, na nieszczęście—nikt myśli tej głośno nie objawił i on dostał się do dzielnicy miasta przez żydostwo przeważnie zamieszkałej, minął brudnych kilka uliczek i wpadł do domu, którego powierzchowność sama zapowiadała, że zamieszkuje go potomstwo Izraela. Wbiegł po schodach na piętro, wszedł na korytarz, i otworzywszy drzwi do jednej z izdebek, kluczem który z kieszeni wydobył, zamknął się w niej.

W izdebce tej nie było ani stoła, ani stołka, ani łóżka, ani żadnej rzeczy, któraby znamionowała dbałość o wygody jakoweś. W kącie siennik, na sienniku poduszka i pierzat, było to wszystko, co świadczyło o mieszkaniu człowieka. Ściany puste, sufit z desek sosnowych opierających się na przechodzącej środkiem belce grubej. Okno jedno, pod

http://rcin.org.pl

oknem zaś, sprzęt jedyny, szaflik drewniany, który, jak się zdaje, nie był własnością lokatora.

Żyd, zamknąwszy się, podszedł do okna, postał przed niem chwilkę, następnie usiadł na piernacie, i objąwszy rękami kolana, począł głową kiwać i wzdychać. Kiwał głową, to z tyłu naprzód, to z boku na bok, kręcąc nią niekiedy, jakby otrząsał z niej obsiadające ją myśli naprzykrzone. Z westchnieniami wydzierały się mu z ust wyrazy:

— Oj waj zmir...

Wydzierały mu się także skargi na głowę własną, którą o głupotę obwiniał.

Wyciągał szyję, otwierał usta i chlipał, jakby powietrze w płuca chwytał.

Oczy miał krwią nabiegłe.

Po niejakimeś czasie wydostał z zanadrza plik i rozwinął takowy. Były to pieniądze w biletach bankowych. Zaczął liczyć, nie był jednak w stanie liczenia porządnie prowadzić. Zaczynał razy kilka:

— An, cwaj, draj...

Rzadko kiedy za dziesiątek przechodził. Wewnętrzna jakaś irytacya przeszkadzała mu. Zaniechał liczenia, i wpatrując się w pieniądze, uśmiechał się do nich szydersko a złośliwie. Wreszcie złożył, zawinął, schował i znów rękami kolana objął.

Długo tak siedział. Zdawało się niekiedy, że usypiał i budził się nagle, wydając okrzyk lekki przerażenia, świadczącego, że głowę pełną miał myśli, które duszę jego srodze trapiły i dręczyły.

Wreszcie wstał, do okna podszedł i przez zapstrzone szyby na niebo spojrzał. Wieczerzało.

— Och! ten sołdat!...—zawołał.—Och! ten drugi!...

http://rcin.org.pl

przybłęda (wyraz ten z ironicznym wymówił przyciskiem).... Oni teraz!... oni teraz!... oj!...

Krzyknął, jakby ostre jakieś narzędzie pierś mu przebodło.

— Co oni, te gałgany, robią teraz?... Och! ja głupi!.. Pięćdziesiąt groszy?...

Dłonie do głowy podniósł i czoło cisnąć począł.

— Pięćdziesiąt groszy!... Nie!... — rzekł w końcu z akcentem takim jakby postanowienie jakoweś powziął, i przechadzając się krokiem szerokim po izbie, wzrok do góry podnosił i na sufit spoglądał.

W miarę jak się chodzenie to przewlekało, agitacya jego wzrastała.

— E!...—odezwał się, ręce wyciągając, jakby do chwytania czegoś.

I rozwiązał pas, co mu biodra otaczał.

I oglądać się począł po izbie.

Zoczywszy szaflik, żachnął się z takiem oblicza rozpromienieniem, jakby mu myśl jaka jasna w głowie strzeliła.

Postawił szaflik bokiem na środku izby, popodkładał podeń cegiełki, ażeby się nie taczał, stanął na nim i pas na belce zawiesił. Szaflik chwiał mu się pod nogami. On jednak tak zręcznie i z takim gorączkowym pośpiechem około belki manipulował, że zanim mu się podstawa ta chwiejna z pod nóg wysunęła, wszystko już było skończone.

Żyd zawisł w powietrzu za szyję do belki uwiązany.

Zdaje się, że zastanowienie przyszło mu, ale, niestety! zapóźno. Szukał nogami szaflika; wyciągał nogi, chcąc niemi na oknie stanąć; podnosił ręce i za pas chwytał; wszystko to było napróżno. Kołysał się i rzucał; próbował krzyczeć, ażeby ratunek przywołać; aż w izdebce cicho się zrobiło

http://rcin.org.pl

i ciało żyda przybrało to położenie, jakie ciału wszelakiemu nadaje prawo ciężkości. Pas był naprężony; żyd na pasie wisiał, ciążąc ku środkowi ziemi.

Rzecz ta odkryła się nazajutrz. Dopatrzono wisielca z okna sąsiedniego domu. Sąd śledczy znalazł przy nim pięćdziesiąt tysięcy rubli srebrnych.

Wypadek ten nie nastręcza nam uwag żadnych. Tłumaczy się on sam przez się dostatecznie. Zostawiamy więc nieboszczyka, a poszukamy żywych, których losy znajdowały się w niejakiej z losami nieboszczyka styczności.

Mamy na myśli sołdata i szlachcica.

Zajmiemy się najprzód sołdatem, którego weźmiemy w chwili wyjścia z kantory urzędu loteryjnego.

Wyszedł, a że kassa znajdowała się na piętrze, więc, schodząc, przestępował po dwa i trzy schody na raz. Na ulicy, macnął się za pierś, rzekł do siebie: „jest“—i krokiem posuwistym puścił się do magazynu, w którym łopata czekała na niego. Na połowie jednak drogi, zatrzymał się, pod murem stanął, o mur się plecami oparł i oczy zamknął. Po chwili oczy odemknął i samemu sobie następujące zadał zapytanie:

— Nu cztoż... darować mu, czy nie darować?...

Myślał i tak sobie odpowiedział:

— Niet... Nie na to ja ciężko przez tydzień cały pracował, ażebym ci miał zarobek mój darowywać... Co moje to moje... i ani kopiejka moja nie przepadnie...

Udał się do magazynu, stanął do łopaty i szuflował do samego wieczora. Szuflował sam jeden. Magazynier razy parę zapytywał go:

— Gdzież tamten?...

— Czort jewo znajet...—była odpowiedź sołdata.

— Wyszliście jednak razem...

http://rcin.org.pl

— Tak... razem do kantory... Ale mnie odpuścili pierwej, a jego zatrzymali jeszcze...

Magazyniera nie obchodziła kantora, o której sołdat wspomniał. Myślał zapewne, że to kantora gorzałczana, lub też inna jaka, dotycząca żołnierza dymissyonowanego, puścił więc to mimo uszów. Sołdat wieczorem do wypłaty stanął, odebrał swoją należność, i medytować począł:

— Nu... a teraz?...

Postępował ulicą powoli, zatrzymywał się często i rozmyślał. Rozmyślanie długie do takiej doprowadziło go konkluzyi, że zaklął i rzekł:

— Choć weź ta powieś się!...

Pomysł ten przyszedł mu na ulicy, gdzie wprawdzie i drzewa i wystawy i latarnie nadawały się do wykonania onego, gdzie jednak było, raz, za zbyt ludno, powtóre, jasno, a przytem ponęty życiowe przedstawiały się pod postaciami rozmaitemi, mianowicie zaś pod jedną, która sołdatowi pobyt na tej ziemi miłym czyniła.

— Ejjj...—powiedział sam do siebie.—Zajdę najprzód do kabaczka, a potem pomyślę... Pójdę do znajomego...

Jak powiedział, tak uczynił. Pociągnął prostą drogą ku portowi, do którego niedochodząc nawrócił do szynku, słynącego z czystej wódki i dobrej miary. Szynk ten był punktem, przy którym zatrzymywali się zwoszczyki, transportujący zboże z magazynów na okręta. Miał on godło nad drzwiami nie wiadomo jakie—deszcze je oddawna spłókały. O godło mu jednak nie chodziło, był bowiem znany szeroko i nie było w Odessie człowieka pomiędzy ludem czornoraboczim, któryby nie znał drogi do niego. Usługa zwinna, gospodarz uprzejmy, gospodyni czarnooka a białolica i wszystko na zawołanie czego dusza zapragnie. Za-

http://rcin.org.pl

chciało się jeść, było i jedzenie; chciałeś pić, mogłeś się w napitkach kąpać.

— Hę, ziemlak? co przykażesz?...—zapytał szynkarz, jak tylko zamyślony sołdat za stołem usiadł.

— Chi!... sam nie wiem...

Szynkarz, człek doświadczony w stosunkach z ludźmi, oparł się rękami o stół, patrzył pilnie na sołdata przez chwilę i rzekł:

— Służiwy, ty na sercu coś masz...

Sołdat ramionami ścisnął i głową wstrząsnął.

— Ciebie coś gryzie...

— Myśl...—odparł.

— Widzisz... okajannaja!... Człowiek nie ma nad myśl wroga straszniejszego... Jest na nią jednak rada...

— Jaka?...

— Jeżeli u ciebie dieńgi są...

— Dieńgi to u mnie są...—odparł sołdat.—Jest tego... hm... do licha (o mało nie wymówił się o wygraniu losu) i dla tego właśnie myśl serce mi szarpie...

— Kiedy tak, to na to jest rada...—rzekł szynkarz, odejmując ręce ze stoła i prostując się.

— A jaka?...—zapytał sołdat powtórnie.

— Stakanczik jeden, drugi... to wnet się w głowie rozjaśni, jakby słońce zaświeciło...

— A jakiej?...

— Lutrówki... wprost z pod czopa, chwycić tak żeby piana nie zeszła...

— Dawaj!... Ale jaby i zjadł co przytem...

— Zjedz, kiedy taka wola twoja...

— A co?...

— Co zechcesz... Do mnie gdyby kto strapczy przyszedł i krzyknął: kuszat'!... tobym mu dał tak pokuszat',

http://rcin.org.pl

iżby palce oblizywał... Ty wiesz zresztą... Ty u mnie nie nowicyusz, i jadałeś już i pijałeś... Czegóż chcesz?... wątroby gotowanej?... baranich nóżek na zimno?... ogórków solonych?... byczka smażonego?...

Sołdat się zamyślił.

— Czort jego wie!... Chciałoby się i tego i tego... Widzisz, kiedy myśl dokucza, to człowiek po prostu głupieje...

— Więc kałatnij sobie lutrówki najprzód...

To mówiąc, wziął z szynkwasu szklaneczkę sporą, podstawił ją pod czop ustawionej w szynkowej izbie beczułki, pokręcił kurek, szklaneczkę napełnił i przed sołdatem postawił. Ten splunął, przeżegnał się i duszkiem wychylił.

— A co!... Ogień... Od tej, jeżeli myśl nie zginie, to już jej i sam djabeł kleszczami nie wyciągnie... Może jeszcze?...

— Dawaj jeszcze...

— Wot i dieło...

Szynkarz powtórnie szklaneczkę napełnił. Sołdat ją powtórnie wychylił.

— Rozchodzi się po sercu, jakby się cukier rozpływał... Nie prawdaż?...

— Prawda...—odparł soldat, gładząc się dłonią po żołądku.

— Może jeszcze?...

— E... czort pabieri... dawaj jeszcze...

Szynkarz po raz trzeci szklaneczkę napełnił. Sołdat ją po raz trzeci wychylił.

Cudowny tej trzeciej porcyi wpływ w ten wyraził się sposób, że mu się jeść odechciało. Zapomniał, że głodny przyszedł—szynkarz mu też tego nie przypomniał, obsługu-

http://rcin.org.pl

jąc innych gości, którzy, w liczbie osób mniej więcej tuzina płci obojej, zajmowali stoły, nie zapełniali jednak i w połowie izby obszernej, słabo kinkietami paru oświeconej.

Sołdat oparł się na stole łokciem i po izbie okiem prowadził. Przez czas jakiś milczał; dalej poczuł w sobie ochotę do gadania i sam z sobą następującą gawędkę prowadził:

— Czort pabieri... Człowiek się natłukł po świecie... hej!... gdzie ja nie był?... Był z Zabałkańskim w Turcyi i na sztyki chodził... A ta driań co...

Zapytanie to stosowało się do gości zastolnych. Poprawił się, łokieć dalej na stół posunął i nadął się. Po chwili śpiewać począł:

„Czto zatumaniłaś zorińka jasnaja,

Pała na ziemliu rasoj?...

Czto prigariuniłaś dziewica krasnaja?...

— Diewica?... tfu!...—splunął i zawołał: Hej! szynkarz!... dawaj wódki!... Postaw mi kwartę całą, ja nie taki, żeby szklaneczkami ciągnąć...

— Siej czas!...—krzyknął szynkarz, lecz nie śpieszył, będąc innymi zajęty gośćmi.

— Pośpieszajże!... chyba ty nie wiesz, z kim do czynienia masz?... Gdyby mi się zechciało kupić szynk twój i ciebie, tobym kupił i tej chwili gotówką zapłacił...

Słowa ostatnie, głośno powiedziane, ściągnęły na sołdata oczy wszystkich obecnych. Szynkarz postawił przed nim sztof pełny i kieliszek spory i uważnie go wzrokiem zmierzył.

Sołdat począł pić. Popijając przemawiał:

— Pożyczył u mnie kopiejek piętnaście... skatina!... ale ja mu ich nie daruję, choć on szlachticz... Szlachticz skatina!... A ja co?... Ja kazionnyj czieławiek... Ja mu nie daruję... Ale gdzie on się podział?... Nu, mnie wypła-

http://rcin.org.pl

cili tysięcy pięćdziesiąt... wyliczyli, wypłacili, to... i czegóż ja miał czekać?... A on, skatina, został i (tu westchnął) zostało przy nim moich kopiejek piętnaście... Gdybym był wiedział, że do gamazieju nie przyjdzie, to byłbym go za połę trzymał...

Mówił i popijał; nalewając po stole rozlewał. Szynkarz nieopodal od niego stał i ucho nastawiał.

Nie będziemy powtarzali gadaniny człowieka pijanego. Prawił długo jeszcze, wspominał rodzinę, którą przed laty zostawił sam nie wiedział gdzie, rozrzewniał się, gniewał, przyśpiewywał, w końcu się na ławę pochylił, z ławy pod stół się osunął i zasnął.

Północ minęła; w izbie szynkowej pusto było i ciemno. Drzwi zamknięte, okienice pozamykane.

Weszli szynkarz i szynkarka ze światłem.

— Śpi?...—zapytała kobieta półgłosem.

— Czy śpi!... hm...—odparł mężczyzna głosem wątpliwości usuwającym.

— Aby się jeno nie obudził...

Szynkarz stół odsunął, i uderzając leżącego na podłodze nogą w bok, zawołał głosem podniesionym:

— Służiwoj!... hej!... wynoś się do licha!...

Sołdat najmniejszego nie dał znaku, ażeby uczuć miał uderzenie.

Była to odpowiedź na uwagę szynkarki, odnoszącą się do możliwości obudzenia się śpiącego. Po próbie tej kobieta zbliżyła świecę, mężczyzna zaś zrewidował sołdatowi kieszenie i znalazł w takowych tytoń, fajeczkę, pudełeczko z siarnikami, sporo okruch, guzików kilka, nożyk składany i kaletę a w niej kwotę, wynoszącą mniej więcej zarobek tygodniowy.

— Cóż on, durak, o tysiącach prawił?..

http://rcin.org.pl

— Po pijanemu...—zauważyła szynkarka, trzymając nad śpiącym świecę.

— Po pijanemu!... hm!... Co trzeźwemu na myśli, to pijanemu na języku...—odparł szynkarz.—Gdzież prawda, jeżeli nie u pijanego!...

— A porozpinaj-no mu odzież...

Szynkarz rozpiął śpiącemu szynel i obmacał takową starannie, rozpiął następnie część odzieży trzymającą środek pomiędzy kaftanikiem a kamizelkę i za nią, pod koszulą, odkrył, zamieszczoną na szyi torebkę skórzaną. Dotknął się torebki palcami.

— Papiery... odstawka...

— Nic więcej?...—zapytała kobieta.

— Cóżby więcej u sołdata być miało!... Pieniądze?... te, jeżeli nie w kieszeni, to byłyby gdzieś pozaszywane...

— Bumażki może...

— Chyba...—odparł szynkarz i torebkę otworzył.

Łatwo wyobrazić sobie zdumienie zacnej tej pary, gdy oczom jej przedstawił się pierwszy bilet bankowy, opiewający tysiąc rubli na ukaziciela, mających być wypłaconemi przez skarb państwa.

— Tysiąc rubli!...—zawołał mężczyzna.

Kobieta przytuliła się ramieniem do męża i okiem błyszczącem na papier malowany patrzała.

— A oto drugi tysiąc, a oto trzeci, czwarty... uch Boże ty mój!... Patrzaj... sołdat!... Gdzie on się tego nabrał?...

— Nic... nic...—odrzekł mąż, licząc papiery.

Odliczył, na stole rozłożył, kobieta na stole świecę postawiła, wpatrywać się poczęli. Wpatrywali się najprzód w pieniądze z wyrazem admiracyi, następnie jedno w drugi! z wyrazem zapytania.

http://rcin.org.pl

— I cóż Grysza...—zagabnęła żona po chwili.

Mąż przez nos „hm“ odpuścił i ramionami ruszył.

— Chyba ja przyniosę tobie...

— Co?...

— Nóż...—powiedziała tonem tak spokojnym, jakby chodziło o rzecz jaką zwyczajną.

Szynkarz westchnął i odrzekł:

— Poczekaj...

— I na cóż czekać!... czy na to, żeby się obudził?... Patrz, jak leży... na boku prawym, lewy do góry... Widzisz, Grisza?...

Szynkarz rzucił na śpiącego okiem z ukosa, pomyślał przez chwilkę i począł papiery składać. Szynkarka milczała. Kiedy jednak mąż, włożywszy pieniądze do torebki, zaczął na sołdacie odzież zapinać, odezwała się:

— No?... A toż na co?... Czy to on lepszy od tamtego, co w piwnicy pogrzebany, albo od tamtego, któregoś wyniósł na Arnautkę, albo od tamtego, którego...

Szynkarz ręką machnął i przerwał:

— Lepszy, bo z tamtych na jednym zarobiliśmy rubli dziesięć, na drugim trzy, na trzecim kopiejek czterdzieści... a na tym, widzisz, co zarobić możemy!... Dla tamtych przeto nie żal było głowę narażać, z tym zaś trzeba ostrożnie, żby nie stracić i głowy i pieniędzy...

Uwaga ta trafiła do przekonania szynkarki. Uznała ją, odparła jednak:

— Byleby tylko nie przemądrować...

— W tem rzecz cała... Chodzi o to, żeby go z szynku nie puścić... a na to sposób... o...

Ukazał palcem na baterye butelek, sztofów i beczek.

— A i ty się do niego przymazuj...—dodał, patrząc na małżonkę.—Widziano go tu, mogą dośledzić, dojść po nitce

http://rcin.org.pl

do kłębka i wówczas... biada nam!... Trzeba się na to oglądać... Zobaczymy, minie dni parę... jeżeli się nic nie pokaże, to... albo przy nas wszystko zostanie, albo tysiączek jeden drugi, który pójdzie na ten rachunek.

Kobieta ziewnęła czewko. Ziewnięcie to stało się niejako hasłem do odejścia. Małżeństwo oddaliło się, zabierając światło ze sobą. Izbę zalała ciemność zupełna, która panowała godzin kilka, aż brzask dzienny wdzierać się do niej począł smugami przez szczeliny okienniczne. Smug jeden padł na oblicze sołdata i ten, jakby pod wpływem onego, przewrócił się, wyciągnął, ziewnął, zerwał się nagle i usiadł.

— Czort pobieri... Gdzie to ja? Nu, spało mi się...

Splunął, chrząknął, skrzywił się srodze.

— Czy ja nie w szynku, u Griszi?...

Ręce wyciągnął i dotykał się palcami przedmiotów, których dosięgnąć mógł.

— Ba w szynku... Nu, czesny człowiek, ten Grisza, nie wyrzucił... Nu, lepiej taki nocować w szynku, aniżeli na sjeżżej...

Nagle, jakby sobie coś przypomniał, za pierś się dłonią uchwycił, macnął razy kilka i rzekł:

— Czesny człowiek, nie ma co mówić... bezpiecznie u niego, jak u ojca rodzonego...

W chwili tej, drzwi od izby przyległej otworzyły się i weszła kobieta, żona szynkarza, którą mieliśmy zaszczyt poznać o godzinie pierwszej w nocy. Weszła z miotłą w ręku, zbliżyła się do okna, otworzyła okiennicę, i ujrzawszy siedzącego na ziemi sołdata, krzyknęła tonem zdziwienia:

— Uchti, Boże mój!...

— Nu...—odezwał się siedzący.—To ja... Nie bój się, chaziajka, ja tu nie przez okno wlazł... Bóg wam zapłać

za nocleg... Bóg wam zapłać za to, żeście człowieka jak psa nie wypędzili...

To mówiąc, dźwignął się i na ławie usiadł.

Kobieta stanęła przed nim, wciąż zdumienie udając.

Sołdat kaszlał i krzywił się.

— Czyś chory?...—zapytała ze spółczuciem.

— Czort pabieri... brr... u!... Pod sercem czczo...— odchrząknął.

— Stakanczikby może?... Dobrzeby było na czczość czaju z rumem, ale czaj drogi, a u naszego brata pieniędzy nie ma...

— Jak u którego, chaziajka...—odparł sołdat. Mnie na czaj starczy... Dawaj czaju...

— Posiedź trochę... Niech no izbę pozamiatam, to wnet samowar nastawię i dam ci parkę takiego czaju, jakiego w samej Moskwie nie dostać...

— Bóg zapłać, chaziajka...—mruknął sołdat w poczuciu wdzięczności dla kobiety, która, przemawiała do niego słowem ludzkiem.

W ciągu zamiatania izby, szynkarka rozmawiała z nim o rzeczach obojętnych i wspomniała od niechcenia, że nieraz się trafia, iż w jej szynku i po tygodniu biedak jaki przebywa. W końcu usiadła obok sołdata. Temu się słodko na sercu zrobiło.

— Ej, choziajka...—rzekł—bywał ja w Turcyi i Bóg wie gdzie, chodził ja na sztyki, a nigdzie mi tak dobrze nie było... Gdyby jeszcze czaj z rumem, to jużbym nie pragnął niczego...

— A zkąd ty rodem?...—zagabnęła kobieta z przymileniem.

— Zkąd?... Czort jego wie... Ale, a!...—przypomniał sobie.—To u mnie w odstawce zapisano.

http://rcin.org.pl

I sięgnął ręką w zanadrze, jakby chciał dymissyę wydostać, wnet jednak zamiaru tego zaniechał. Kobieta nie nastawała. Posiedziała jeszcze chwilkę, następnie wstała, wyszła i po niejakimeś czasie powróciła, niosąc na tacy czajnik, szklankę, kawałeczek cukru na podstawce i flaszkę z rumem.

— Oto tobie, służiwoj, na czczość pod sercem...

Sołdat uraczył się. Wypił sześć szklanek herbaty i całą flaszkę rumu.

Tymczasem goście różni przybywać poczęli. W izbie szynkowej pojawił się i Grisza, od niechcenia faworytowi fortuny „dzień dobry“ rzucił i nie odrazu do niego się zbliżył; zbliżywszy się zaś, odrazu zapytał:

— Nu... a cóż... myśl?...

— Ach!... okajannaja!... Gryzie i gryzie...

— Stakanczik?...

— Dawaj...

We względzie tym panowała monotonność nudna i obrzydliwa, przerwana raz jeno kłótnią zaciętą z szynkarzem. Temu ostatniemu chodziło o dowiedzenie się o pochodzeniu skarbu, znajdującego się w sołdackiej torebce. W tym celu, drażnić go począł, zarzucając mu, że nie posiada całego majątku więcej, jak rubla półtora.

— Tysiące!...—twierdził sołdat.

— Ty tysiąca w życiu twojem na oczy nie widział...

— I widział, i mam!... Moje własne!...—bił się dłonią po piersi.

— Zkądżebyś wziął...

— Na lunteryi wygrał!... Tysiące!... Panimajesz?...

Szynkarz indagacyi dalej nie posuwał. Zręcznym w mowie obrotem przywrócił zgodę i skierował materyę na myśl ową przeklętą, która sołdata trapiła, ile razy ja-

http://rcin.org.pl

śniej nieco w głowie mu się robiło. Myśl i pożyczona szlachcicowi złotówka, były to dwa w głowie jego szkopuły, o które rozbijały się władze jego umysłowe, zalewane ustawicznie spirytusem. Nie ciągnęło się to jednak długo. Nazajutrz rano sołdat jak szalony wybiegł z szynku, wołając, że go okradziono. Nikt tych wyrazów nie słyszał prócz szynkarza i szynkarki. Sołdat biegł przez ulice, chwytając się co chwila za piersi, dobiegł do portu, stanął nad wodą i zawahał się chwilę.

— Czort pobieri!—zawołał. I rzucił się w morze.

http://rcin.org.pl

III.

Żyd, sołdat i szlachcic pracowali razem, przez ciąg tygodni kilku w magazynie jednego z zamożniejszych kupców zbożowych, i za namową żyda, wzięli wspólnie cały jeden bilet na loteryi. Żyd namówił i wytłumaczył, wytłumaczył i przekonał, że „ryzyko jest rzeczą szlachetną". Szlachcic się zapalił i zaryzykował rubli trzydzieści; sołdat się zapalił i zaryzykował rubli pięć; zapał żydowski posłużył do dopełnienia kwoty, potrzebnej do pokrycia kosztu biletu. Los im posłużył. Wygrali stawkę najwyższą i widzieliśmy, jak na tem wyszli żyd i sołdat. Zbawienn wpływ loteryi wyraził się na nich w całej sile i nagości. Ani jeden ani drugi nie odnieśli korzyści. Uśmiech fortuny przyprawił ich o śmierć, zawierającą w sobie rozległy sens moralny.

Zobaczmyż teraz, co spotkało trzeciego, który z urzędu loteryjnego wyniósł summę największą.

Ciekawa rzecz: kto to był ów trzeci?

W dwóch rozdziałach poprzednich prowadziliśmy opowiadanie tak, jakbyśmy się trzymali reguły, głoszącej po

http://rcin.org.pl

łacinie, że: *nomina sunt odiosa*. Podawaliśmy fakta bezimienne. Przyczyna tego jest podwójna: najprzód, epizodyczne samych faktów znaczenie, powtóre, ta okoliczność, że, w rzeczy samej, nie znamy i nie znaliśmy nigdy nazwisk żyda, co się powiesił i sołdata, co się utopił.

Szlachcica jednak znaliśmy osobiście, dosyć blizko, w swoim czasie. Bywaliśmy w domu jego, z którego wynieśliśmy wspomnień kilka, nie czyniących ujmy najmniejszej ani jemu, ani pani jego. Przypominam ich sobie doskonale. On odznaczał się słuchaniem uważnem wszystkiego, co się przy nim mówiło i miał taką minę, jakby słowo każde w umyśle sobie karbował. Ona, tłusta, uśmiechnięta jejmość, słynęła z gościnności wielkiej i z pewnych manier, które ją cechowały, służąc za przedmiot żartów, nie ubliżając jej jednak bynajmniej. Na swojem miejscu wykażemy jej wady i zalety—wady i zalety, właściwe człowiekowi każdemu, nie masz bowiem, zdaje się, nikogo, w kimby się, w połączeniu, nie znajdowały jedne i drugie. Nie masz śmiertelnika bez wad i bez śmieszności. Posiadała takowe i jejmość, którą kopiujemy wedle obrazu, jaki nam kreślą wspomnienia osobiste młodości naszej.

W oczach stoi mi, niby żywa, postać pani Katarzyny Mędzińskiej.

Szczęśliwcem, co los wielki w największej onego części wygrał, był nie kto inny, jeno Kacperek—ów Kacperek Mędziński, o którym, na samym opowiadania niniejszego wstępie, powiedzieliśmy, że nie urodził się pięknym, ale szczęsnym.

— Zkądże się wzięła pani Katarzyna?...—ktoś zapyta.

Z Kaśki owej, co to się pralni w ohrebyskim dworze trzymała.

Przypominamy sobie, w jakich najgrubszego realizmu

http://rcin.org.pl

skorupach urodziło się pomiędzy niemi coś, czegośmy miłością nazwać nie śmieli. To „coś“ trzymało się ich. On rósł i z lokajczuka wykierował się na lokaja; ona rosła i z dziewczyny od pobiegów wykierowała się na praczkę formalną: ono się ich trzymało. Kacper i Kaśka lgnęli do siebie, stosunek zaś ich był, nie przymierzając, stosunkiem brata i siostry, pomimo niestosowności stanowisk, jakie w hierarchii służbowej zajmowali. On był lokajem—lokaje zaś przez ramie a z góry na motłoch czeladny spoglądali. Patrzyli w stronę garderoby; tam, jeżeli który o związku małżeńskim myślał, myślami strzelali i żaden z lokai aniby zamarzył o mezaliansie z praczką. Gdzie też! I Kacprowi, prawdę powiedziawszy, nie marzyło się o zawarciu z Kaśką związków małżeńskich, pomimo to stosunek wzajemnej życzliwości, braterskiej ze strony jego, siostrzanej ze strony jej, utrzymywał się tak długo, póki podkomorzy żył i podkomorzyna na mieszkanie do Odessy się nie przeniosła.

O śmierci podkomorzego i o przeniesieniu się do Odessy podkomorzyny pomówimy później. Obecnie zapisujemy jeno fakt nagi, dodając do onego ten tylko szczegół, że podkomorzyna, opuszczając Ohrebyszcze, sformowała sobie dwór, to znaczy, spisała, jak czasu onego regiestrzyk wyprawy, regiestrzyk służby i w regiestrzyku tym, pod rubryką „lokaj“ napisała „Kacper“. Kucharz, kuchta, lokaj drugi, masztalerz, stróż, panna służąca, pokojówek dwie, dziewek dwie, dowiedziawszy się o przeznaczeniu swojem, nie miały przeciwko niemu nic. Owszem. Nowość podobała się im i uciechę niemałą sprawiała. Przyczyniała się do tego w znacznej części miłość własna, połechtana wyborem jasnej pani. Coś to znaczyło; ci bowiem, na których wybór nie padł, uczuli się jakby upokorzonymi. Markotno im było.

http://rcin.org.pl

Markotno jednak było i Kacprowi, pomimo, że na niego wybór padł.

Na regiestrzyku nie figurowała Kaśka.

Nie wpadło mu to do głowy odrazu. W pierwszej chwili, gdy się o zaszczycie dowiedział, rozradował się.

— Przynajmniej—pomyślał sobie—człek wyrwie się z tej ulicy zarwańskiej...

Dla czego on dwór ohrebyski nazywał ulicą zarwańską, o tem dowiemy się później. Należy to do historyi ogólnej, odzwierciedlającej się w powieści niniejszej. Teraz zajmuje nas historya dwóch serc, z których jedno bije w piersi lokaja, drugie w piersi praczki. Gdy Kacper pomyślawszy sobie, że to dobrze, iż Ohrebyszcze opuści, Kaśkę spotkał, uczuł, jakby go coś—mysz dajmy na to—w serce ugryzła, i rzekł:

— Kaśka, a wiesz ty?...

— O czem?...

— Ta że o tem, że jasna pani do Odessy się ze wszystkiem przenosi...

— Zkądżebym wiedzieć miała!...

— I mnie ze sobą zabiera...

— I ciebie?...

W zapytaniu tem tyle mieściło się uczucia, tyle rzewności, żalu, bólu—powiedzielibyśmy, miłości, gdybyśmy się nie lękali wyrazu tego sprofanować—że Kacper uczuł w sercu swojem coś nakształt ugryzienia, nie myszy już, a, dajmy na to, psa.

I westchnął.

Kaśka ręce na piersiach skrzyżowała i patrzała mu w oczy.

Kacper patrzenia tego wytrzymać nie mógł.

Odwrócił się i precz odszedł. Zrobiło mu się jednak

http://rcin.org.pl

markotno, strasznie markotno. Kaśka z rękami skrzyżowanemi i z oczami w niego wpatrzonemi, stała mu w myśli niby wyrzut sumienia. Gdzie się jeno obrócił, wszędzie mu się ona pokazywała. Widział ją na talerzach, w szklankach, w karafinkach, w łyżkach stołowych, na półmiskach; wystawała z wazy zupą napełnionej, w postaci Najady ociekającej barszczem zabielanym, przebijała się widelcem; dławiła się kotletem, który on dla niej schować zamierzał i dla tego zamiaru zaniechał; słowem spokoju mu nie dawała, pomimo, że nic innego nie zrobiła, tylko zapytała: „I ciebie?“ i popatrzyła. Rady sobie dać i uspokoić się nie mógł, aż zaniósł do panny Magdaleny, tej samej co z podkomorzyną regiestrzyk wyprawy układała, prośbę strzelistą, ażeby ona wstawiła się do jasnej pani i wyrobiła dla Kaśki miejsce w służbie, mającej towarzyć pani do Odessy. Była to negocyacya nadzwyczaj drażliwa i niesłychanie delikatna. Kacper ani chciał, ani mógł, aniby się odważył przyznać przed panną Magdaleną do czegoś, coby wyglądało jako cień cienia jakowegoś dla praczki spółczucia. Gdy przeto panna Magdalena zapytała znienacka:

— Cóż Kacpra Kaśka obchodzi?...

— Co?...—bąknął i uczuł gorąco, które się w piersi zaczęło i do twarzy mu skoczyło.

Zawstydził się tego, że go panna służąca posądziła, iż go praczka obchodzić może.

Wnet jednak opamiętał się i odrzekł:

— Ta coby mnie obchodzić miała!... Ot zwyczajnie... Dowiedziała się snadź, że panna Magdalena jedzie, taj widać, że wielkie ma do panny przywiązanie... Nie śmie, widać, prosić sama i do mnie się udała, wiedząc zapewne, że panna Magdalena na mnie łaskawa...

W rzeczy samej, panna Magdalena, starsza od Kacpra

http://rcin.org.pl

o lat jakich piętnaście, czuła do niego pociąg łatwy do zrozumienia. Zręczne, a raczej bezczelne kłamstwo skutek pożądany odniosło.

— No, to dobrze...—odparła panna służąca.—Jeżeli tak, to już ja się za nią wstawię do matki księżnej pani...

— A kiedy?...—zapytał Kacper.

— Kiedykolwiek... Toć w kark nikt nie bije... Śpiez nego nie ma nic, nie jedziemy przecie aż za miesiąc...

— Ależ bo...—zaczął lokaj zakłopotany—jabym chciał, żeby to można jak najprędzej...

— W gorącej Kacper wodzie kąpany... I dla czegóż to?...

— Dla niczego... Ot, chciałbym się zbyć, żeby z praczką dużo nie gadać...

— To Kacper z nią gadać nie lubi?...

Znów trzeba było w kłamstwie ratunku szukać.

— Choćbym lubił, to cóżbym z nią do gadania miał!... Jak pogadać chcę, to szukam panny Magdaleny...

Panna cisnęła na niego spojrzeniem zalotnem, zrobiła minę taką, jak gęś gdy się umywa, i odpowiedziała:

— No, to powiem jasnej pani jutro przy ubieraniu...

— O! dziękuję!...—zawołał Kacper.

I o mało się nie zdradził intonacyą głosu.

Z żywą bardzo, żywszą jak samby się spodziewał, niespokojnością, wyczekiwał dnia jutrzejszego. Doczekał się. Zaglądał do apartamentów podkomorzyny, ucho nastawiał, czatował na pannę Magdalenę, którą złapał na przesmyku, gdy do garderoby przechodziła.

— A co?...

— Co?...

— Mówiła panna jasnej pani?...

— O czem?...

http://rcin.org.pl

— Ta że o tem... och!...—odparł, siląc się na obojętność—o co ja prosił?...

— O Kaśce?...

— A no... o praczce...—wyraz ostatni brzmiał wzgardliwie.

— Mówiłam... no i biedym sobie napytała...

— Cóż przecie...

— Ani słyszeć chce, jeszcze na mnie ofuknęła... Niechluja!... powiedziała...

Wyznać musimy, mówiąc nawiasem, że podkomorzyna miała racyę jak najzupełniejszą. Kaśka ochędóstwem nie odznaczała się wcale.

Odpowiedź ta zmięszała Kacpra i zmartwiła. Był markotny; stał się niby struty. Ani się domyślał, ażeby go to tak obejść miało; ani się dorozumiewał powodu, dla którego tak go to obeszło. Kaśka napróżno przychodziła w te miejsca w okolice dworu, w których się z nim zwykle spotykała. Unikał jej nie dla czego innego, jeno dla tego, że poczuwał się względem niej jakby winowajcą. Tak upłynęło dni kilka. Kacper wciąż był niby struty, że to aż uwagę ludzi na niego zwracało, stracił apetyt, stracił sen, zmizerniał, nudził sobą, nad czemeś jakby medytował i w końcu zdecydował się sam, osobiście do podkomorzyny zakołatać. Skorzystał ze sposobności pierwszej lepszej i stanął przed nią w postawie suplikanta—ręce złożone, głowa spuszczona.

— Czego chcesz?...—zapytała pani.

— Prosić łaski jasnej pani...

— No... i cóż to nowego?...

— Ażeby mnie jasna pani do Odessy ze sobą zabierać nie raczyła...

— Ażebym cię w Ohrebyszczach zostawiła?..

http://rcin.org.pl

— Ażeby mnie jasna pani w Ohrebyszczach zostawić raczyła...

— A toż co!... o!... jeszcze czego nie stało!... Cóż to, mam nie brać ze sobą kogo zechcę?... To mi się podobało!... Idź precz i nie nudź mnie!...

Kacper, od dzieciństwa w służbie, tak się dalece w posłuszeństwo wdrożył, że ani mu przez myśl przeszło, że jest człowiekiem wolnym. Odrzuciła jasna pani prośby jego odszedł i wolę jej przyjął, jak wyrok losu. Od chwili tej lżej mu się nieco na sercu zrobiło. W sumieniu swojem uznawał, że zrobił wszystko, co w mocy jego było. Uspokoił się więc. Przestał być niby strutym, pozostał napowrót markotnym—pozostał markotnym do samego końca pobytu w Obrebyszczach i do samego końca unikał spotkania z Kaską.

O unikaniu tem to jeno powiedzieć możemy, że nie było ono bez kozery. Ktośby pomyśleć gotów, że stanowiło ono dowód, iż skłonność jego do praczki wchodziła do kategoryi skłonności owych zwyczajnych, lokajskich, co to cofają się przed pierwszą lepszą przeszkodą. Przeszkoda się zdarzyła w woli podkomorzyny i on jej dał za wygranę. Nie. My pod względem tym innego jesteśmy zdania. Gdyby skłonność jego była w rzeczy samej zwyczajną, lokajską, to on wywiązałby się z niej w sposób zwyczajny, lokajski: zarzuciłby na dziewczynę sieć miłosną, odegrałby przed nią scenę rozpaczy, otumaniłby ją wyrazami, wyzyskał i porzucił. Rzeczy te robią się wedle jednego i tego samego patronu, barwiącego jednakowo miłostki wszelkie. Im więcej słów, tem mniej treści. Strona słabsza, strona bierna pada ofiarą; mocniejsza zaś odchodzi z westchnieniem, które natychmiast zmienia w kogucie pianie, ogłaszające tryumf. Tak postępują sobie lokaje w spra-

http://rcin.org.pl

wach tego rodzaju. Zwyczajność polega na tem, ażeby wyzyskać stronę słabszą. Dla Kacpra nie było nic łatwiejszego, jak w sposób podobny skłonność swoją pokierować. Kaśka co rano, co wieczór, a przytem często w różnych dnia porach, czekała na niego „pod umówionym jaworem“. On ją widywał zdaleka... czekającą, wyglądającą, tęskniącą, mniej mytą jak zwykle, co dowodziło, że całkiem o sobie myśleć przestała, jak na rzetelne rozkochanie przystoi— i nie szedł do niej. Powściągliwość ta—wyznać należy— płynęła z pobudek szlachetnych: nie jeden z nielokajów nie zdobyłby się na nią—nie zdołałby oprzeć się pokusie pocieszania strapionej, bez względu na rezultaty fatalne, do jakich pocieszania podobne zazwyczaj doprowadzają.

Kacper oparł się pokusie owej.

Sto razy pędził już, w celu spotkania się z Kaśką i sto razy powstrzymał się w zapędzie.

Poczytujemy mu to za zasługę i wielką. Dowodzi to, że, choć lokaj, głos sumienia rozumiał i nie kwapił się ze zrobieniem dziewczyny nieszczęśliwą. Powstrzymywał się w zapędach do samego ostatka. Zajechała kareta podróżna, mająca odwieźć podkomorzynę do Odessy, on, pożegnawszy matkę co nieopodal stała, stanął przy drzwiczkach, otworzył je dla jasnej pani, wyprowadzanej i żegnanej przez syna i córkę, zamknął za nią takowe i na koźle obok stangreta miejsce zaſł.ąSt angret bat rozwinął—„wio-ho!“—konie ruszyły. Dopiero Kacper obejrzał się. Wzrok jego spotkał się ze wzrokiem Kaśki. Stała w dali z rękami skrzyżowanemi na piersiach i patrzała się na niego tak samo, jak wówczas kiedy zapytała: „I ciebie?“

Serce mu się ścisnęło.

Łzy do powiek nabiegły.

http://rcin.org.pl

Zachłysnął się, i usiłując płacz w sobie stłumić, ryknął głucho, aż się stangret zgorszył.

— Beczysz?... hę?...—zapytał.—Jest za czem!... Ja Bogu dziękuję, żem się wyrwał z tego dworu, który po śmierci starego pana stał się zapadnią... W Odessie nie będzie może lepiej, będzie jednak inaczej... Wio ha ho!...

Słowa te uspokajająco wpłynęły na Kacpra. Obejrzał się atoli jeszcze. Dziewczyna wciąż stała. Kiwnął do nie głową na pożegnanie. Ona nie odkiwnęła. Poprawił się na siedzeniu; wyjechali za wieś; minęli figurę; obejrzał się znów.

— Co u licha?...—rzekł sam do siebie.

Oczy przetarł.

Drogą ktoś pędził za karetą. Ktoś ów przedstawiał się pod postacią niewieścią.

— Czyby ona?...

Wnet jednak sam sobie odpowiedział i wyperswadował:

— Nie, to być nie może... Chybaby zwaryowała.

Oglądał się wszakże i widział wyraźnie pędzącą postać jakąś, która coraz to znikała w miarę jak unoszona dobrym kłusem kareta oddalała się od Ohrebyszcz. Wreszcie znikły i Ohrebyszcze, znikła i postać.

— To nie ona...—mówił Kacper do siebie w duchu.— Cóż znów!... A zresztą, chociażby i ona, to... przebiegnie się i koniec końcem powrócić musi... Tak sądzono...

Myśl o Kaśce prześladowała go przez cały ciąg podróży. Stwierdził na sobie prawdę słów piosnki pewnej, w której za zwrotką każdą powtarza się dwuwiersz następujący:

„Żal, żal za dziewczyną,
Za dziewczyną, za jedyną".

http://rcin.org.pl

Żal mu było serdecznie za Kaśką brudną. Cóż jednak! Rozwaga przyszła w pomoc i postawiła kwestyę na gruncie praktycznym, wyprowadzając ją z następującego pytania: czem on był dla Kaśki a czem Kaśka była dla niego? Niczem. Możliwość skojarzenia się małżeńskiego ani mu do głowy przychodziła. Stanowisko jego społeczne czyniło przypuszczanie czegoś podobnego niepodobnem. On lokaj! ona praczka! A zatem, rozstanie które nastąpiło, nastąpić musiało prędzej czy później, nie w ten to w ów sposób. Stało się. Rzecz skończona. Rozwaga rozwiązała węzeł gordyjski, który się zawiązał nieregularnie. Resztę dokończyła dystrakcya, jaką sprawiło miasto wielkie.

Kacper był w Odessie po raz pierwszy w życiu swojem. Odessa zajęła go i ogłuszyła; tysiące przedmiotów nowych a ciekawych, rzucając mu się w oczy, wywierały na umysł jego i na wyobraźnię wrażenie silne, w pierwszych zwłaszcza chwilach pobytu.

Podkomorzyna nie zajeżdżała do hotelu. Zajechała wprost do domu na ulicy Włoskiej, który, wynajęty dla niej zawczasu, umeblowany i we wszystkie sprzęty zaopatrzony, czekał na jej przybycie. Był to dom piętrowy, z bramą wjazdową, z podwórzem, ze stajniami, z wozownią, dom obszerny i wygodny, posiadał bowiem nawet i ogródek, w którym znajdowało się trochę zieleni i chłodu. W zabudowaniach podwórzowych mieściły się izby dla służby. Tu Kacper, ku niemałemu zdziwieniu swemu, dowiedział się, że słudzy mają prawo mieszkać, równie jak panowie. W Ohrebyszczach było to dla niego tajemnicą. Tam ludzie służebni nie mieszkali wcale, a raczej, mieszkali na wzór psów, przesiadywali przez dzień gdziekolwiek i sypiali w nocy gdzieniebądź, ten na podłodze, ów na ławie, inny na stole, na stołkach etc. W Odessie znalazł izbę, przeznaczoną

http://rcin.org.pl

dla niego i lokaja towarzysza jego, a w izbie tej łóżka z pościelą, stolik, stołków parę, firanki w oknie i obrazów kilka na ścianie. Zdziwiło go to wielce.

— Co to, miasto... trzysta mu mać!...—rzekł do towarzysza, rozbierając się pierwszego wieczora—człek wyśpi się przynajmniej, niby pan jaki...

W parę dni później towarzyszył podkomorzynie, która robiła wizyty; dalej przyuczał się do trybu służby miastowej, do anonsowania gości, dyżurowania w przedpokoju, przyjmowania natrętów, asystowania jasnej pani w powozie na piechotę, noszenia za nią książek do nabożeństwa w kościele i szala na przechadzce, wyskakiwania na odgłos dzwonka, i t. p. W wolnych chwilach, najmilszem jego zajęciem było gapienie się na mieście, co przynosiło korzyść niejaką, w ten bowiem sposób oznajamiał się powoli z wewnętrznym rozkładem Odessy i rozpatrywał się we właściwościach jej. Podkomorzyna często potrzebowała posługi; rzadkim był dzień, w którymby ona posyłała lokai, nie tam, to ówdzie, mniej jak razy dziesięć, tak, że dwóch było dla niej zamało. I to więc także dawało mu sposobność oswajania się z miastem, które, w przeciągu miesiąca, poznał dostatecznie, zbadawszy nawet niektóre z tajemnic jego, między innemi tę, co się odnosiła do trzymania zboża w magazynach. Przyszło to mu samo przez się, z okazyi pszenicy z Ohrebyszcz przysłanej. Pszenicę tę sprzedano na rachunek podkomorzyny, która, z tego powodu, posyłała Kacpra razy kilkadziesiąt, to do komissanta, to do kupca, i kazała mu w końcu stać przy mierzeniu w magazynie. Tam widział szuflowanie i dowiedział się, że przynosi ono dwa i trzy złote dziennie temu, co posiada siły odpowiednie. Wiadomość tę zakarbował sobie w pamięci, jak wiele innych, nie przewidując, ażeby mu kiedy przydać się mogła na co.

http://rcin.org.pl

Czas mu uchodził szybko. Minęło miesięcy kilka.

Razu pewnego, nad wieczorem, stojąc za karetą, w której siedziała podkomorzyna z hrabiną jakąś, przemieszkującą w Odessie, jechał ulicą Riszeliewską ku bulwarom. Kareta zatrzymała się przy Palais Royal. Zeskoczył, podbiegł do drzwiczek i chciał otworzyć takowe, lecz podkomorzyna powstrzymała go giestem i odpowiedziała hrabinie na uczynioną snadź przez tę ostatnią uwagę, czy też propozycyę:

— Dobrze... rzeczywiście, wieczór piękny a jeszcze nie tak późny, ażeby tłum się ciągnął... Jeżeli więc pani życzy sobie...

— O!...—odparła hrabina.—Jeżeli to pani nie zrobi różnicy żadnej... Ja lubię bardzo świeże od morza powietrze... ma w sobie coś...

— Balsamicznego...—podchwyciła podkomorzyna.

— Tak... no... tak... Bardzo lubię to powietrze...

— I ja lubię je bardzo... Każ więc—słowa te odnosiły się do Kacpra—jechać na bulwary i niech się kareta przy posągu Riszeliego zatrzyma...

Kacper powtórzył rozkaz stangretowi, wskoczył na stopień za pojazdem, kareta ruszyła i wkrótce potem stanęła.

Panie wysiadły i krokiem powolnym udały się najprzód ku schodom, zwanym olbrzymiemi—z powodu zapewne olbrzymiego głupstwa, które zbudowało ten ornament bezużyteczny—następnie wzdłuż alei, wysadzonych bzami i akacyami.

Kacper, stosując się do przepisów służby lokajskiej, powinien był, w odległości kroków piętnastu, iść za paniami.

Nie szedł jednak.

http://rcin.org.pl

Panie poszły same. Podkomorzyna gdy się obejrzała i nie zobaczyła lokaja za sobą, skipiała. Wydało się jej to czemeś takiem, co o pomstę do niebios wołało. Zgroza! Matka księżnej pani, na przechadzce, bez lokaja! ktoś gotów ją wziąść za szlachciankę, za kupcowę, za urzędniczkę. Rzecz niesłychana! Szła i o mało nie omdlewała za krokiem każdym, a nie mogła się kompromitować w obec hrabiny, oglądając się, lub też nawołując Kacpra do porządku. Byłoby to jeszcze gorzej. Szła więc, ale—jak to powiadają—jak na ścięcie, słuchała paplania towarzyszki o balsamiczności powietrza i czuła w sercu rozpacz prawie, z powodu afrontu, wyrządzonego jej przez własnego lokaja. Nie była jednak w stanie podtrzymywać rozmowy, czem zdziwiona towarzyszka, spojrzała na nią, widziała ją zmienioną i zapytała:

— Pani niedobrze?...

— Niedobrze mi jest, czuję się zalterowaną...

— Powietrze zbyt silne na nerwy pani... I ja tego doznawałam w początkach... Trzeba się przyzwyczaić i nie nadużywać... Możeby wrócić?...

— Wracajmy, jeżeli pani...—westchnęła.

— O! wracajmy... Niepokoi mnie stan pani kochanej...

— O! pani kochana...

— Niechże pani natychmiast poszle po doktora...

Zawróciły, nie doszedłszy do połowy alei, ciągnącej się wzdłuż urwiska z jednej i wzdłuż szeregu domów wspaniałych z drugiej strony i skierowały się ku karecie, stojącej po lewej stronie pomnika.

Cóż się z Kacprem stało?

Kacper towarzyszył paniom do pomnika, który one obeszły od lewej strony na prawą, i znalazłszy się pod ręką

http://rcin.org.pl

Riszeliego, trzymającą zwitek papieru, stanął nagle niby wkopany. Zatrzymało go westchnienie—nie westchnieni a jęknięcie raczej, od którego drgnął ciałem. Odwrócił głowę—czoło mu się zmarszczyło, oczy zaśmiały, doznał zarazem uczucia zdumienia, radości, pomięszania, przestrachu, politowania—ujrzał przed sobą Kaśkę—Kaśkę, we własnej jej skórze i kościach, w skórze, w kościach, w łachmanach, w nędzy, która biła i z odzieży jej i z niej samej.

— Kaśko!...—przemówił do niej zcicha, niby pod sekretem, zaledwie wierząc samemu sobie, że ten „straszny upiór jest to Aldona".

Dziewczyna pogarnęła się do niego w rozradowaniu wielkiem, wnet jednak wstrzymała się, dłonie do ócz poniosła i cicho płakać poczęła.

— Zkąd ty się tu wzięła?... co to znaczy?... jak ty się tu dostała?... Kaśko, choć słówko przemów...

Zadawał jej pytania po pytaniach, ale wszystko naprożno. Słówka od niej wydobyć nie mógł, gdy uczuł woń perfumeryi, któremi się skrapiają damy wielkiego świata i usłyszał słowa następujące:

— Kacper... każ karecie podjechać...

Podkomorzyna rzuciła te wyrazy i minęła go.

Kacper poskoczył zrazu, zatrzymał się wnet jednak, nawrócił i nie pierwej rozkaz podkomorzyny wykonał, aż Kaśce powiedział:

— Czekajże tu, czekaj i nie ruszaj się, póki ja nie przyjdę...

Dziewczyna nic nie odpowiadała, Kacper powtórzyć musiał i zapytał:

— Słyszysz?...

Odpowiedzi żadnej.

— Kaśka, na Boga!... Czy słyszysz?...

http://rcin.org.pl

Kaśka nic na to.

— Czekajże na mnie!... Czekaj, nie ruszaj się!... Będę starał się przyjść jak najprędzej...

Acz śpieszył się, nie mógł jednak nie narazić podkomorzyny na czekanie, które chociaż krótkie, wydało się jej wiekowem. Kiedy więc kareta podeszła i Kacper drzwiczki otwierał, spojrzała na niego wzrokiem przeszywającym, wzrokiem, który, gdyby na wyrok przetłumaczyć, opiewałby darcie pasów z żywego ciała. Wiedzieć należy, że podkomorzyna, natychmiast po osiedleniu się w Odessie, zaciągnęła się pod sztandar miłosierdzia i praktykowała takowe na szeroką skalę, czuła się przeto upoważnioną do karcenia surowo zbrodni takich, jakich się lokaj jej względem niej dopuścił. Dowiedziała się bowiem, co Kacpra zatrzymało. Dla żebraczki jakiejś, nietylko na przechadzce jej nie towarzyszył, ale zmusił ją czekać na powóz „całą godzinę“—nawiasem mówiąc nie było i minuty. Dla tego też, wsiadłszy do karety, nie mogła się powstrzymać od wynurzenia przed hrabiną żalu.

— Przepraszam panią... — przemówiła — serdecznie przepraszam...

— Za cóż to, pani kochana?...

— Ach! za służącego mego... Musiałyśmy *godzinę całą* na karetę czekać... Przepraszam panią... Te sługi, to plaga prawdziwa... Co za zepsucie! co za demoralizacya!...

— Ach! to prawda...—odparła hrabina.—Powszechnem jest narzekanie na nich...

— Powszechnem i słusznem...—podchwyciła podkomorzyna.—Bo proszę sobie tylko wyobrazić, ten... ten...—powiedzieć chciała „łotr, łajdak, zbrodniarz“, lecz się powstrzymała.—Mąż mój nieboszczyk obsypał go dobrodziejstwami, w domu naszym się wychował, ja z mojej strony

http://rcin.org.pl

nie szczędziłam względów dla niego... kiedym raz, przypominam sobie, dowiedziała się, że chory, dałam rozkaz ażeby mu rumianku ugotowano... i on, proszę wystawić sobie, kazał na powóz czekać godzinę całą!... To już wszystko przechodzi...

— Pani kochana nie stanowi wyjątku w tym względzie...—perswadowała hrabina.—Pozostajemy wszyscy na łasce sług najgorszych...

— Ach! tak... Ależ, niewdzięczność taka!... Zwierzęta są wdzięczniejsze...

— O! bez porównania...

— Piesek mój, Mimi, naprzykład...

— Albo moja papucia, Koko... Czy prezentowałam Koko pani kochanej?... Jaka miła!... jaka luba!...

— Mój Mimi nigdy nie zapomina szczekać z radości, jak mnie zobaczy chociażby po jak najkrótszem niewidzeniu...

— Moja papucia mówi mi, ile razy zechcę: Koko kocha swoją panią...

— O, zwierzęta wdzięczniejsze są aniżeli ludzie kondycyi nizkiej... Zwierzęta umieją dobrodziejstwa ocenić; ludzie... nie...

Powóz się zatrzymał przed domem podkomorzyny, przed którym oczekiwał powóz hrabiny; panie wysiadły; Kacper otwierał usta, chcąc, jak się zdaje, coś do pani swojej przemówić, lecz spotkał się z jej wzrokiem takim wymownym, że mu wyrazy uwięzły w gardle; nie przemówił więc nic, otworzył przed paniami podwoje do wnętrza domu prowadzące, zrobił na lewo w tył, i nikogo nie pytając ani też nikomu się nie opowiadając, krokiem zdwojonym ruszył wprost do pomnika Riszeliego.

Kaśka czekała.

http://rcin.org.pl

Dziewczyna powitała go z uśmiechem dość dziwnie odbijającym od podartej jej odzieży i zbiedzonej twarzy. Nie płakała już. Oczy piwne świeciły blaskiem, dla którego porównania szukaćby należało w mineralogii, pomiędzy kamieniami najdroższemi.

— Kaśko, zkąd ty tu się wzięła?...

— Ot... przyszłam...—odrzekła dziewczyna.

— Jak?... z kim?... czy sama?...

— Sama jedna... Przyszłam, taj...

— Taj co?...

— Nic...—Spojrzała Kacprowi w oczy i oczami powiedziała to, czego ustami wyrazić nie umiała.

— Po cóżeś ty przyszła?...

— Ja nie wiem... nie wiem... Coś mnie ciągnęło... za tobą...

— Kaśko!...—rzekł Kacper.

Nastąpiła chwilka milczenia, w ciągu której w sumieniu Kacpra rozstrzygnęła się kwestya: czem ona jest dla niego, czem on jest dla niej? Kwestya ta, jak sobie przypominamy, była już rozstrzyganą. Rozstrzygnęła się atoli teraz wręcz przeciwnie. Kacper, nic nie mówiąc, nie kombinując, nie myśląc nawet, powiedział sobie: „Ona dla mnie wszystkiem, ja dla niej wszystkiem“. I nie rozpytywał już dziewczyny więcej. Rzekł tylko:

— Chodź...

Ona poszła.

Zaprowadził ją do domu podkomorzyny na ulicy Włoskiej. Na podwórzu otoczyli ją słudzy, witali, rozpytywali żartowali z niej.

Kacper udał się o instancyę do panny Magdaleny.

— Panno Magdaleno...—rzekł, układając minę błagalnie.—Kaśka...

http://rcin.org.pl

— Co Kaśka?...—zapytała panna surowo.

— Przyszła... przywlekła się... niech Bóg broni, jaka zbiedzona!... Skóra na niej i kości, a na kościach łachmany... Niech panna Magdalena przemówi do miłosierdzia jasnej pani, niech się nad nią zlituje...

— Ja nie wiem, doprawdy...—odparła panna służąca sucho—co Kacper ma do Kaśki... I po cóż tu ona?...

— Z przywiązania do panny Magdaleny...

— Oj!...—uśmiechnęła się złośliwie.—Z przywiązania do mnie?...

— Do jasnej pani...—podchwycił Kacper.—Niech panna będzie łaskawa słówko za nią przemówi... Panno Magdaleno!...

— Dobrze... natychmiast... zobaczymy... — odrzekła panna i odeszła.

Kacper, stojąc niby na węglach żarzących, czekał na odpowiedź.

Doczekał się takowej—ale jakiej!...

— Precz!... precz!...—dały się słyszeć okrzyki.

Okrzyki te płynęły z ust podkomorzyny.

— Zgroza!... zgorszenie!... wypędzić ją, wypędzić!... natychmiast!... Kacper!... gdzie Kacper!...

Kacper spłonął oburzeniem.

— Niewdzięczniku!... nikczemniku!...—przemawiała do niego podkomorzyna drżącemi usty, blada na twarzy, mierząc go [roziskrzonem okiem.—Nikczemniku!... nędzniku!... zasługujesz, ażebym i ciebie także wypędzić kazała!... A byłaby to dla ciebie kara łagodna, boś ty się dopuścił zbrodni, zbrodni najczarniejszej, zbrodni niewdzięczności!... Ciebieby ćwiertować, na kole łamać!... Nie dość jednego (odnosiło się to do afrontu na bulwarach), jeszcze mi niechluję, paskudnicę, ladaszczycę w dom wprowadzasz?...

http://rcin.org.pl

Precz z nią! a ty (tu rękę wyciągnęła z giestem majestatycznym i palcem na Kacpra pokazywała), ty... pójdź mi jutro do kościoła, do spowiedzi i powiedz księdzu, żem go prosiła, ażeby ci za karę kazał godzinę całą, na środku kościoła, przed wielkim ołtarzem, krzyżem leżeć!..

Zadyszała się.

— Ach!... Kazałeś ty mi godzinę całą na powóz czekać!... Dziękuj Bogu, że ci dał taką jak ja panią!... Idź!... do spowiedzi się gotuj!...

Kacper, nie rzekłszy ani słowa, odwrócił się odszedł, ale nie w tym celu, ażeby rozkaz podkomorzyny spełnić. Nie poczuwał się on do winy żadnej. Wyszedł na podwórze, gdzie Kaśkę zostawił—tam już jej nie było. Wyszedł na ulicę—stała pod topolą zaledwie widna w zmroku wieczornym. Zbliżył się do niej, wziął ją za rękę i rzekł:

— Kaśko, my się już nie rozłączymy więcej... chodź!..

http://rcin.org.pl

IV.

Wędrówka Kaśki była to Odysseja, w rodzaju swoim wielce ciekawa, — nieszczęściem tylko nigdy wszystkich szczegółów onej dowiedzieć się nie było można, ażeby z takowych ułożyć, podzieloną jak wędrówka Child Harolda na strofy i pieśni, całość kształtną i harmonijną. Źródło jedyne stanowiła Kaśka sama, to zaś, niby źródlisko Nilu, ukrywało się w zagadkowości niedostępnej. Z opowiadań jej urywkowych i przypadkowych, to jeno stawało się jasnem, że błądziła, nim się do Odessy dostała, że błądziła, gdy w Odessie nareszcie stanęła, że niewiedzieć jak znalazła się pod posągiem, ukazującym ręką jedną na morze i trzymającym w ręku drugiem zwitek papierów, w którem ona, rozumie się, papierów ani się domyślała. Ta, wyciągnięta na morze ręka zaimponowała jej wielce. Nie wiedziała, co to oznacza, jednakże a spoglądała na morskie topiele z pewnym rodzajem pociągu nieprzepartego, jakby chciała w nie skoczyć i zakończyć żywot mizerny, gdy nagle zoczyła Kacpra. Ochota owa płynęła z pobudki podwójnej: moralnej, to jest tej, co ją ciągnęło do Kacpra, i fizycznej, to jest tej, co się nazywa głodem. Od dni kilku nie jadła. We wnętrznościach jej panowały pustki, w umyśle odmęt, skutkiem którego nie umiała Kacprowi na zapytania odpowiadać, i zaprowadzona przez niego do domu na

http://rcin.org.pl

ulicy Włoskiej, gdy z domu tego wypchniętą została, zaledwie rozumiała, co ją spotkało. To jest, zrozumiała ona, ale, pokładając w Kacprze ufność nieograniczoną, przyjęła cios ten spokojnie—wypchnęli ją, drzwi za nią zatrzasnęli, ona odeszła pod topolę, stanęła i oczy zawiesiła na bramie w przekonaniu, a raczej bez przekonania żadnego, a tak sobie, w poczuciu nieokreślonego jakiegoś prawa własności do miejsca, które zajęła i na którem byłaby umarła, gdyby w tym względzie nic jej nie przeszkodziło.

Przeszkoda spotkała ją ze strony Kacpra i wydała się jej całkiem naturalną. Wziął ją za rękę—poszła.

Poszli przez ulice oświetlonego miasta. Mijając wystawę owoców, zwaną *Tutti frutti*, Kacper kupił dwie pomarańcze i dał jej. Kaśka pochwyciła je z łapczywością zwierzęcą i pożarła ze skórką.

— Tyś głodna?...

— Och!...—była jej odpowiedź.

Zaszli do jednego z hoteli trzeciego rzędu. Kacper zażądał numeru osobnego, zapytał o cenę, zapłacił, wprowadził ją tam i herbaty, cytryny, araku, chleba z masłem i szynki plasterek podać kazał. Garson, co artykuły te na tacy przyniósł, żachnął się ze zdumienia, widząc żebraczkę traktowaną przez lokaja, na którym liberya i guziki z herbami i książęcą koroną (matka księżnej pani sądziła posiadać prawo do korony książęcej na guzikach liberyjnych) zdradzały pochodzenie z wielkiego domu. Żachnął się, ale—co go to obchodziło! Dyskrecya jest cnotą, wyznawaną przez garsonów przed wszystkiemi innemi. Kto płaci, ten ma prawo do względów kupnych. Garson postawił tacę, zapytał o rozkazy i w odpowiedzi otrzymał polecenie przygotowania pościeli czystej i wygodnej.

Kaśka z wyrazem wdzięczności najwyższej patrzała na

http://rcin.org.pl

Kacpra i jeść się jej prawie odechciało. Zachęcona jednak wzięła się do spożywania darów bożych, posiliła się i opanował ją pociąg do snu taki gwałtowny, że nie wiedziała skutkiem jakiego to procederu znalazła się w łóżku, sama jedna, w ciemności zupełnej. Kacper ją położył, drzwi na klucz zamknął, sam zaś wyszedł na ulicę, nie powziąwszy zamiaru żadnego, co ze sobą począć. Na myśl mu to nie przychodziło. Myślał o czem innem, chodząc po mieście; o tem naprzykład, ażeby Kaśce okrycie jakieś sprawić, w któremby ona nie gorzej wyglądała od panny Magdaleny. Z tego wychodząc punktu, doszedł do tego, że okrycie decyduje o wartości człowieka.

— Gdyby Kaśka ubrała się, jak panna Magdalena, to nie byłaby od panny Magdaleny gorszą...

Zestawienie to podyktował mu żal, jaki czuł do panny służącej.

Żal ten sam, wysnuwając myśli wedle ich powinowactwa, doprowadził go do popełnienia zuchwalstwa, na któreby się przedtem nie odważył.

— Gdyby—powiedział sobie—Kaśka ubrać się mogła, jak jasna pani, to nie byłaby od jasnej pani gorszą ani trochę...

Zuchwalstwo było wylaniem żółci, najwyższym żalu stopniem, po dojściu do którego nastąpiło przesilenie; nasz Kacper zasnuł myśl na warsztacie pożycia we dwoje i do takiej doszedł konkluzyi:

— Nie ma co... pobierzemy się... Mam trochę grosza uciułanego, wystarczy na początek, a tam dalej... jakoś to pan Bóg da...

I układał sobie plany w nieskończoność, wychodząc z punktu tego:

— Znajdę sobie inną służbę... lokajską?... a! nie...

http://rcin.org.pl

nie...—rzekł stanowczo.—Nie chcę już lokajować... Póki byłem sam, to jeszcze, ale... teraz... nie!... Nie chcę, ażeby ludzie o żonie mojej, o dziecku, jeżeli Bóg da, mówili: To żona, to dziecko lokajskie... Stanę raczej do pracy... Do jakiej?... mniejsza o to... Będę pracował...

I marzył o pracy.

Marzył przez noc całą, chodząc po ulicach Odessy. Nad rankiem usiadł na bulwarach, na ławeczce. Wiatr pociągał. Morze huczało. Zdrzemnął się i obudził, gdy się słońce nad horyzont wytoczyło, rzucając pozłotę na okręty w porcie, na fale morskie, na budowle, na wybrzeża chersońskie. Skoczył i udał się wprost do magazynów handlujących tandetą. Było jeszcze tak rano, że czekać musiał, zanim sklepy otworzono; a jak tylko otworzono, natychmiast nakupił dużo rzeczy za tanie pieniądze dla Kaśki i dla siebie i w dodatku zabrał znajomość z kupcową, której uczynił półzwierzenie, powiadając jej, że zakłopotany jest z wynalezieniem jakiego uczciwego a taniego pomieszkania dla siostry, co do Odessy przybyła. Kupcowa dała mu stosowną radę i adres. Kacper udał się do wskazanego domu. Pokazano mu izdebkę. Umówił się o cenę. Dał zadatek i z zawiniątkiem pod pachą ruszył wprost do hotelu, w którym przyszła jego noc spędziła.

Nie podejmujemy się opisywać zdziwienia i radości, jakich Kaśka doznała na widok strojów, które jej Kacper przyniósł. Zachwycała się perkalową koszulą, białą spódnicą, kwiecistą chusteczką, perkalowym szlafroczkiem, pończochami i trzewikami. Nigdy w życiu podobnych nie posiadała strojów. Co który zobaczyła, to okrzyk wydawała i zapytywała, jakby dla upewnienia się:

— To moje?...

Kacper cieszył się radością dziewczyny, która dzięko-

http://rcin.org.pl

wać nie umiała. Dziękowała radością. On wyszedł na chwilę, na galeryę, ona się tymczasem ubrała i sama sobie dość napatrzeć się nie mogła w zwierciedle, odbijającem postać jej w odzieży czystej i całej.

— A teraz...—odezwał się Kacper—poprowadzę cię do mieszkania twego...

— Alboż ja mam mieszkanie moje?... A tu?... w tym domu?...

— To zajazd... Tu tobie zostawać nie wypada...

— Ale w tem mieszkaniu mojem, mieszkasz i ty?...

— I ja będę mieszkał... Będziemy mieszkali razem, jak się pobierzemy...

— Pobierzemy się!... — zawołała dziewczyna. — Ja z tobą?...

I zawstydziła się okrzyku własnego. Oczy spuściła, spłonęła i bąkać poczęła:

— Po-bie-rze... Po-bie... chę!... no... toć chyba... toć ja...

— Zrobisz mi to, o co cię poproszę?... — zagabnął Kacper.

— Co?... hm...—wyjąkała z oczami spuszczonemi.

— Pokażę ci, gdzie jest kąpiel... i do czysta się wymyjesz...

— O!... jeszcze co...

— Zrób to dla mnie, Kaśko moja...—przemówił tonem prośby.

— Ta, cóż z tobą poradzić!... Niech już i tak będzie...

Spełniła tę ofiarę. Skąpała się. Kacper, który na nią czekał, zaprowadził ją do izdebki najętej, i czasu nie tracąc, zajął się uregulowaniem stanowiska swego.

Co się tego ostatniego tyczy, trzeba było jakoś rozstać się z podkomorzyną.

http://rcin.org.pl

W tym względzie nie obeszło się bez przejść niemiłych.

Podkomorzyna, w przekonaniu, że przestępca, sposobiąc się do spowiedzi, wspaniałomyślność jej podziwia, nie troszczyła się już o niego po scenie majestatycznej, jaką mu wyprawiła, która, w jej mniemaniu, powinna go była przyprowadzić do skruchy, opamiętania, żalu za grzech i postanowienia poprawy w odniesieniu do służby lokajskiej na przechadzce. Niemałem też było jej zdziwienie, gdy się od panny Magdaleny przy wstawaniu dowiedziała, że grzesznik za służbę jej dziękuje.

— Nie może być!...—krzyknęła.

— Proszę jasnej pani, sam mi to powiedział...

— Kiedy?...

— Przed chwilą... Przyszedł ubrany w jakiś surdut, w którym wygląda, za pozwoleniem, jak w pożyczanym... i powiedział mi: Niech panna Magdalena dołoży jasnej pani, że za służbę dziękuję... Powiedział to tak hardo, że... doprawdy... nie wiem...

— No proszę... co za łajdak!...

— Zdaje się, że noc na rozpuście spędził, bo mu źle z oczów patrzy...

— Jakto!... w domu nie nocował?...—zawołała podkomorzyna ze zgrozą.

— Nie nocował, proszę jasnej pani...

— I śmie jeszcze, ten nędznik, hardo się stawiać?... Zgorszenie!... świata skończenie!... Ha!... Ale nie!... Jest przecie i na tej ziemi sprawiedliwość jakaś... Rzecz taka płazem ujść nie może... Poszlij mi asanna natychmiast po pana Grochiewicza; niech go proszą, ażeby niezwłocznie przyszedł do mnie... Oddam go do więzienia na lat dziesięć przynajmniej...

http://rcin.org.pl

Grochiewicz był to komissant zbożowy, który pełnił funkcyę *d'homme d'affaires* podkomorzyny. On wynajął i umeblował dom; do niego odwoływała się w sprawach wszelkich. Przywołany stawił się. Z kapeluszem w ręku, w rękawiczkach, wypomadowany, uperfumowany; z obleśnym na ustach uśmiechem i z nizkim ukłonem, zapytał podkomorzyny, co ma mu do rozkazania.

— Ach! panie...—odrzekła.—Muszę przed panem przyznać się, że jestem dla sług moich dobrocią samą... Psuję ich, ja wiem, ale cóż poradzę... *C'est plus fort que moi*... Nie umiem być inną... Proszęż wyobrazić sobie, jeden z lokai moich, obsypany dobrodziejstwami przez nieboszczyka męża mego i przezemnie... proszę wyobrazić sobie, zamiast iść do spowiedzi, jak mu kazałam, w domu nie nocował i za służbę mi dziękuje...

— A!...—zawołał pan Grochiewicz.

— Zepsucie straszne!... Czy nie ma hamulca na to?...

— W rekruty oddać *bez zaczotu*, jeżeli to poddany jaśnie oświeconej pani...

Grochiewicz udawał, że nie wie, iż podkomerzynie nie należy się tytuł księżny...

— O nie... Nie chciałabym posuwać się tak daleko...— odparła pani, nie wyznając, przez uczucie pokory chrześciańskiej zapewne, że ten, co zbrodni strasznej stał się winnym, jest szlachcicem takim dobrym jak ona.

— Więc Syberya, roty aresztanckie...

— Otóż to...—podchwyciła.—Niechby na lat kilka, dziesięć naprzykład, poszedł w roty aresztanckie, do robót ciężkich, ażeby się upokorzył, bo nie uwierzy pan jak hardo, jak mi panna służąca powiada, za służbę podziękował... To wszelkie przechodzi pojęcie!... Ofiarę robię prawdziwą, dozbywając się lokaja jednego, ale cóż począć... Potrzeba

przykładu, czuję się bowiem odpowiedzialną przed panem Bogiem za sługi inne...

— Słusznie, jaśnie oświecona pani... Uczucie to jest o ile wzniosłe o tyle szlachetne, podzielam je w zupełności i... nie ma co (tu udał namyślanie się chwilowe)... Gdzież on?...

— Musi być gdzieś tu...—odrzekła i minę taką zrobiła, jakby zawołać chciała.

— Nie, jaśnie oświecona pani...—podchwycił pan Grochiewicz, rękę w rękawiczce wyciągając. Zrobimy to inaczej... Napiszę słówko do kwartalnego, natychmiast tu policyanci przyjdą i zabiorą ptaszka... Reszta zrobi się później... Biorę to już na siebie...

— O, jakże panu wdzięczną będę!... Przykra to rzecz!..

— Ha! cóż robić!... Obowiązki sumienia przedewszystkiem...

— Tak, panie... sumienia... Miałabym sobie do wyrzucenia, gdybym zaniechała sposobności dania przykładu...

— Jaśnie oświecona pani postępuje prawdziwie po macierzyńsku...

— Po macierzyńsku, doprawdy... i oto, co za wdzięczność!...

— O! wdzięczność... wdzięczność sług... na tę rachować nie można...

— Przecież to ludzie....

— Ludzie?... z kształtu chyba... Kształt sam jednak człowieka nie stanowi jeszcze; człowiek składa się z ciała i duszy.

— To prawda... to prawda...—potwierdzała podkomorzyna.

W ciągu tej rozmowy, która pod koniec przybrała barwę filozoficzną bardzo wyraźną, przybył kwartalny z poli-

http://rcin.org.pl

cyantami i pan Grochiewicz, pożegnawszy podkomorzynę, udał się z nim do izby lokajskiej.

Kacper zbladł i zmięszał się na widok reprezentantów władzy bezpieczeństwa publicznego, którzy mu ze sobą iść kazali. Nie opierał się—poszedł. Poszedł z nimi i pan Grochiewicz. Więźnia natychmiast wzięto do protokułu, zadając mu pierwsze wstępne pytania, jak się nazywa, gdzie się urodził, ile ma lat, jakiej jest religii, jakiego stanu. Na zapytanie ostatnie Kacper odpowiedział:

— Szlachcic...

— Szlachcic?...—zawołał Grochiewicz.

Urzędnik spojrzał na tego ostatniego z wyrazem zadziwienia, pochodzącego ztąd, że podanie jego, którem wzywał władzę policyjną, przedstawiało winowajcę jako chłopa poddanego.

Grochiewicz ramionami ścisnął.

Urzędnik o winę zapytał.

Kwestya ta, stawiana z taką łatwością w salonie podkomorzyny, okazała się niezmiernie trudną w obec władzy, domagającej się istoty czynu. Niewdzięczność, zbrodnia najczarniejsza ze zbrodni, wyglądała tak jakoś, jak wzięta w sensie ujemnym miłość platoniczna. Nieposłuszeństwo, we względzie pójścia do spowiedzi, nie miało miny zbrodni. Pozostawało jedno podziękowanie za służbę.

— Ależ on ma do tego prawo zupełne...—rzekł urzędnik do pana Grochiewicza.

— Tylko nie ma prawa czynić tego hardo...—odparł ten ostatni, czepiając się hardości niby deski zbawienia.

— Jakże to było?...—zapytał urzędnik, zwracając mowę do Kacpra.

— Powiedziałem pannie Magdalenie, że za służbę dziękuję...

http://rcin.org.pl

— Cóż powiedziałeś pani?...

— Nic, bom pani nie widział wcale...

I urzędnik, jak drugi Piłat, ręce umył. Szczęściem dla Kacpra, podkomorzyna nie miała na rozporządzenie swoje żadnych Ananaszów, ani Kaifaszów, i Kacper wyszedł z bióra policyi wolny. Za nim wybiegł Grochiewicz.

— Słuchaj!...—zawołał.

Kacper stanął.

— Przyrzecz mi, że się podkomorzynie na oczy nasuwać, ani z jej sługami wdawać nie będziesz, a ja ci za to suto wynagrodzę...

Kacper zrobił minę, oznaczającą wahanie się.

— Co robić zamyślasz?... służby szukać?...

— Nie... Służyć już nie chcę...

— A cóż?...

— Pracować...

— Więc pracę ci nastręczę, pod warunkiem, ażebyś z domem podkomorzyny wszelkie na zawsze a przynajmniej na długo zerwał stosunki... Przyrzekasz mi to?...

— Czemużbym przyrzec nie miał!...—odparł Kacper po krótkim namyśle, ogarnąwszy wyobraźnią: podkomorzynę, co go policyi oddała, pannę Magdalenę, co mu się przysłużyła i kolegów swoich po służbie, co Kaśkę z podwórza wypchnęli. Mnie tam nic nie ciągnie...

— Więc dobrze... W potrzebie zgłaszaj się do mnie...

Kacper więc pozyskał protektora w osobie pana Grochiewicza, który wzbudzałby admiracyę naszą, gdyby nie okoliczność następująca. Opowiemy ją czytelnikowi, powstrzymując się sami od sądu o niej.

Grochiewicz udał się z bióra policyi wprost do podkomorzyny, w celu zdania sprawy z obrotu, jaki wziął powierzony mu interes.

http://rcin.org.pl

— Cóż, panie?...—zapytała wchodzącego.

— I źle i dobrze... Jaśnie oświecona pani powiedzieć mi zapomniała, że to szlachcic...

Podkomorzyna zrobiła minę zdziwioną.

— Jaśnie oświecona pani sama zapewne o tem nie wiedziała... Owóż, dla tego, że szlachcic, nie można go było w więzieniu zatrzymać...

— Jakto?... co?... więc?... puszczono go?...

— Niestety...

— Więc to taka sprawiedliwość?... Więc jestże sprawiedliwość na świecie? Ja posyłam własnego lokaja... ofiarę robię, pozbywając się lokaja!... oni go puszczają!...

— Jaśnie oświecona pani ma słuszność jak najzupełniejszą... Że sprawiedliwość chroma, to nie jest tajemnicą żadną... Ale, pomimo, że go puszczono wolno, rzecz jednak nie skończona... Lokaj pani będzie sądzony na wolnej stopie...

— I skazany?...

— To najmniejszej nie ulega wątpliwości...

— Do rot aresztanckich?...

— Do rot aresztanckich, z pozbawieniem praw stanu; to znaczy, odbiorą mu szlachectwo...

— Z pewnością?...

— Jak amen w pacierzu... tylko...—dodał z przybraniem miny odpowiedniej—potrzebne będą ze strony jaśnie oświeconej pani ofiary niejakie...

— Ofiary!...—zawołała podkomorzyna, wznosząc oczy do góry.—Ja od ofiar nie odbiegam... Ofiarą życie moje całe... Miałażbym się cofać teraz, kiedy chodzi o przykład... o przykład w obrębie nietylko mego domu, ale miasta całego!... Powszechnem jest na złe sługi narzekanie...

— Ach!...—zawołał Grochiewicz.

http://rcin.org.pl

— Co?...—zapytała podkomorzyna.

— Nie mogę powściągnąć w sobie admiracyi dla wzniosłych i wysoko szlachetnych uczuć i zasad jaśnie oświeconej pani...

— Gotową jestem na ponoszenie ofiar...

— Będę więc miał zaszczyt zgłaszać się do jaśnie oświeconej pani od czasu do czasu po niewielkie kwoty, jak naprzykład: teraz potrzeba będzie na dodanie sprawiedliwości ostrogi... potrzeba będzie...

Wzniósł oczy do góry, udając obliczanie w myśli.

— Ile?...—zapytała pani.

— Potrzeba będzie... Stęplowy papier... Wciągnięcie do akt... Kopie... Siedm a siedm, to czternaście, a dziesięć i pół... To kopiejek siedmdziesiąt pięć, tam zaś rubli trzy... *summa facit*... I! bagatela... rubli srebrem trzysta dwadzieścia pięć, kopiejek dwanaście i pół... Nie liczę ułamków wszystkich, nie chcąc nudzić jaśnie oświeconej pani...

— A, cóż robić!... Ponosząc ofiary na uczynki miłosierne, zaprzeczyłabym sama sobie, gdybym się cofnęła przed tą, która ma na celu przykład i skarcenie zbrodni takiej czarnej jak niewdzięczność...

Grochiewicz chwalił, potakiwał, wziął pieniądze, i od czasu do czasu, zgłaszał się do podkomorzyny po nowe nakłady na sprawę, która wedle jego podań, przechodziła z instancyi do instancyi, wlokła się z powodu szlachectwa lokaja, zakończyć się jednak miała wyrokiem, skazującym zbrodniarza na ciężkie roboty z pozbawieniem praw szlachectwa, o której wszakże Kacper nie wiedział nic a nic. Istniała ona jedynie dla Grochiewicza. Podkomorzyna płaciła w tem przekonaniu, że dobry pełni uczynek, skarbiąc sobie wdzięczność spółobywateli w tem życiu i królestwo niebieskie w przyszłem. Nie rozpowiadała o tem: cóż to

http://rcin.org.pl

bowiem za przedmiot do rozmowy—lokaj? Zdziwiły ją nieco zapowiedzi, w tygodni kilka z ambony głoszone.

— Kacper Mędziński, urodzony, etc.

Wspomniała o tem Grochiewiczowi, przy okazyi wypłacania mu, po raz trzeci czy czwarty, pieniędzy na popieranie sprawy kryminalnej, przez instancye przechodzącej, ten atoli wytłumaczyć jej potrafił.

— Jest to *une imposture*, *madame*!...—w oburzeniu zawołał.—Fałszerstwo niegodne!... *Je le laisse faire*, a to dla tego, że on się przez to anfonsuje... Rozumie mnie jaśnie oświecona pani?...

— Rozumiem... ale, czyż już tych zbrodni nie dosyć?... Potrzeba mieć litość...

— Nie!... dla kreatur podobnych bez litości być należy... Im kara większa, tem przykład donioślejszy... Doprowadzę do tego, że go nietylko szlachectwa pozbawią, ale mu jeszcze ogolą głowy połowę...

— Widzę, że pan jesteś jedyny do prowadzenia interesów uczciwie...

— Uczciwie... o! tak... Interesu nieuczciwego nie podjąłbym się, gdybyś mnie jaśnie oświecona pani złotem obsypała... Nie urodziłem się na adwokata i nie jestem też nim... Prowadzę ten interes jedynie z uwielbienia, jakiem przejmują mnie cnoty jaśnie oświeconej pani...

Tak tedy, proces kryminalny, wytoczony szlachcicowi, Kacprowi Mędzińskiemu, rozwijał się swoją drogą; szlachcic zaś, Kacper Mędziński, nie niepokojony przez nikogo, próbował się na drodze pracy, która zrazu, dzięki protekcyi Grochiewicza, szła wcale dobrze. Grochiewicz ulokował go w porcie najprzód, następnie na futorze jakiegoś kupca bogatego, tu zatrudnieniem jego całem było przechadzanie się po grobli, tam odpędzanie owadów od kwiatów egzo-

http://rcin.org.pl

tycznych;—płaca doniosła, jaką pobierał, dodana do uciułanego na lokajstwie grosza, pozwoliła mu ożenić się i urządzić w izdebce, najętej początkowo dla Kaśki samej, Kaśkę okryć przyzwoicie, a nawet kupić dla niej, na dzień ślubu, szal tyftykowy, nie nowy wprawdzie, ale pokaźny. Zamieszkali razem i dobrze im się działo. Rozchody znajdowały się w zgodzie z przychodami, sumka zaś krągła, rubli srebrnych sto, reprezentowała fundusz żelazny, przeznaczony na wypadek nieprzewidziany.

Mijały dni, tygodnie, miesiące, wypadek nieprzewidziany nie przychodził, boć nieprzewidzianym wypadkiem nie można nazwać tego, że się małżeństwu, skojarzonemu regularnie, córka, w rok z czemeś po pobraniu się, narodziła. Był to wypadek do przewidzenia. A przecie, gdy przyszedł, Kacperstwu powodzenie, jakby je kto nożem odciął, urwało się nagle. Kacper rzucał się tu i owdzie: tu odmowa, tam zarobek mały. Zgłosił się do pana Grochiewicza, ten jednak przyjął go zimno, i wysłuchawszy, odpalił:

— Idź precz, durniu, nie nudź mnie!... Cóż to! wziąłeś mnie sobie za stręczyciela, czy co!...

— Wielmożny pan był na mnie łaskaw dawniej...

— Dawniej było co innego, teraz co innego...

— Urodziło się mi dziecko.

— To je niańcz, a mnie daj czysty pokój.

Wzmianką o dziecku, myślał Kacper, że poruszy w sercu Grochiewicza uczucie ludzkości, lecz się zawiódł. Nie wiedział o tej okoliczności, że się proces jego kryminalny skończył, dla braku środków do popierania onego. Podkomorzyna znalazła się w niemożności łożenia kosztów na stemple, kopie, pieczęcie, wpisy do akt i przenoszenie sprawy z instancyi do instancyi. Dalsze przeto popieranie odłożyła na później. A że—jak się zdaje—w mniemaniu pa-

http://rcin.org.pl

na Grochiewicza, dobrym jest tylko ser odkładany, przeto upadła racya protegowania Kacpra, obojętną bowiem było już rzeczą, czy on będzie, czy też nie będzie w stosunkach z domem podkomorzyny. Opuścił go więc, i Kacper pozostał całkowicie na łasce losów.

Losy mu nie dopisywały.

Zdarzały się zarobki, ale dorywcze. Niekiedy połowa dnia przyniosła mu tyle co dni trzy; niekiedy znów przez tydzień cały nie był w stanie zebrać zarobku jednodziennego. Brał się do robót ciężkich. Wynajmował się w porcie do noszenia worków i pak, w mieście do dźwigania ciężarów, pracował przy mularzach, przy cieślach i zazdrościł w głębi ducha rzemieślnikom, mającym dochód niewielki, ale za to regularny.

Nieregularność, dorywczość i szczupłość dochodów sprowadziły to, co sprowadzić musiały. Kacprostwo zrazu zastawiać się a dalej i wyprzedawać zaczęli. Porządeczków domowych coraz to w izbie ubywało. Były krzesła wyplatane—poszły krzesła; była komoda orzechowa—poszła komoda; było zwierciadło—poszło zwierciadło; była odzież, pościel, bielizna, firanki, obrazki—poszło to wszystko jedno za drugiem, aż do sprzętów, bez których, zdawało się, obejść-by się żadną miarą nie można. W końcu przyszła kolej i na fundusz żelazny. Rubel po rublu wymykał się, krągła summka szczerbiła się i szczerbiła z dniem każdym coraz to bardziej.

W tym to czasie trafiła się Kacprowi robota przy szuflowaniu zboża w magazynie, w towarzystwie sołdata i żyda. Chwycił się jej z radością wielką, a to z tego powodu, że przedstawiała się w pewnej ciągłości, rokującej dochód stały i regularny w pewnych roku porach, w jesieni zwłaszcza i na wiosnę.

http://rcin.org.pl

O, z jakimże szuflował zapałem, pragnąc zaskarbić sobie względy magazyniera, a myśląc o żonie i dziecku!

Żona i dziecko stały się jego słabą stroną.

Nie wahamy się już wyznać, że kochał, że miał w sercu, że czuł miłość, miłość dla dziecka i żony, tę miłość pospolitą, trywialną, nie ośpiewywaną, nie wynoszoną, nie idealizowaną, tę miłość, którą śmiało lokować można, nie już pomiędzy praczką a lokajem, ale pomiędzy żydowską pomywaczką a pełniącym funkcyę popychadła czeladzi dworskiej, pod warunkiem ażeby ich łączył związek ślubny. Nie lękam się już sprofanować miłości. Poeci, z których, zdaje się żaden (mówię o poetach wielkich) żony własnej nie kochał, nie będą żalu do 'mnie mieli. Krytycy nie zarzucą mi poniewierania ideałów, zasługujących na szacunek nasz przez to samo, że je wydmuchiwali geniusze uznani. Nie o żadne tu chodzi ideały, ale o miłość męża i ojca, zaprzężonego do taczki, nazywającej się dziennym zarobkiem.

Kaśka dotrzymywała mu sprawy, ale jak! Nie gryzła go, nie suszyła mu głowy, nie dorzucała ciężaru do ciężaru, przyjmowała kaprysy fortuny i ciosy losów umysłem swobodnym, ba! nawet wesołym. Nie sprawiało jej to przyjemności, ale też nie wtrącało jej w rozpacz. Jak, czasu swego, ucieszyła się była, gdy sponiewieranej wędrówką przyniósł Kacper bieliznę czystą i odzież schludną, tak cieszyła się za każdym nabytkiem mebelka i sprzęcika. Gdy jednak mebelki i sprzęciki wynosiły się kolejno jedne za drugiemi, znów się cieszyła i to dla dwóch powodów: raz, zdawało się jej, że była to ulga dla Kacpra, który zamiast męczyć się dzień cały, sprzedał gratów parę i miał na opędzenie potrzeb życia; powtóre, widziała w tem ulgę dla siebie, przez to, że mebelki, sprzęciki, acz miłe i wygodne, wymagały jednak ocierania, omywania, oprzątywania, słowem, troskli-

http://rcin.org.pl

wego utrzymywania, co ją nudziło w stopniu najwyższym. Cieszyła się więc, gdy przybywały; nie martwiła się, gdy znikały. To ostatnie dodawało Kacprowi odwagi.

— Kasiu...—powiadał (Kaśką od dnia ślubu ją zwać przestał), potrzebując sfantować sprzęt jaki—znów muszę ci przykrość wyrządzić...

— Toż jaką?...—zapytywała z wpółzdziwieniem.

— Potrzeba sprzedać (naprzykład) kołdrę...

— Owa! toż to mi przykrość!... Co z rąk, to i z głowy będzie mniej do trzepania... Moja przykrość, jak ciebie nie widzę od rana do wieczora...

— Ależ okryć się nie będzie czem...

— Wielka rzecz!... Niby to bez okrywania się wytrzymać nie można... Czy to ja w Ohrebyszczach okrywała się czem kiedy?...

Miało to swoją dobrą stronę, miało i złą. Dobra polegała na tem, że filozofia ta małżonki przyczyniała się znacznie do podtrzymywania w Kacprze ducha na wysokości niepowodzeń; zła tkwiła w tem, że filozofia owa było to po prostu niedbalstwo, którego następstwa przedstawiały się niekoniecznie wesoło. Kasia była do niczego, z wyjątkiem jednego kochania. Kochała—a!—z całej duszy i z serca całego, kochała bez pamięci, w najściślejszem wyrażenia tego znaczeniu, to jest, nie pamiętała o niczem i nic nie robiła. Jeżeli Kacper izby nie pozamiatał, to pozostawała nie zamiataną, a to dla tego, że, jak Kasia powiadała:

— Zaśmieci się na nowo...

Łóżka nie zaścielała, tłumacząc się:

— Zaścielałabym, gdybyśmy się w nie nie kładli, a to: ścielę rano, na to, żeby przewracać wieczorem... To nie robota a zabawka...

Niechcąc więc zabawkami podobnemi czas sobie za-

http://rcin.org.pl

prząłać, nie dotykała się niczego, co się do porządkowania w izbie odnosiło.

— Jak ty tak wytrzymać możesz?...—zapytywał ją Kacper niekiedy, chcąc w nią wmówić potrzebę zajęcia.

— Jabym nie wytrzymała inaczej...—bywała jej zwykła odpowiedź.

— Tyś na wielką stworzona panię...

— Na panię taką, co bez kołdry sypia i w dziurawych trzewikach chodzi...

Było, w rzeczy samej, coś pańskiego w tem zamiłowaniu próżniactwa, zamiłowaniu bezwzględnem, bezgranicznem, bezwarunkowem, i byłoby to zamiłowanie skończonem, jako cecha natury wielkopańskiej, gdyby występowało w połączeniu z nudami, będącemi salonów chorobą i potrzebą. Właściwości tej mu brakło. Młoda Mędzińska posiadała sztukę próżnować i nie znudzić się. Dnie jej upływały w sposób taki, jakby się ślizgała po nich. Póki miała w czem, wychodziła na miasto, zwiedzała Odessę, gapiła się, rozpatrywała się w szyku, w zwyczajach, w strojach, właściwych wielkiemu światu, przesuwającemu się przed oczyma jej, niby panorama ruchoma; gdy jej odzieży zabrakło, siedziała w domu, bawiąc się rozwiązywaniem problematu:

— Kiedy Kacper przyjdzie: czy aż wieczorem, czy wcześniej?...

Oczekiwanie godziny jej skracało. Oczekiwaniem, powtarzającem się codziennie, żyła od rana do wieczora i nie nudziła się wcale.

Matką została. Dzieckiem się może zajęła? Gdzie tam! Gdyby nie Kacper, dziecko nigdyby nie było umyte ani skąpane, pomimo, że braku miłości do niego nie można było Kasi zarzucić. Była to miłość czysta, tkwiąca w uczu-

http://rcin.org.pl

ciu samem i zależąca na uczuciu wyłącznie. Kochałaż przecie siebie,—byłaby jednak nie jadła i nie piła, gdyby jej nie podano, byłaby się nigdy nie myła ani czesała, gdyby jej tego Kacper od czasu do czasu nie przypominał. W ten sam sposób, w spotęgowaniu jeno, kochała dziecko i męża. Kochała ich uczuciem, którego nie umiała, nie lubiła, nie uznawała za potrzebne rozpraszać na okazy i dowody, takie, naprzykład, jak pamiętanie o nakarmieniu ich lub umyciu. Napisaliśmy powyżej, że kochała bez pamięci. Gdy się dziecko rozwrzeszczało, brała je pod pierś, siadała na łóżku i nogą kiwała. Tak spędzała nieraz godziny całe. Gdy mąż przyszedł, zawiązywała się gawędka, która w początkach małżeńskiego pożycia zależała na wzajemnem udzielaniu wrażeń z tego, co on i ona, w ciągu dnia, widzieli, słyszeli i doznali, dalej zaś, jak złe nastały czasy, snuła się z wątka podwójnego: ze smutków teraźniejszych i z widoków na przyszłość. Naprzykład:

— Och! napracowałżem się dzisiaj, napracował.. w krzyżach mi łupie... i zarobiłem wszystkiego kopiejek dziesięć...

— Jabym plunęła i na kopiejki i na robotę...

— Ba... Zrobiłbym to samo i ja... Ale widzisz, poszło już wszystko, cośmy w izbie mieli i z zapaśnej sumki wymyka się karbowańczyk po karbowańczyku... Dzięki Bogu jednak dostałem się do szuflowania, to już przy tem, mało wiele, a codziennie coś się zarobi... Dziś roboty w magazynie nie było i trafiło mi się noszenie żelaza ze sklepu na dole do sklepu na górze... Nosiliśmy we dwóch z sołdatem, i wiesz co, sołdat przystaje już na to, żeby dać pięć rubli...

Odnosiło się to do loteryi owej, o której wiemy.

— Cóż ty na to?...

— A cóż!... dałbym i ja...

http://rcin.org.pl

— Tylko się nie daj żydowi skusić... bo, co żyd, to żyd...

— Hm... Kiedyż bo to widzisz, tym sposobem możnaby i swoje odbić, i przy szczęściu, kilkadziesiąt jakich rubli zyskać...

— Tylko, powiadam ci, nie daj się żydowi skusić... Chcesz, włóż w tę lonteryę, czy jak ją, tyle co żyd i sołdat, ale ani złamanego szeląga więcej...

— Ja się trzymam... ale, rzecz taka, im więcej włożę, tem więcej wygram... Włożę pięć, jeżelibym wygrał piętnaście, zyskałbym dziesięć; włożę trzydzieści, jeżelibym wygrał na każdych pięciu piętnaście, zyskałbym sześćdziesiąt...

— Tylko się nie daj żydowi skusić...—powtarzała małżonka.

Kacper nie posłuchał; dał się skusić i los wielki wygrał.

http://rcin.org.pl

V.

Było południe. Kasia, zjadłszy chleba ćwierć bochenka, zostawionego przez męża, i zapiwszy go wodą, przez męża przyniesioną, dla dziecka, które właśnie zakrzyczało, usiadła na łóżku, nogą kiwała i rozwiązywała swój codzienny problemat:

— Czy przyjdzie aż wieczorem, czy może wcześniej?...

Południe minęło, Kasia z umysłu problematu nie wyprowadzała, nogą kiwała i oczy przymykała, jakby przez to chciała, bądź władze umysłowe tem mocniej na zagadnienie skupić, bądź też, za pomocą odjęcia władzy organowi ocznemu, spotęgować działanie organu słuchu i w dochodzącym do niej gwarze miejskim rozeznać stąpanie mężowskie. Przymykała oczy, nagle je otworzyła i na drzwi zwróciła. Na schodach słyszeć się dał chód. Chód Kacpra—wyraźnie. Klamka zaszeleściała, drzwi się otworzyły, we drzwiach ukazał się Kacper z zawiniątkiem pod pachą i z paczką w ręku. Wszedł, drzwi zamknął, zawiniątko na łóżko rzucił, paczkę na stole położył, usiadł i pot z czoła otarł.

Kasia ruszać się ani myślała.

Kacper milczał, więc ona się pierwsza odezwała:

— Myślałam, że nie przyjdziesz aż wieczorem...

— Ot, widzisz... przyszedłem wcześniej... Spytaj, dla czego...

http://rcin.org.pl

— Niby to ja nie wiem i bez pytania... Ot, czego nie wiem, to tego coś w tem zawiniątku przyniósł...

— Pieluszki dla Franusi, koszulki, czepeczek, sukienkę błękitną...

Za każdem wymienieniem artykułów powyższych, Kasia wydawała okrzyk: o!

— Dla ciebie koszulę, spodnicę, pończochy, suknię, czepek, narzutkę, trzewiki...—ciągnął Kacper.

— Trzewiki?...—podchwyciła.—Zkądże ty na trzewiki wziął pieniędzy?... Czy znów od sołdata?...

Kacper rzutem głowy, połączonym z uśmiechem, dał odpowiedź przeczącą.

— Zkądże więc?...

— Wygrałem na loteryi... o...—odrzekł, na paczkę giestem ukazując.

— A co!... Otóż masz!...—były słowa Kasi, nie ruszającej się z miejsca.—I zaraz kupujesz... kupujesz... Potem trzeba będzie sprzedawać...

— Toć nie trzewiki przynajmniej...—odparł Kacper półżartem.

— Nie mówię o trzewikach, ale inne rzeczy...

— E!... — machnął Kacper głową — i innych rzeczy sprzedawać już nie będziemy... Skończyła się bieda nasza...

— Skończyła się... ta na jak długo?...

— Na zawsze, Kasiu... Czy wiesz, ile wygrałem?...

Kasia nadała oczom wyraz pytający.

— Zgadnij...

— Rubli sto...

— Więcej trochę... Wygrałem tyle, że wystarczy nam na długo do odpędzania biedy i Franusi jeszcze zostanie...

— Uhm...—odparła Kasia przez nos—chwała Bogu...

http://rcin.org.pl

— Będziesz panią...

Kasia ramionami ruszyła. Nie poruszyło jej to wcale—czemu?—może dla tego, że nie rozumiała, ile uroku mieści się w wyrazie „pani“; może dla tego, że czuła się panią przez to samo, że czas na próżniactwie traciła, nie znając nudów, choroby pańskiej; może wreszcie dla tego, że była jak ów robak, o którym pewna bajka mówi, co to lubił chrzan, bo się w chrzanie urodził. Bądź co bądź, oznajmienie państwa nie wywarło na nią wrażenia najmniejszego. Przyjęła je, jak się przyjmuje wszelka zwyczajna dobra nowina. Ucieszyły ją najmocniej trzewiki, reszta miernie. Siedziała sobie, a że dziecko się zaniepokoiło nieco, więc zaczęła:

— Sz-sz sz-sz...

I nogą kiwała.

— Nie usypiajże jej...—odezwał się Kacper.

— Ta lepiej żeby spała...

— Ubierz ją... Ubierz się sama... Pójdziemy...

— Dokąd?...

— Pójdziemy najprzód zjeść co, a potem... trzeba to o czemeś pomyśleć...

— Ta o czem?...

— Eh!...—zawołał z niecierpliwością żartobliwą. Ruszże się przecie!... Przechodząc ulicą Chersońską, widziałem kartkę na domku do najęcia... Istny dworek!... brama, podwórze, ogródek...

— Więc się ztąd wyprowadzimy?...

— A cóż!... Czyżbyś chciała pozostać w tej izbie?..

— Tu nam tak było dobrze!...

Kacper powiódł okiem po ścianach nagich i plamami upstrzonych, po podłodze brudnej, po resztkach sprzętów ubogich, westchnął i rzekł:

http://rcin.org.pl

— No, zbieraj się... Było nam tu dobrze, gdzieindziej jednak będzie lepiej...

— Mnie się zdawało...—odrzekła Kasia powoli i głosem naturalnym—że lepiej mogłoby nam być jeno w chacie, u twojej matki stareńkiej...

Kacper w czoło się dłonią uderzył, aż oklask się rozległ.

— Powiadałeś—prawiła dalej—że iść do niej nie można, ażeby na nią mściwej nie ściągać ręki... Ale, jeżeli ja, jak mówisz, będę panią, to ty będziesz panem, a panu... czyż czego nie można?...

— Masz racyę...—odparł Kacper.—Masz racyę... Nie zapomniał ja o matce, tylkom o niej w tej chwili nie pamiętał... Ale... hm...—myślał...—Ale... matka... mateńka moja staruszeczka!... Ona tam sobie, w chacie, niby w gniazdku... Wziąść ją ztamtąd, byłoby to samo, co wyjąć rybę z wody... Iść do niej, nie wypada, bo anużby się podkomorzyna, na mnie zagniewana, dowiedziała!... Trzeba najprzód dowiedzieć się, rozpytać, znaleźć kogo, coby zechciał wieść podać... Trzeba postępować rozważnie... o...

— Tego to ja już nie wiem.

Chciała zapewne powiedzieć, że to do niej nie należy.

— Pomyślę ja o tem...—dodał Kacper.—A tymczasem, wstań, odziej dziecko, okryj się sama i chodźmy...

Wyraz ostatni zaledwie wymówił, gdy się rozległo do drzwi pukanie.

Kacper paczkę ze stołu do szufladki wsunął i zapytał:

— Kto tam?...

Drzwi się odchyliły nieco i słyszeć się dało:

— Czy wolno?...

— Proszę!...

Wszedł pan Grochiewicz. Przy progu się zatrzymał i oglądnął do koła. Widok nędzy zafrapował go snadź

http://rcin.org.pl

i zdziwił. Chwilkę zachowywał milczenie, które przerwał, przybierając minę półprotekcyonalną, półserdeczną i mówiąc:

— Winszuję ci, Kacprze kochany! winszuję!... z całego winszuję serca!... Nie możesz wystawić sobie, panie Kacprze, jak mnie to ucieszyło!.. Los ślepy nie mógł trafić lepiej.

— Zkądże pan wiesz?...—przerwał Kacper.

— Jak zkąd!... Całe miasto o niczem nie gada innem... Wie o tem Odessa cała... kupcy, bankierzy, urzędnicy, świat cały... Wszystko co żyje powtarza imie i nazwisko pańskie, panie Kacprze kochany... A to—zapytał, zwracając się do Kaśki nagle—zacna małżonka pańska i to lube dzieciątko, o któremeś mi pan wspominał?...

— Tak, to żona i dziecko moje...

— Przedstawżeż mnie pan pani...

Kacper powiedział nazwisko gościa. Kasia grymas zrobiła.

— Ja męża pani kocham i szanuję... Dowiodłem mu tego... I teraz, dowiedziawszy się, że fortuna tak mu się uśmiechnęła, że w jednem oka mgnieniu magnatem został, natychmiast pośpieszyłem, najprzód, powinszować mu, powtóre, ofiarować państwu usługi moje...

— Dziękuję...—wtrącił Kacper głosem, w którym nie dzwoniła szczerość zbyteczna, który wszakże nie był zupełnie zimnym.

— Usługi... rady...—ciągnął Grochiewicz—rady przyjacielskie i całkowicie bezinteressowne... bezinteressowne... Pan z kapitałem takim znacznym potrzebujesz coś zrobić... gdzieś go ulokować... w coś go włożyć... ażeby nie zmarniał, a przeciwnie, przynosząc procenta i od procentów procenta, mnożył się, rósł... rósł w nieskończoność... Kapitał ten można w lat pięć zdwoić, w lat dziesięć powiększyć go dziesięćkrotnie... w lat dwadzieścia, pan, panie Kacprze kochany, możesz być bogaczem największym w świecie... Ja

http://rcin.org.pl

znam sposoby... usłużę, poradzę, jedynie dla tego, że pana kocham...

— Dziękuję...—powtórzył Kacper.

— A najprzód, dam radę następującą: Wystrzegaj się ludzi, którzy cię teraz rojem opadną... Wystrzegaj się wszystkich bez wyjątku, a nadewszystko podkomorzyny i podkomorzyca...

Kacper zrobił giest zdziwienia.

— Ostatkami gonią, chwytają, zarywają na prawo i na lewo, i gdy się dowiedzą, że masz pieniądze, nie omieszkają zgłosić się po takowe... O! wystrzegaj się ich... Zarwą i przepadnie... Mnie zarwali...

— O!...—zdziwił się Kacper.—Pożyczyli?...

— Nie... Oto jak było. Przypomina pan sobie tę sprawę w policyi?...

— A jakże!...

— Owóż, kiedyś pan odszedł wolno, podkomorzyna usadziła się wtrącić pana do więzienia, oddać pod sąd i wyrobić wyrok, skazujący na lat dziesięć ciężkich robót z pozbawieniem szlachectwa... Perswadowałem, odradzałem... nie i nie... Uparła się... Kazała mi robić podania, skargi, przedstawienia, prośby, pozwy, kazała mi płacić... płaciłem... i w końcu, kiedym jej czarno na białem wykazał, że z tego nic nie będzie, puściła mnie z kwitkiem...

— A na cóż pan płacił?...—zapytał Kacper, zaintrygowany opowieścią Grochiewicza.

— No, a jakże!... Gdyby nie ja, to miałbyś pan, panie Kacprze kochany, kłopotu nie mało... Baba biczowała, biczowała... wymyślała pretensye niebywałe, do prawdy niepodobne i byłoby ci, na obmycie się z nich, morza nie starczyło... Ja jednak, przez życzliwość dla ciebie, wolałem kilkaset rubli własnych stracić, aniżeli dopuścić sponie-

http://rcin.org.pl

wierania człowieka poczciwego... Pan, panie Kacprze, o tem ani wiedziałeś... Co?... Czyś się domyślał?...

— Nie...

— Otóż i teraz, ofiaruję panu usługi moje... Chcesz przyjąć... dobrze... Nie chcesz... będę miał to zaspokojenie sumienne, żem zrobił, co zrobić byłem powinien... Nie narzucam się... ofiaruję... Mieszkam zawsze na Deribaskiej i czekam pana u siebie jutro, punkt o dziesiątej ze śniadaniem... A możeby i pani zaszczycić mnie bytnością swoją raczyła?... Mieszkam po kawalersku, to jednak nie przeszkadza, a nawet śmiałbym prosić o tego małego aniołka. O! cóż za lube, co za miłe bobo!...

Zbliżył się poufale i ręką w rękawiczce gładził Franusię po pysiu...

— Co za śliczne dziecko!... Syn?...

— Nie...—odkaszlnęła Kasia.

— Panna, a! panna... Nieprzyzwoicie to wprawdzie, ażeby panna do kawalera chodziła, ale przyzwoitość w tym razie odsunąć można na stronę... Jakże jej na imie?...

— Franciszka...—odrzekł Kacper.

— Panno Franciszko, zaprasza panią do siebie kawaler, który jest serdecznym przyjacielem papy...

Mizdrzył się i przymilał do dziecka, zamurzanego straszliwie i w jak najbrudniejsze zawiniętego pieluszki; mizdrzył się i przymilał do matki, świecącej łachami i pokazującej gołe u nóg palce; w końcu, jakby coś sobie nagle przypomniał, wydobył zegarek, rzucił nań okiem i zawołał:

— Ach! Rodokanaki (nazwisko jednego z kupców bogatszych) od godziny już czeka na mnie... Jakże mi czas, w tej izdebce skromnej, w towarzystwie państwa, upłynął szybko!... Panna mnie zabałamuciła... No, cóż robić!... uszę już jednak uciekać... Żegnam państwa kochanych...

m

http://rcin.org.pl

Skłonił się Kasi i rękę jej, którą ona Franusię otaczała, dłonią swoją przycisnął, podał dłoń do uściśnienia Kacprowi, zwrócił się ku drzwiom, lecz się wnet odwrócił i zaczął:

— Ale jutro, punkt o dziesiątej, z pewnością... ani chybi... Będę czekał... Zamówiłem już śniadanie u Ottona, będą ostrygi, homary, kotleciki w papilotach, zamówiłem u Wywczańskiego tort dla pani i dla panienki... A wino?... panie kochany, niech mi pan szczerze powie... tak, z ręką na sercu... jakie pan wino woli: bordeaux, burgund, reńskie, węgierskie?... czy może porter?... hę?...

Kacper głowę przekrzywił i zrobił minę, jakby o litość wzywał.

— Zresztą—podchwycił—będzie gatunków kilka i dla pani buteleczka słodziutkiego a pachniącego muscat lunel, które i panienka pokosztować będzie mogła... Więc punkt o dziesiątej... Weźmiecie państwo pojazd... Ale nie! ja przyszlę... i sam przyjadę i zabiorę państwa... ot, tak będzie najlepiej... *adieu*!...

Jeszcze raz jednak od drzwi nawrócił.

— A możeby...—przemówił do Kacpra.—A możebyśmy się dziś jeszcze wieczorem gdzie zeszli?... w cukierni której, u Wywczańskiego, u Pfeifra, u Karuty?...

— Nie...—tonem protestacyjnym odparł tenże.—Nie...

— Chcecie państwo wieczór poświęcić sobie... Słusznie!... Po wzruszeniu takiem!... No, więc już żegnam... O, jakże trudno wyrwać się od państwa kochanych!... Ale, żegnam już... Papadopuło (poprzednio było, że Rodokanaki) czeka... Muszę śpieszyć... Adieu... do jutra... Czekajcież państwo na mnie punkt o dziesiątej... Do zobaczyska!...

http://rcin.org.pl

Wyszedł nareszcie, zabawiwszy u Kacprostwa godzinę, może dłużej.

— A co!...—odezwała się Kasia, gdy odgłos kroków Grochiewicza znikł na schodach.—Gada, jak młyn... ten pan... a pachnie...—pociągnęła nosem kilka razy—że ot wyszedł a zapachy po sobie zostawił... Ale, żeby on mnie sznurem za szyję na to swoje prowadził śniadanie, nie pójdę... A ty?...

— I ja nie pójdę...

— Niechże zdrów sam sobie śniada...

— Ruszże się ty, Kasiu... okryj dziecko, ogarnij siebie i chodźmy...

— Zamknijże drzwi na klucz, żeby kto nie wszedł...

— Ta, któżby tam wchodzić miał!...—odparł Kacper, idąc do drzwi i zamykając takowe.

Zaledwie ucichło dzwonienie zamku, aliści słyszeć się dało pukanie. Kaśka, przyłożeniem palca do ust znak dała mężowi, ażeby cichość zachował. Pukanie się powtórzyło, w połączeniu z chrząkaniem. Ponowiło się jeszcze i po raz trzeci i słyszeć się dały słowa następujące:

— Nie ma go... Gdzież się u licha podziewa?... Jeżeli go zachwycił Grochiewicz, to tak oskubie, że drugiemu nie zostawi... A on teraz właśnie do skubania najlepszy...

— Słyszałeś?...—zapytała Kasia, gdy pukający odszedł.

— Słyszałem...

W tej chwili, znów we drzwi: puk puk puk...

Pukania powtarzały się co moment. Schodziło się po dwóch, po trzech, stukali we drzwi, nasłuchiwali i odchodzili z niczem, z wyjątkiem dwójki jakiejś, która się pokłóciła.

http://rcin.org.pl

— Tyś zwąchał pieniądze, i niby kruk na padło, wnet przyciągnąłeś...—przemówił jeden.

— A ty?...—odrzekł drugi.—Tyś może przyszedł nie po to, żeby mu baki świecić i grosz jaki wykręcić...

— Stul pysk!...

— Stul ty sam!...

— Zamaluję!...

— Ja oddać potrafię...

— Ty prawa żadnego nie masz!... Tyś go nigdy w życiu nie widział!...

— Milcz ty, ze swojem prawem!... Ja ci tu takie prawo pokażę, że zjedziesz ze schodów jak na saniach...

Inni znów komplanacye podedrzwiami układali, umawiając się o popieranie jeden drugiego.

Gdy Franusia krzyczała, podczas kiedy na nią rodzice odzież nową wkładali, Kasia odprawiała pukających, krzycząc przezedrzwi:

— Nie ma Kacpra w domu!...

Wówczas następowała rozmowa mniej więcej następująca:

— A gdzież, proszę pani?..—zapytywał głos z za drzwi.

— Od rana wyszedł... Na robocie...

— To być nie może!... Nie przyszedł jeszcze?...

— A nie... Nie przyjdzie aż wieczorem...

— To być nie może!... Przypuszczać raczej należy, że już nigdy nie przyjdzie...

— Toż czemu?...

— Bo wygrał wielkie na loteryi pieniądze... Bo stał się panem... wielkim panem...

— Chwała Bogu...

— Niechno mi pani otworzy, z łaski swojej...

— Nie można...

http://rcin.org.pl

— Mam z panią do pogadania o ważnej jednej rzeczy...

— O jakiej, naprzykład?...

— Kacper Mędziński, to mąż pani?...

— Mąż...

— Otóż to... Czy nie ma on chętki porzucić pani teraz?... Niech mi pani otworzy, to pogadamy... Poradzę pani, co i jak zrobić, ażeby on się z pieniędzmi nie schował... Niech mi pani otworzy...

— Przyjdź pan jutro...

— Jutro będzie za późno... Powiadam pani, że to zły, bardzo zły znak, kiedy Kacpra dotychczas w domu nie ma....

Przyjście nowego jakiegoś indywiduum przerwało rozmowę tę interessującą, od której Kasia dusiła się ze śmiechu, a Kacper głową wstrząsał.

Przez ciąg ubierania się matki i dziecka, podedrzwiami przeminęło się, ni mniej ni więcej, tylko dwadzieścia trzy wizyty pukające. Gdybyśmy znajdowali się nie po tej a po tamtej drzwi stronie, to widzielibyśmy ludzi stanu różnego i kondycyi rozmaitej, pchających się do izdebki, w której nędza jeszcze w całej swojej występowała malowniczości. Byli tam i dandysi na wzór Grochiewicza i przedstawiciele klass nie używających pachnideł; byli tam wyznawcy ewangielii i talmuda; byli tam reprezentanci narodowości rozmaitych, dowód, że atrakcya, jaką pieniądze wywierają, jest z natury swojej czysto kosmopolityczna. Kacper pomagał żonie w ubieraniu i myciu, zachowując jak najgłębsze milczenie, przytem ubierał się i sam, rozdzielił przyniesioną z kantoru loteryjnego paczkę większą na kilka mniejszych, starannie je poobwijał i opancerzył sobie niemi piersi i plecy pod koszulą. Bezpieczniejszego schowka nie posiadał. Ścisnął się paskiem i pozapinał, i gdy żona i dziecko przy-

http://rcin.org.pl

gotowały się do wyjścia, skorzystał z pierwszego w wizytach przestanku i:

— Wymykajmy...—zawołał.

Wymknęli. Drzwi za sobą zawarli. Na schodach otarli się o jegomościa jakiegoś, z długiemi bakembardami, w kapeluszu cylindrowym i w paletocie bronzowym, wbiegającego do góry. Widok jego bodźca im dodał. Przyśpieszyli kroku i na ulicy dopiero jedno drugie zapytało:

— Widziałeś?... Poznałaś?...

— Pan Karol...

Przed domem stał fiakier.

Ruszyli śpiesznym chodem. Na rogu ulicy Kacper obejrzał się i widział pana Karola, jak wsiadł do fiakra i w przeciwną udał się stronę.

— Wszystko na jeden kamień...

— Co?...—zapytała Kasia.

— Myślę o panu Grochiewiczu, o panu Karolu i o tych wszystkich, co pukali... Wszyscy oni na jeden kamień...

— Toć nam chyba uciekać z Odessy...

— Nie... Trzeba jak najprędzej wleźć w pańską skorupę... Jak tylko to zrobimy, natychmiast będziemy mieli spokój...

— A jakże to zrobimy?...

— Zrobimy jakoś... Spuść się na mnie... Przecież nie daremnie byłem lokajem...

I jakby na dowód, że panem być potrafi, kiwnął na przejeżdżającego w tej chwili fiakra, wziął go na godziny, i usadowiwszy się w nim z żoną i dzieckiem, kazał mu najprzód do jednej z lepszych, chociaż nie wykwintnej, zawieść się traktyerni. Od rana w ustach nic nie miał, z wyjątkiem znalezionego na ulicy Włoskiej sygara. Posilił się, nakar-

http://rcin.org.pl

mił Kasię i Franusię i wyłożył w krótkości plan dalszego swego postępowania, który był krótki.

— Pojedziemy—powiadał—do tego domku na ulicy Chersońskiej, najmiemy go natychmiast i natychmiast w nim zamieszkamy...

— W pustkach?...—zapytała żona.

— Zobaczysz, jak te pustki napełnią się prędko... Pieniądze cuda sprawiają... Ja to wiem... Niedaremnie byłem lokajem...

Z traktyerni udali się wprost na Chersońską ulicę. Kasia pozostała w powozie. Kacper sam poszedł do właściciela, który dowiedziawszy się w jakim przybywa celu, zmierzył go okiem pogardliwem i odrzekł:

— E... to nie po waszej sile...

— Jakaż cena najmu?...

Właściciel wymienił kwotę roczną, z dodatkiem, że czynsz płatnym jest z góry w ratach kwartalnych.

— A jeżelibym zapłacił za cały rok z góry?...

— To co innego...

Kacper pieniądze wyliczył i pokwitowanie sobie dać kazał.

— A jak honor?...—zapytał właściciel.

— Kacper Mędziński...

— A!... U!...—były okrzyki, któremi właściciel na dwa te wyrazy odpowiedział, zmieniając się w jednem mgnieniu oka w zachowaniu się swojem względem lokatora. Jakiż to dla mnie zaszczyt!... Panie, ja czynszu z góry nie potrzebuję... Nie wiedziałem z kim mam do czynienia... A to szczęście prawdziwe!... Jestem na pańskie rozkazy i usługi, ja i rodzina moja cała...

— Przyjechałem tu z żoną... Żona moja zostanie, ja

http://rcin.org.pl

zaś pojadę do miasta i zakupię dziś jeszcze mebli trochę, ażebyśmy przynajmniej przenocować mieli na czem...

— Niech się pan łaskawy nie trudzi i nie ambarasuje... Dostarczę wszystkiego na dziś i na jutro i na jak długoby się panu spodobało... Natychmiast przyniosę fotel dla pani...

Skoczył i wnet z domu przyległego, przy pomocy żony, córki, synów, służących, przytransportował fotel, krzeseł parę, stolik, szezląg i stołeczek pod nogi. Kasia została pod ręce z powozu wysadzoną. Właścicielka wzięła jej z rąk dziecko, dla którego w tej chwili zabawki i mleczka ciepłego przyniesiono. Właściciel kręcił się, zapytując, czy nie mają państwo przybyli jeszcze czego do rozkazania.

— Mam do pana prośbę...—odezwał się Kacper, biorąc go na stronę.

— Jaką?... panie!... Najszczęśliwszym będę, jeżeli w czem usłużyć potrafię...

— Bardzobym potrzebował tego, ażeby przez czas jakiś... przez miesiąc, naprzykład... nie wiedziano, żem zamieszkał u pana...

— Przez rok!... przez lat dziesięć!...—zawołał właściciel.—Zresztą, z rodziny i służby mojej nikt nie wie... Tajemnica pozostanie pomiędzy nami...

— Radbym w pierwszych chwilach bez służących się obchodzić...

— Będziemy służyli, wszyscy razem i każde z osobna... Żona moja na kuchni się zna znakomicie, będzie dla państwa śniadania, obiady i wieczerze przyrządzała. Córka moja dzieci lubi, będzie dziecko bawiła... Do uprzątania pokojów, czyszczenia sukien, nastawiania samowara, usługiwania do stołu, mam sługi, chwała Bogu... Jeden z synów moich będzie zawsze na zawołanie pańskie do posyłek i komissów...

http://rcin.org.pl

— Przez miesiąc najdłużej...—wtrącił Kacper.

— Jak długo się panu spodoba...

— Nie chciałbym, ażeby ludzie...—zaczął się Kacper tłumaczyć.

— Rozumiem... — przerwał właściciel domu. — Rozumiem... Ma pan racyą jak najzupełniejszą, chcąc się zasłonić od natrętów... Pan się musi opędzać, jak psom... A! bo też ludzie, to psy... Byle jeno zwietrzyli gdzie pieniądze... Oho!... ani się im opędzić... W tym domku będzie panu, niby u pana Boga za piecem...

W rzeczy samej, Kacprostwo, zamieszkawszy w domku na ulicy Chersońskiej, wpadli jak kamień w wodę. Mało osób dwieście, różnego stanu, wieku, pochodzenia i płci rozbijało się za nimi po Odessie, dojść nie mogąc, co się z nimi stało. W domu, w którym mieszkali poprzednio, opytu wziąść nie było można, ztamtąd bowiem jak wyszli, tak i nie wracali więcej, dla tej racyi dobrej: nie mieli po co. Gospodarz domyślił się z łatwością, że postradał lokatorów i nie robił sobie skrupułu najmniejszego w wyrzuceniu pozostałości po nich na śmiecisko. Pewien był, że się nie zgłoszą po trzewiki dziurawe, szal tyftykowy i rupiecie, w dotykaniu się do którego potrzeba było odwagi, jaką nędza urabia. Czynsz był zapłacony; długów po sobie nie pozostawili żadnych: nie istniał więc powód najmniejszy, ze strony gospodarza, poszukiwania ich drogą urzędową—przeciwnie, istniał powód nieposzukiwania, a to w tem, że gospodarz wyrzucał sobie gorzko, iż nie umiał zaskarbić ich wdzięczności. Im koło nich było biedniej, tem on okazyzywał się względem nich surowszym na punkcie wypłat czynszu na termin. Godziny czekać nie chciał. Dokuczał, groził, brutalnie się stawiał; gdy więc odeszli, przyjął fakt dokonany i przylepił na domu kartkę z napisem, że ma do

http://rcin.org.pl

wynajęcia izbę, pomimo, że Kacprostwo parę tygodni mieliby jeszcze prawo mieszkać w takowej. I nikt w domu całym, w którym mieściło się lokatorów kilku, nie rościł sobie prawa do ich wdzięczności lub pamięci, z wyjątkiem kramarza na dole, który pamiętał o trzech siarnikach pożyczonych. Ten atoli, gadał tylko o dobrodziejstwie, jakie wyświadczył, ale wskazówki, któraby poszukujących na trop zniknionych naprowadziła bogaczów, udzielić nie był w stanie. Drugi zaś dobrodziej, sołdat—ten drogą prawa mógłby poszukiwać—pił właśnie na zabój.

Tak więc poszukiwania wszelkie — z tych niektóre, Grochiewicza naprzykład, do frenezyi dochodziły—daremnemi się okazywały. Dla znajomych i wielbicieli swoich Kacprostwo przepadli. Istnieli wyłącznie dla siebie, czego im ostatecznie za złe brać nie można, chociażby tylko przez wzgląd na to, że cała ta sfera społeczna—z wyjątkami dającemi się na palcach policzyć—do której ich fortuna wprowadziła, to samo czyni, nie licząc tego, że gdyby się byli nie odosobnili, zagrażało im wpadnięcie w ręce takich Grochiewiczów i dzielenie się z nimi wygraną. To ostatnie byłoby użytkiem jak najgorszym. Bez wahania więc twierdzimy, że nie mogli zrobić nic lepszego, jak zamknąć się w domku na Chersońskiej i ślady za sobą zatrzeć.

Zamknęli się i istnieli dla siebie.

Pani Kacprowa od razu, jakby na to umyślnie stworzoną była, wpadła w ton nowego położenia swego. Zdawało się, jakby ją wykołysano przy tej, znajomej panienkom podrastającym piosence:

„Tożbym to ja jadła piła, jadła piła, jadła piła,
I nic nie robiła... i nic nie robiła!“

Doskonale jej było. Czuła się w swoim żywiole. Gotowe wszystko przychodziło jej do rąk i do gęby i nie miała

http://rcin.org.pl

potrzeby imać się niczego—niczego, słowem jednem, a tylko dać się unosić fali, która z niej, praczki pierwotnie, wędrownicy znędzniałej następnie, żony wyrobnika dziennego w końcu, powoli, powoli panią, damę wielką urabiała. Przychodziło to samo przez się, w miarę jak ją luks, napływający stopniowo, otaczał. Poważniała stopniowo, tą powagą, którą kapitał moralny do bogactwa przywiązany, próżniactwo, nadaje. Ona kapitał ten posiadała z góry. Z łatwością więc jak największą przychodziło jej pozować na wielką panią w małem kółku, w jakie się dostała, i przysposabiać się przez to do odegrywania dobrze swojej roli na teatrze wielkiego świata, do wystąpienia na którym powoływał ją los, który trafił się jej nie pod postacią urodzenia, spadku, dorobku etc., ale postacią numeru loteryjnego.

Nic nie robiła i płynęła w górę.

Za nią, o wszystkiem myślał, wszystko robił pan Kacper.

Pan Kacper—nazywajmy go już panem Mędzińskim—od pierwszej chwili pobytu na Chersońskiej począł, wyrażając się terminem technicznym, montować się na skalę obywatelską. Szło mu to gładko, nie dla tego, że, jak przysłowie ludowe powiada „prybud' szczastie, rozum bude", ale dla tego, że wszystko co robił, robił ze znajomością rzeczy. Niedaremnie—jak sam powiadał często—był lokajem. Jako lokaj, ocierał się o panów, widział co robili, słyszał co mówili, uczył się od nich i stał, pod względem umysłowym, na jednym z nimi poziomie. Żaden z obywateli w okolicy Ohrebyszcz i Krasiłowiec nie był od niego mędrszy. Przewagę w tej mierze stanowi pewność siebie, nadająca akcent głupstwom największym. Innego rodzaju przewaga nie zachodzi i zachodzić nie może, z wyjątkiem, rozumie się, tych wyjątkowych osobników, co, kończąc szkoły, zdobywają

http://rcin.org.pl

zapas wiadomości w szerszym zakresie. Ci znajdują się w możności bycia rozumniejszymi od własnych lokai. Inni zaś, wszyscy tacy co do szkół zaglądali tylko—a z takich ogół się składa—możności tej nie posiadają. Ratują się rozumem tak zwanym chłopskim, przymiotem bardzo szacownym, ale wrodzonym, to jest takim, do którego obywatelskość prawa wyłącznego nie nadaje, a który równa stany pod względem intellektualnym. Lokaje, dzieląc życie z panami, przez to samo przychodzą do jednakowego z nimi mianownika rozumowego i mogą być zupełnie takimi jak oni obywatelami.

Nasz pan Mędziński przeto wziął się do rzeczy, w której posiadał kompetencyę zupełną.

Montował się na stopę obywatelską. Meblował domek, ubierał żonę, okrywał siebie; wiedział co gdzie postawić i co jak urządzić. Uwijał się—nigdy inaczej, jeno fiakrem, co go od spotkań broniło—po magazynach, krawcach, modniarkach; ogładzał się, oporządzał; ogładzał i oporządzał swoją panię, do której przyjął nauczycielkę dla poduczenia jej czytania i pisania; sam zaczął czytywać gazety—i razu pewnego zasiadł do pisania przy biórku, któreby już względem elegancyi nie ustąpiło biórku najpierwszej damy z wielkiego świata. Zdziwiło to nieco panią Mędzińskę. Podeszła do męża, stanęła obok niego i przypatrywała mu się ciekawie. W końcu zapytała:

— I co to?...

— Piszę... nie widzisz?...

— Tak widzę... ale, co?... na co?...

— Spytaj raczej: do kogo?... Piszę list, najpierwszy w życiu...

— Toż radabym wiedzieć, do kogo...

— Do pana Oleckiego... Długo myślałem, do kogoby

http://rcin.org.pl

się zgłosić, ażeby mi o matce podał wieść; on jeden jakoś, w stronach tamtych, do przekonania mi przypada... Opiszę mu wszystko i będę go prosił, żeby się dowiedział, czy nie możnaby gruntu i chaty, z których matka czynsz płaci, na własność nabyć...

— Co ty pomyślisz, to wszystko mądrze...—odparła żona, odchodząc od biórka do zwierciadła i stając przed niem z takim akcentem, jakby nigdy w życiu praczką nie była.

Mędzińskiemu ten najpierwszy w życiu list nie poszedł gładko. Pracował nad nim przez tydzień cały, napsuł papieru co niemiara, aż w końcu wykaligrafował wielkiemi literami list długi, w którym wyłuszczał interes cały i o jak najśpieszniejszą upraszał odpowiedź, powołując się na znaną pana Oleckiego uczciwość. List ten chromał pod względem ortografii i szyku, ale przedstawiał interes jasno i wyraźnie.

---

http://rcin.org.pl

VI.

Ile razy czytać mi się zdarzy nekrolog jaki, drukowany na czwartej stronnicy dzienników i poświęcony sławieniu cnót i zasług zmarłego lub zmarłej, tyle razy przychodzą mi na myśl dwa zgony: zgon księcia Norberta Gamajdy i zgon podkomorzego, Marcina Kostrzewickiego. Mężowie ci raczyli przyjść na świat i raczyli świat ten opuścić: były to dwa fakta w życiu ich najważniejsze. Zresztą nie odznaczyli się niczem. Warto jednak było posłuchać mów pogrzebowych, jakie ksiądz Celowicz na cześć ich wygłosił! Warto było czytać nekrologi, jakie anonim jakiś pamięci ich w pismach publicznych poświęcił! Zdaniem mojem, nekrologi podobne niemałą moralności zadają szkodę. Czytają je ludzie żywi. Ci co nieboszczyka nie znali, wcale się tem nie interesują, czy go chwalą, czy ganią; ci jednak, co go znali, doznają mimowolnie wrażenia, wbrew sprzecznego z zasadami moralności czystej. Nieboszczyk występuje pod postacią przykładu—przykładu złego a chwalonego. Ztąd wyradza się konkluzya naturalna, którą każdy sobie w sumieniu własnem wyprowadza:

— Ażeby pochwały uzyskać, nie potrzeba być lepszym jak nieboszczyk...

Mało jest ludzi z takim hartem, żeby dobre praktykowali przez samo w niem zamiłowanie. Ogół potrzebuje za-

http://rcin.org.pl

chęty, ostrogi, a nadewszystko przykładów, takich zwłaszcza, które z trumny wystają. Egipcyanie starożytni oddawali trupy pod sąd. Była w tem wielka praktyczna racya. Zapobiegało się w ten sposób chwalbie niezasłużonej, a zatem i złym przykładom.

Ksiądz Celowicz w mowie pogrzebowej i nieznajomy autor w nekrologu, wyrazili się o księciu Norbercie, że się odznaczał cnotami cichemi, o których nikt nie wiedział i czynieniem takiem, że ręka prawa i ręka lewa wcale się ze sobą nie znały. Tak. O cnotach nikt nie wiedział, ani nieboszczyk sam i mógłby jeno o nich powiedzieć, co powiadał Bridoison, w komedyi Beaumarchais'go, o pełnieniu obowiązków sędziowskich: „*La forme, la-a forme.*“

Ksiądz proboszcz wyliczał cnoty.

— Czy kogo skrzywdził?...—zapytał obecnych.—Niech kto wystąpi i powie otwarcie: czy kogo skrzywdził?...

Nikt nie występował. Nieboszczyk książe nie krzywdził nikogo. Istniał póki żył, nie jak ów kamień na drodze, o który przechodnie nogi sobie kaleczą, ale jak ów kamień, o który przechodnie nie kaleczą sobie nóg. Mąż ten był do niczego; wszelkie zaś pochwały, jakieby do niego zastosować się dały, zawierały się w przysłowiu: „Niewiadomość grzechu nie czyni.“ Nie grzeszył przez niewiadomość; gdyby zaś grzeszył, to przed każdym sądem uzyskałby przebaczenie.

Inaczej trochę, co się tyczy losu duszy, rzecz się miała z podkomorzym. Ksiądz Korski milczał, milczenie to jednak było wymowne; proboszcz zaś, w mowie pogrzebowej, wymienił zasług tyle i cnoty takie, a tak przytem udowodnił brak win i grzechów powszednich nawet, że najmniejszej nie pozostawiał wątpliwości co do pogrobowego życia dostojnego nieboszczyka.

http://rcin.org.pl

— Zwłoki jego tu, przed nami, prawowierni chrześcianie!...—wołał z ambony—a dusza na prawicy Najwyższego... Uradowali się aniołowie niebiescy z przybycia takiego obywatela... Im radość, a nam smutek... Smucimy się... o!... Smuć się ty, wdowo stroskana, dla której słowo jego każde świętem było!... Smuć się, synu zbolały, dla którego był on duchem opiekuńczym!... Smuć się, córko zrozpaczona, której on mitrę na głowę włożył!... Smućcie się obywatele, dla których był on pochodnią, przykładami świecącą!... Smućcie się, sługi, włościanie, etc., dla których był on trąbą do cnoty budzącą...

O pochwałach, oddawanych podkomorzemu przez kaznodzieję, powiedzieć można, że szły do granic ostatecznych, tak, że gdyby część jeno prawdy w sobie zawierały, to nieboszczyka zaliczyćby należało w poczet ludzi w Polsce najznakomitszych. Tymczasem był on niczem mniej, jak znakomitością. Znamy go przecie. Miał głowę, ale nie do pozłoty i odznaczał się jedynie pewnym filozofii rodzajem, za pomocą którego umiał zażegnywać burze małżeńskie, jak to widzieliśmy, w kwestyi wychowania dzieci, wydanych na pastwę podkomorzynie; w kwestyi stosunków skomplikowanych pomiędzy podkomorzyną, panem de Lurcy, panną de Maintenon, panem Karolem, panną Ludwiką i jakimeś—którego nie znamy jeszcze—Gustawem; w kwestyi wreszcie wydania córki za księcia Godfryda. Zalety jego dodatnie osnuwały się około tego, co Francuzi nazywają *savoir-vivre*. Oto wszystko, co my, nie pomazani na kapłaństwo, na mogiłę jego rzucić możemy.

O pogrzebach księcia i podkomorzego wzmiankujemy razem, dla tego jedynie, ażeby nie rozwałkowywać opowiadania, gdybyśmy się trzymali porządku chronologicznego, wedle którego wypadki te nastąpiły jeden po drugim w od-

http://rcin.org.pl

ległości lat trzech z górą. Najprzód zeszedł z tego świata książe, następnie podkomorzy. O powodach śmierci ich, jak zwykle, różnie różni mówili, składając winę na różne przyczyny, wychodzące z jednego punktu wspólnego, który tkwił w doktorze. Gdy umarł pierwszy, wnet zagadano powszechnie:

— Doktór zabił...

Gdy umarł drugi, powtórzyło się to samo.

Powód śmierci księcia upatrywano w tej okoliczności, że mu postawiono pijawki nie na piersiach ale na grzbiecie; za powód śmierci podkomorzego podawano to, że mu nie postawiono pijawek na grzbiecie a na piersiach. Opinia publiczna zwalała winę całkowicie na doktora, stanowiąc, raz, że pijawki stawiać się powinny nie gdzieindziej jeno na piersiach, drugi raz, że stawiać się powinny nie gdzieindziej jeno na grzbiecie. Było o tem gadania dużo, do którego przyczepiano powody różne inne. Przypisywano, naprzykład, przyczynę choroby jednego i drugiego zgryzotom domowym i rozpowiadano rzeczy niestworzone o młodej księżnej i o panu Karolu. Co się księcia tyczy, nie obwijano rzeczy w bawełnę.

— Synowa go do grobu wtrąciła...—mówiono.

Temu nie wierzymy. Książe Norbert należał do tego ludzi gatunku, których się zgryzota nie ima. Nie! Insynuacyę tę odpychamy, zwalając winę raczej na naturę, która ludziom jednym pozwala żyć dłużej, drugim krócej. „Przyszła kreska na Matyska.“ Ludzie kompleksyi i tuszy takiej bywają zazwyczaj niedługowieczni. Książe Norbert przekroczył wiek średni—musiał umierać—i umarł. Innego powodu nie było.

Co się jednak podkomorzego tyczy, rzecz inna. W od-

http://rcin.org.pl

niesieniu do niego zgryzoty mogły być przyczyną śmierci, jeżeli nie bezpośrednią, to pośrednią.

Czytelnik się domyśla, zkąd one przyszły.

Domyślić się łatwo, jak.

Sypnęły się, niby z roga obfitości, pomimo, że w pierwszych chwilach wyglądały zabawnie, obleczone w powłokę donżuanizmu, z którym pan Karol wystąpił na teatrze stosunków sąsiedzkich. Bardzo to było zabawne! Pan Karol popisywał się, wybrawszy sobie, za pierwsze popisów pole, Frasoblówkę, gdzie go przyjmowano, jako kuma, z serdecznością i gościnnością, przypominającą dawne czasy i gdzie on, z całą gorliwością, lepszej zaiste godną sprawy, pracował nad wyrządzeniem psikusa „kochanemu sąsiadowi.“

— Gąska...—perswadowała mu matka, mówiąc o pani Oleckiej—niewielki dla ciebie zaszczyt...

— Czy to mnie o zaszczyty chodzi!... Jest w kobiecinie tej *quelque chose du piquant*, więc... żeby się nie nudzić...

— Mąż jednak... familii dużo... Oleckich cały naród... Gotowi kollektywnie poszukiwać na tobie reparacyi honoru... gdybyś łatwy odniósł tryumf...

— Co mi tam!... Wyobrażam ich sobie, jak owe dzikie zwierzęta, lwy, tygrysy i lamparty, z pośrodka których rycerz rękawiczkę podjął... Rękawiczką jest *madame Olecka*, *charmante villageoise*... naiwna śród cerberów, z których jeden, jak gołąb biały, zatopiony w heraldyce i modlitwie, drugi, wyglądający niby sum, myszy łapie, trzeci potulny, poczciwy, serdeczny, kochany... na don Alfonsa stworzony...

— Nie rozumiem ciebie...

— Trzebaż się, mamo kochana, jakoś na tem wygnaniu bawić...

— Nie powiadam, nie... Gdybym jednak na twojem

http://rcin.org.pl

była miejscu, poszukałabym sobie odpowiedniejszego do zabawy przedmiotu...

— Oho!... Domyślam się, w co mama kochana bije... Chce mnie mama zajść z mańki i do porządku nawołać... Ale... przecież... albo się ma zasady, albo się ich nie ma... Ja moje wyłożyłem, i zdaje się, są one *irréprochables*... Wezmę małżonkę kochanego sąsiada, jak rękawiczkę z pośrodka zwierząt dzikich, ale nie na to, żeby ją rzucać natychmiast, jak ów rycerz zrobił... Ponoszę ją trochę i dopiero rzucę...

— Ależ to gąska, mój Lolo drogi!...

— Nie przeczę... Gdybym czasu miał więcej, upatrzyłbym sobie coś jeszcze...

Ostatnie te słowa odnosiły się do ślubu, jaki podkomorstwo zrobili, we względzie pielgrzymki do Częstochowy, którą odbyć mieli wraz z księztwem Godfrydostwem. Pan Karol zostawał w domu, na gospodarstwie, wymówiwszy sobie, że po powrocie rodziców, pojedzie jeszcze do Paryża. Podkomorzy skrzywił się na to, lecz sprzeciwiać się nie mógł. Podkomorzynę zanadto zadowalniały korzyści wyraźne, jakie syn w stolicy Francyi, we względzie pronuncyacyi francuzkiej i szyku towarzyskiego osięgnął, ażeby sprzeciwianie się podkomorzego coś znaczyć miało. Była to jeno pierwsza zgryzota, która go zaatakowała po wydaniu córki, zgryzota, którą w sobie stłumił, zmieniając ją w ten sposób w truciznę trawiącą powoli siły jego żywotne.

Podkomorstwo z Obrebyszcz, księztwo Godfrydostwo z Krasiłowiec, dworno, zasobnie, z kuryerami co ich poprzedzali, z dwiema opakowanemi a służbą obsadzonem, brykami, które szły za karetami, puścili się w pielgrzymkę pobożną. Wyjechali, rozumie się, nie w dniu jednym, byłoby to bowiem *mauvais genre*, ciągnąć taborem na wzór cy-

ganów. Podkomorstwo jechali osobno, księztwo osobno, powracać zaś mieli odmiennemi drogami, pierwsi na Włodawę i Berdyczów, drudzy na Kraków i Lwów. Puścili się w podróż, która zająć miała tygodni kilka. Pan Karol pozostał sam.

Wyprowadził rodziców na trakt, i powracając, nawrócić kazał do Frasoblówki.

Państwo Oleccy byli w domu oboje.

Nic nudniejszego, jak wizyta, w warunkach takich, w jakich ją składał pan Karol. Obecność męża podcinała mu skrzydła. Nie tracił jednak fantazyi i brał się—jak to powiadają—na pazury, w celu wykazania przed panią zalet, czyniących go o niebo całe od tego męża wyższym. Jest to zwykła don Juanów taktyka. Roztaczał przymioty swoje, niby paw' ogon, mówił o wielkim świecie zagranicznym, o stosunkach, jakie w nim posiadał, o zwyczajach, o obyczajach, o tajemnicach, o intrygach i o tych skandalach, które aureolą heroizmu otaczają modne damy. To ostatnie ma smak, zapach i ponętność całą owocu zakazanego. Na ten lep biorą się gąski z łatwością wielką, gąski zwłaszcza, znajdujące się w położeniu pani Oleckiej. Pan Karol prowadził atak umiejętnie; ustawiał baterye małżonkowi pod nosem i miał tę satysfakcyę, że razy parę podchwycił spojrzenie pani... wielce obiecujące.

— *Ça va... Ça chauffe...*—powtarzał sobie, powracając do domu.

Powtórzył wizytę i znów obok magnifiki małżonka zastał. Musiał znów zabawiać się ustawianiem bateryj pod nosem.

Za trzecim razem *ditto*.

— *Ah ça!...*—zawołał, jadąc z Frasoblówki z powrotem do Ohrebyszcz.—Czyż sąsiad kochany nigdy dla oglądania wschodzących owsów w pole nie wyjeżdża?... Trzeba go

chyba dokądeś wyprawić... Czy nie pojedzie on na jarmark jaki?... do Bałty może?... Kiedyż to tam jarmark?...

Posłał po komissarza, dowiedział się, że jarmark bałtski przypada na Zielone Święta, następujące za dni kilka, pojechał nazajutrz z nową do Frasoblówki wizytą i nie zastał męża w domu.

— Gdzie?...

— W polu... niedawno pojechał, nieprędko więc zapewne wróci...

— I zostawia panią samą?...

— To nic... Przywykłam do tego...

— A!...—zawołał pan Karol, podnosząc głowę i wstrząsając takową.

— Mąż mój będzie żałował chwil, których z panem nie spędzi... A i pan nie dozna przyjemności nadzwyczajnej w mojem tylko towarzystwie...

— Ach pani!...—zaczął pan Karol, nadając oczom wyraz słodki, wzruszony i natchniony i myśląc chwilkę nad dobraniem wyrazów, w celu ułożenia frazesu effektownego, gdy wtem usłyszał za sobą energiczne chrząknięcie.

— Hrr-hm...

Pan Karol się obejrzał.

— Służby moje asanu dobrodziejowi!... Do stópek się ścielę!...

Tak komornik gościa witał.

— Kłaniam...—odparł pan Karol kwaśno.

— Widząc, djabeł wie, że pana Oleckiego w domu nie ma, pośpieszyłem co rychlej na usługi pana dobrodzieja...

— Bodaj cię z usługami twojemi licho porwało!...— rzekł podkomorzyc do siebie.

— Zabawię asana dobrodzieja rozmową...

http://rcin.org.pl

— O czem, naprzykład?...—podchwycił pan Karol, przybierając minę żartobliwą.

— Djabeł wie, mociumpanie... o czem pan dobrodziej życzy sobie... o stroju, o łoju, o kurze i grzędzie i o różnych innych rzeczach...

— Komornik...—wtrąciła pani—doskonale opowiada o processie swoim... Zawsze go z wielką słucham przyjemnością...

— Otóż to... hrr-hm!... mociumpanie... djabeł wie... Prababka moja... świeć Panie nad jej duszą... prababka w linii prostej, bo babka rodzona stryjeczno-ciotecznego stryja mego, Pawła Aleksandra Teodora trzech imion Okrasy, Okrasianka z domu, Olecka po mężu, umierając, zostawiła summy posagowej, ewikcyonowanej i intabulowanej, złotych polskich tysięcy szesnaście...

— Tysięcy szesnaście?...—zapytała pani z zajęciem.

— Złotych polskich tysięcy szesnaście...—powtórzył komornik powoli i dobitnie—jak oko... jak lodu... Nie mówię więcej, bo i do czegóżby to było!... Tysięcy szesnaście ani mniej, ani więcej... Djabeł wie... Nie chcę cudzego, nie daruję swego...

— A procenta?...—wtrąciła pani.

— Procenta?... hm... Djabeł wie... My do procentów przyjdziemy, chociaż to z procentami, to rzecz taka: Ani się ich dorachujesz, choćbyś buty z nóg obydwóch pozrzucał... Kto te procenta wymyślił, djabeł wie; że się należą, to pewne, ale... ile?... otóż i sęk... Potrzebaby do tego rachmistrza... phiii!... Takiego z pewnością nigdzie nie znajdziesz... Znałem jednego... ale jednego tylko... djabeł wie... nazywał się Chochełka...

— Chochełka?...—zapytała pani z ciekawością.

— Jędrzej Onufry dwóch imion Chochełka...

— Podstolic nam powie, jak się pieczętuje...

— Nie mówiłem podstolicowi o nim... Dość, że się nazywał Jędrzej Onufry...

— Dwóch imion...—wtrąciła pani.

— Tak... dwóch imion... Jędrzej Onufry Chochełka... Ależ to był rachmistrz, mospanie!... Hrr-hm!...—tu komornik pokrętny rozgładził wąs.—Jędrzej Onufry Chochełka... Bywało szedł o zakłady... A nu... sześć razy ośm!... ośm razy sześć!... Umiał, szelma, i tędy i owędy... Nikt z nim nie wytrzymał... Żydzi sobie pejsy wyrywali... Ja, Bogu dzięki, w ciemie nie bity, a... nie... z nim byłem niby koń leniwy, zaprzężony w dyszlu razem z koniem ognistym... He!... gdzie!... Siedm razy ośm!... on już powiedział, kiedy ja namyślać się myślał, zaczynając od siedm razy jeden... Oto mi był rachmistrz!... Ale... djabeł wie... o czemże to mówić ja chciał?...

— O procentach...—podpowiedziała pani.

— Aha!... prawda... przypominam sobie... Owóż tedy, mości dobrodzieju... djabeł wie... Jędrzej Onufry Cho...

— Dwóch imion...—wtrąciła pani.

— Tak jest... dwóch imion... Jędrzej Onufry Chochełka, był to rachmistrz nad rachmistrze... Powiedzieć mu bywało: sukna łokci siedm po złotych dziesięć i groszy dwadzieścia, on, panie, bez kredki... głowa do góry... pobełkotał pod nosem... jest... Żeby się kiedy o fenig jeden omylił!.. Matematyk... hej!... *kudy*!... nie taki jak ten fizyk, co to bańki nosem puszczał... Hrr-hm!... Tak... ale... djabeł wie.. O czemże to ja mówić chciał?...

— O procentach...—znów pani na to.

— Prawda!... no!... Otóż ten, Jędrzej Onufry Choch...

— Dwóch imion...—przypomniała pani.

— Tak jest... dwóch imion... Jędrzej Onufry Chochełka...

http://rcin.org.pl

ka kiedy mu się przyszło procenta jakieś wedle kahału rachować, to, mości dobrodzieju, siedział, siedział, siedział, siedział i jeszcze siedział...

Pan Karol siedział, niby na węglach żarzących.

Komornik odchrząknął, wąsy rozgładził i znów zaczął:

— Siedział, siedział, siedział, siedział, siedział... pozieleniał... wyłysiał... zęby potracił... i, co na to asaństwo dobrodziejstwo powiecie! procentów nie ugryzł... A matematyk!... a rachmistrz!... Żydzi sobie pejsy obrywali, sam to widziałem... Procentów jednak, ani weź!...

Co panu Karolowi najbardziej żółć poruszało, to to, że pani Olecka z wielkiem zajęciem słuchała bzdurzenia rezydenta i zapomocą zapytań, jakie mu zadawała, podtrzymywała rozmowę, która się przeciągnęła, aż pan Olecki nadjechał.

Podkomorzyc odetchnął, jakby mu się ciężar z piersi zwalił.

Pan Olecki powitał sąsiada i kuma z serdeczną uprzejmością.

— O! jakże żałuję, że mi dziś wypadło w pole pojechać...

— Mówiłam panu podkomorzycowi, że żałować będziesz...

— Posłać było po mnie...

— Byłabym posłała, gdyby nie komornik, który nas tak zajął opowiadaniem o procesie swoim, że czas zbiegł, anim się opatrzyła...

Pan Olecki podziękował komornikowi, a zwracając się do gościa zapytał:

— Cóż, kumie?... Zielone Święta za pasem?...

— Zielone Święta właśnie do Frasoblówki mnie dziś sprowadziły...

http://rcin.org.pl

— No?...—było pana Oleckiego zapytanie.

— Jadę na jarmark i chcę cię prosić, żebyś i ty jechał...

— Ja i bez prośby twojej jechać muszę... Mam trochę bydła rogatego na sprzedaż i koni do kupienia...

— Wybornie!... Kiedyż w drogę?...

— W sobotę... jednym dniem stanę, w sam raz na pierwszy dzień jarmarku...

— Wyśmienicie!... Więc się w Bałcie zjedziemy... Nie mam jarmarcznego nawyku, nie dałbym sobie rady...

— Czegóż ci potrzeba?...

— Ach!... koni, koni i koni... Chcę papie siurpryzę zrobić i bronowłoki perszeronami zastąpić... Za granicą orzą, wożą, włóczą perszeronami...

— Ależ w Bałcie perszeronów nie dostaniesz...—zauważył pan Olecki.

— Dostanę coś podobnego...

Perszerony był to wymysł, wynalazek naprędce zrobiony, celem nadania racyi jakiejś wyprawie na jarmark. Głównie chodziło młodemu człowiekowi o to, żeby sobie zapewnić sam na sam z panią Olecką długie i spokojne.

— O tożem się ubawił!...—wywoływał, myśląc o opowiadaniu komornika. O, bydle!... ze swojem „siedział, siedział, siedział“... Bodajbyś się pod ziemię z twojem „siedział“ zapadł!... Rachmistrz Chochołka?... Bodajby ci język usechł!... Okazy, do tego komornika podobne, chyba u nas znajdują się tylko... Ale... ona!... ona?... kobieta przecie!... z delikatnością smaku wrodzoną!... słuchać bredni takich?... Któraż to Francuzka, gdyby o Chochełce zaczął, nie krzyknęłaby na niego: *au large*!... Powetuję jednak to sobie!...

W sobotę rano pan Olecki ruszył do Bałty.

http://rcin.org.pl

W sobotę około dziesiątej pan Karol przyjechał do Frasoblówki.

I ułożył sobie planik wcale dowcipnie.

Przyjechał powozem upakowanym po podróżnemu. Wysiadłszy, zapytał służącego, co na spotkanie jego na ganek wyskoczył:

— Pan w domu?...

— Nie ma, proszę pana...

— Pojechał już?...

— Ee... ta od kiedy!...

— Ha!...—uderzył się dłonią w czoło.—Cóż tu robić!... Myślał przez chwilkę.

— Gdzie komornik?...

— W swojej stancyi, proszę pana...

— Co robi?...

— Czyści pułapki na myszy... Dzisiaj w nocy złapał dwie, ta powiada, że pułapki odwietrzyć potrzeba, bo mysz nie pójdzie, jak poczuje zaduchę...

— A poproś-no komornika do mnie...

Służący poskoczył i w chwilę później pan Okrasa składał powitania czekającemu nań na ganku podkomorzycowi.

— Komorniku kochany!...—przemówił ten ostatni.—Chcesz mi usługę wielką oddać?...

— Djabeł wie, mosanie... Hrr-hm... Ja nie wiem... Ten, za pozwoleniem pańskiem, dureń (tyczyło się to służącego, co go wezwał) wpadł do mnie, jakby się paliło...

— Chodzi o ot—podchwycił pan Karol.—Dojeżdżając tu, opatrzyłem się, żem zapomniał pugilaresu z pieniędzmi... Włożyłem go do biórka i biórko zamknąłem... Oto klucz (wydobył klucz z kieszeni)... Jedź, komorniku kochany, do Ohrebyszcz, każ się do apartamentu mego prowadzić...

http://rcin.org.pl

otworzysz biórko... weźmiesz pugilares i tu mi go przywieziesz... Ja poczekam na twój powrót...

Komornik po podawany mu klucz ręką nie sięgał i z pewnym rodzajem osłupienia w oczy panu Karolowi patrzył.

— Cóż?... zrobisz mi to?...

— Kto?...

— Ty!...

— Hrrm!...—odchrząknął z przyciskiem.

Twarz mu ogniem spłonęła.

— Cóż?... mój kochany?...—bąkał panicz zmięszany trochę.

— Czy to ja z tobą razem świnie... za pozwoleniem... pasał!...—wybuchnął komornik.

— Co?... ty?...—odezwał się podkomorzyc, cofając się nieco, brwi marszcząc i pięści zaciskając.

— Ty?... ty?... ty?...—odkrzyknął w gniewie wielkim komornik.—Ty?... ty?... ty?...

— Oszalałeś?... hej!...

Na okrzyk ten zeskoczył z kozła ohrebyski służący i obok pana swego pozycyę zajął.

Komornik począł naprzód, w postawie zaczepnej, z podniesionemi do góry posuwać się kułakami, rzucając z ust głosem zadyszanym:

— Ty?... ty?... ty?...

Pan Karol cofał się ku drzwiom, zdziwiony, zgorszony, zirytowany—zbladł a nie umiał sobie zdać sprawy z tego co zaszło. Uznawał jeno w głębi przekonania własnego, że na przyjęciu ataku wyszedłby jak najgorzej, przez wzgląd na atletyczną komornika budowę; czuł iżby wraz ze służącym swoim spytlowanym został na otręby, gdyby do ze-

http://rcin.org.pl

tknięcia się przyszło; a nie widział sposobu wycofania się z honorem z tej awantury, której nie szukał, która go, ni ztąd ni z owąd, na gładkiej spotkała drodze.

Komornik odetchnął i wrzaski począł wyprawiać.

Wrzaski wywołały ludzi z głębi dworu, z officyn, ze stajni i sprowadziły podkomorzycowi dywersyę pod postacią pani domu, która wybiegła w szlafroczku i czepeczku porannym.

Pani Olecka wystąpiła, niby niewiasta sabińska. Rzuciła się pomiędzy walczących. Na widok jej, komornik się cofnął i ręce opuścił.

— Co to?... co?... panie komorniku!...

— A nic, proszę pani... Skarciłem błazna, którego guwerner nie nauczył szacunku dla ludzi... Ten smarkacz... djabeł wie... proszę wystawić sobie... przemawiał do mnie: ty!... Cóż to (tu się komornik znów zapalił)!... Czy to ja nie taki szlachcic, jak on!... Czy to ja sroce wypadł z pod ogona, jak on!...

— Panie komorniku!...—przerwała pani głosem proszącym.

Komornik zamilkł od razu.

— Panie...—zwróciła się do podkomorzyca.—Ubolewam mocno... Niechże pan będzie łaskaw...

I ukazywała mu ręką drzwi do salonu.

— Proszę pana...

Podkomorzyc wszedł do pokoju zirytowany, drżący, nie mogąc jednego wyrazu przemówić.

— Jakże mi to przykro!... Proszę pana siadać...

Podkomorzyc usiadł. Pani zajęła miejsce nieopodal od niego i zaczęła tonem naturalnym, jakby nic nie zaszło:

— Mąż mój będzie mocno żałował, że się z wyjazdem godzin parę nie wstrzymał... Stracił przyjemność widzenia

http://rcin.org.pl

się z panem... A mówiłam mu: czego się śpieszysz?... Nie posłuchał...

Pan Karol odetchnął głęboko.

— Będzie miał jednak dobrą drogę...—ciągnęła pani.—Pozawczora deszcz padał i kurzawę przybił...

Pan Karol powstał z giestem oznaczającym, że pożegnać gospodynię domu zamierza.

— Pan się tak śpieszy?...

— Muszę... Jadę do Bałty... na jarmark... — westchnął.—Na jarmark...

— Nie zatrzymuję... Pan męża mego na popasie dopędzi... Mówił nawet, wyjeżdżając, że się spodziewa tego... Jakże mu będzie przyjemnie!...

Znów westchnienie podniosło pierś pana Karola. Marzył o przyjemnościach innego zupełnie rodzaju. Bąknął słów parę na przeprosiny. Pani się uśmiechnęła, odpowiedziała, że to ona przeprasza, tłumacząc komornika żywością i wyprowadziła gościa na ganek, żegnając go uśmiechem i życząc mu dobrego jarmarkowania.

Pan Karol zawahał się, czy ma do Bałty jechać, czy nie. Nieobecność pana Oleckiego nastręczała mu sposobność doskonałą do przyprowadzenia do skutku zamiarów. Z drugiej atoli strony, awantura stawiała go w świetle tak śmiesznem, że w świetle tem nie mógł się we Frasoblówce pokazywać.

— Djabli nadali!...—mówił sobie.—Gdybym był przewidział, byłbym zbrodniarza tego tytułował jaśnie wielmożnym albo najjaśniej oświeconym... Postawił mnie tak głupio w obec jejmości, że sam tylko małżonek może mnie z błota tego wyciągnąć... Ha!... trzeba do Bałty jechać... Od czegóż małżonkowie, jeżeli nie od tego, ażeby gachom służyć?... Byle tylko umieć ich stosownie zażywać...

http://rcin.org.pl

Pod tym względem młodzieniec ufał sobie, zwłaszcza po doświadczeniu, jakie zrobił na komorniku, którego chciał także „stosownie zażyć“. Komornik jednak małżonkiem nie był.

— To bydle krew mi zburzyło!...

Nie przyznawał się atoli do tego, że mu plany w niwecz obróciło, a rozmyślać począł nad głupotą polską, skutkiem której po domach szlacheckich trzymają rezydentów Nazywał ich pasożytami, zerami, latoroślami na drzewach owoc rodzących, obcinanemi w ogrodach dobrze utrzymywanych, zostawianemi zaś jedynie w takich, które w dzikim pozostają stanie. Ztąd konkluzya, że u nas to dzicz.

Nie zgadzając się z podkomorzycem co do konklu zyi zaprzeczyć nie możemy rozmyślaniu jego racyonalności, pomimo, że wyjątkowo rezydentyzm pożytecznym się okazał.

Kto wie coby się stało, gdyby nie komornik. Kobiety są takie słabe! Sztuka uwodzenia jest tak potężną! Pan Karol, obok uroku, jakim go pobyt w Paryżu oblewał, łączył w sobie przymioty szarmanta najlepszej próby, był młody, przystojny, grzeczny, wymowny, przedsiębiorczy, zuchwały, umiał się podobać i od razu i przy dłuższem poznaniu. Gdyby przeto nie drażliwość szlachecka rezydenta, kto wie czy pan Olecki nie byłby na jarmarku wyszedł jak Zabłocki na mydle, i przypuściwszy iżby mu się kupna i sprzedaże powiodły jak najlepiej, nie postradał na zawsze tego szczęścia domowego, z którem mu tak dobrze było. Rezydent przeto usługę mu oddał. Podkomorzyc atoli nie z tej na instytucyę tę zapatrywał się strony i dla tego uznawał ją bezwzględnie bezpożyteczną a nawet szkodliwą.

Do Bałty przybył nazajutrz, w niedzielę, po mszy i po kazaniu. Pan Karol wpadł w sam środek wiru i dał mu się porwać, co uczynił tem chętniej, że mu w uszach brzmiały

http://rcin.org.pl

wyrazy „błazen, smarkacz“, zaaplikowane do niego w obecności pani Oleckiej. Chodziło mu przytem o ujęcie pana Oleckiego, który zastosowywał się do wszystkiego, co cechowało jego porządność obywatelską. Jak w domu był sąsiadem najlepszym, małżonkiem wzorowym, gospodarzem zawołanym, w ogóle człowiekiem „choć go do rany przykładaj“, tak w Bałcie, na jarmarku, w zgiełku szlachecko-żydowsko-cygańsko-chłopsko-handlowo-pijackim, w otoczeniu bałagułów, podszedł pod ton i miarę ogólną, nie rwał się naprzód, nie zostawał z tyłu i dotrzymywał sprawy wszem w obec i każdemu z osobna. Pan Karol opowiedział mu *a parte*, co go w domu jego spotkało.

— I! śmiej się z tego!...—odparł.—„Pies bresze, wiatr niesie“...

Pan Karol nie mógł *a parte* gościć i podejmować męża pani Oleckiej, ani też z nim *a parte* sztosika ciągnąć. Brał więc udział w ucztach, zabawach, grach ogólnych, które opłacał; żeby zaś usprawiedliwić obecność swoją, kupował konie, wybierając takie, któreby jak najbliżej do perszeronów podchodziły, a że mu pieniędzy zabrakło, więc bez namysłu zapożyczył się u kupca z Krasiłowiec, któremu natychmiast sprzedał pszenicę całą na pniu i zrobił z nim kontrakt formalny.

— *Il y a du bon là-dedans*...—mówił do siebie, wracając domu.

I miał racyę, co do tego. Zgiełk wszelki, śród czczości absolutnej, w jakiej upływa żywot tych, co nic do czynienia nie mają, przedstawia się jak oazis na pustyni piaszczystej. Człowiek taką jest obdarzon naturą, że potrzebuje koniecznie zajęcia jakiegoś. Gdy zajęcia brak, gdy

http://rcin.org.pl

mu „urodzenie“ zabrania pracować, a majątek pozwala próżnować, szuka zagłuszenia w zgiełku, we wrzawie, w rozpuście. Powiadają, że rozpusta niesmak po sobie zostawia. Gdzie tam! Przeciwnie. Kto się napoju tego raz napił, temu się zachciewa jeszcze i jeszcze.

---

http://rcin.org.pl

VII.

„*Il y a du bon là-dedans*". Takiem było zdanie podkomorzyca o jarmarkach w ogólności—a dla czego? Oto dla tego głównie, że znalazł sposobność, która gdzieindziej niżeli na jarmarku nie była tak łatwą do znalezienia, otoczyć się nimbem heroizmu, w obec którego zbladł ów blask, w którym śmieszna awantura postawiła go w oczach frasobliwieckiej kasztelanki. Pojedynkował się. O co? O nic. W restauracyi, w której, przy długim stole kilka tuzinów szlachty siedziało, zbliżył się do niego młody jakiś człowiek i powitał go uprzejmie.

— Karolu, jak się masz!...

Podkomorzyc okiem rzucił, ramionami ścisnął i odwrócił się.

— Nie poznajesz mnie?... Gustaw...

Pan Karol z siedzenia się zerwał, do młodego człowieka się zwrócił, dumnie go okiem zmierzył, rękawiczką w nos trącił i krzyknął:

— Precz, natręcie!...

Młody człowiek zbladł i rękę podniósł z takim akcentem, jakby zamierzał czynnej, na osobie pana Karola, dopuścić się obelgi. Lecz się powściągnął—odszedł i za chwilę sąsiad jeden z okolicy Ohrebyszcz wręczył podkomorzycowi kartelusz, na którym skreśloną była ołówkiem prośba grze-

http://rcin.org.pl

czna, ażeby raczył oddawcy karteluszu ukazać swego sekundanta, z którym tenże rozmówićby się mógł o warunki pojedynku.

— Ale nie inaczej jak na pistolety i nie bliżej jak kroków dziesięć...

— Dobrze...—odrzekł oddawca kartelusza.—O tem jednak nie z panem, a z sekundantem pańskim mówić mogę... Kto jest pańskim sekundantem?...

— Olecki... Oto siedzi...—odparł podkomorzyc ukazując na pana Oleckiego i podając mu przez stół kartelusz... Wszak mi nie odmówisz usługi przyjacielskiej?... Rozmówcie się, panowie... Zjem jeno obiad i będę na usługi wasze...

Gustaw—był to ów Gustaw, o którym wspominaliśmy kilkakrotnie w ciągu powieści niniejszej, którego jednak nie znamy jeszcze—nie nastawał na pojedynek koniecznie. Na co jednak nastawał, to na to, ażeby pan Karol, jak go publicznie obraził, tak publicznie przeprosił. Sekundanci uważali taką satysfakcyę za godziwą i słuszną i dla sprowadzenia jej uciekli się do interwencyi pułkownika—tego samego pułkownika, którego synowiec był w Rzymie. Mąż poważny najwłaściwszym był na medyatora.

— Karolu... O co ci chodzi?...

— O nic...

— Miejże zastanowienie... O głowę idzie...

— Zastanowienie jest rzeczą względną... Mam je, albo nie mam, jak mi się podoba...

— Cóż ci on zrobił?...

— Nic... Pokazał mi fizyognomię swoją i to mi się nie podobało...

— Czysty waryat!...—rzekł pułkownik niby do siebie.—Wszak to Gustaw, twój dobry znajomy!... przyjaciel lat młodzieńczych!... w domu waszym bywał!... kochaliście

http://rcin.org.pl

się... Gustaw, nie zapominaj, jest podporą licznej rodziny ubogiej...

— Co to wszystko znaczy—odparł podkomorzyc tonem kpiarskim—w porównaniu z wiecznością!... a co znaczy wieczność w porównaniu z ogórkami kwaszonemi!...

Pułkownik zrobił grymas oznaczający, że się obraził.

— Mój pułkowniku, szanowny i kochany!...—podchwycił pan Karol. Nie interweniujcie napróżno!... Czuję świerzbiączkę, którą spędzić muszę, i jeżeliby mi ten był się nie nawinął, to byłbym komuś nogi podeptał...

— A!... jeżeli tak...—pułkownik na to, ręce rozkładając—to nie ma co...

Sekundanci ułożyli warunki. Plac boju obrali w domu zajezdnym, w izbie obszernej, w której za linię strzałów obrali przekątną, wynoszącą więcej trochę aniżeli kroków dziesięć. Strzelanie na komendę, razem. Strzałów po trzy. Pierwsza krew kończy pojedynek. Pistolety kalibrowe. Czas—godzina trzecia po południu. Tłumaczenie przed władzami na wypadek śmierci—samobójstwo.

O godzinie trzeciej, to jest, w godzin dwie po wyzwaniu, wszystko było gotowe. Przeciwnicy zajęli stanowiska w kątach. W dwóch innych kątach stanęli sekundanci i świadków po trzech. Przyległe izby, podsień, miejsce pod oknami zajęte były przez galerją ciekawych, zaglądających przez szczeliny i nastawiających uszów.

Nastała cisza oczekiwania. W ciszy nagle rozległo się dwa huki razem, jakby orzech zgryzł.

— Co?.. co?..—słyszeć się dały w ciżbie zapytania.

— Stoją...—obiegła z ust do ust odpowiedź.

Znów cisza. Znów dwa huki.

— Co?... co?...

— Stoją...

http://rcin.org.pl

— Zuchy!... jechał ich sześć!... Chwaty!...—wywoływać poczęto.

— Nie dopuścić strzału trzeciego!...—ktoś zawołał.— To morderstwo... To czort wie do czego podobne!...

Powstał zgiełk i zamieszanie. Ci co się bliżej drzwi znajdowali, odpychali tych, co stali dalej. Trwało to chwilę. Huknęła trzecia para strzałów. Ciżba włamała się przez drzwi do izby dymem napełnionej. Otoczono pana Karola, który, zdrów i cały, stał jeszcze w kącie i miał na ustach uśmiech drwiący a nad głową, nie wyżej jak o cali dwa, trzy, dwie kule w ścianie—trzecia utkwiła w boku nieco, tuż koło ucha.

Rzecz dziwna. Nie otoczono Gustawa. Parę zaledwie znalazło się osób, co go pod ramiona do przyległej wyprowadziły izby, gdzie czekał doktór z bandażami i instrumentami. Krew go broczyła. Oberwał. Słaniał się i na nogach utrzymać się nie mógł. Nie interesowano się nim jednak. Wyprowadzono i zostawiono sam na sam z lekarzem, który naprędce bandażował, głową kiwał, ustami krzywił, nosem czmychał i radził wynosić się jak najrychlej z pod dachu, pod którym się pojedynek odbywał, dla zatarcia śladów wypadku. Wkrótce też potem wywieziono rannego i nikt o niego ani zapytał.

Troskliwość cała i całe zajęcie publiczności skupiły się około zdrowego i całego pana Karola.

Sekundanci, świadkowie i ci z ciekawych, co bliżej znajdowali się szczelin, sławili krew jego zimną, spokój zupełny i odwagę niezrównaną.

— Stał jak słup... żeby okiem mrugnął!...

Powtarzano jego słowa.

— Po pierwszym strzale odezwał się tylko: „krak!...“

http://rcin.org.pl

Po drugim, sekundanci błagali, żeby dać już temu pokój, a on im na to, po łacinie: *omne trinum perfectum...*

O Gustawie mowy nie było: czy dla tego, że ubogi? Zostawiam to zapytanie bez odpowiedzi, notując jeno fakt, który człowiekowi lubiącemu się zastanawiać, może dużo, dużo myśli nasunąć do głowy. Usunięto ubogiego Gustawa z oczu i z pamięci, a zajęto się żywo bogatym panem Karolem i *stante pede* stworzono dla niego gloriolę, która postać jego opromieniła sławą, rozgłośną na Bałtę całą. Stał się bożyszczem dla młodych i starych. Z Bałty wieść o pojedynku jego wyjechała w najodleglejsze kraju zakątki. Do Frasoblówki zawiózł ją pan Olecki.

— Oto zuch!... oto chwat!...—były to wyrazy, któremi żonę powitał.

— Kto?... kto przecie?...—pytała zaciekawiona.

— Podkomorzyc!... kum nasz!... Wyobraź sobie tylko.. Opowiedział zdarzenie całe.

— Sekundowałem mu... Stał niby posąg... Odwagi większej wyobrazić sobie nie sposób...

— Wiesz, co go tu spotkało?...

— Wspominał mi o tem... I!... komornik... Gdybym nie wiedział z pewnością, że się nie zapija, pomyślałbym, że miał w czubku... A może?...

— Nie...—protestowała pani.—Rzecz cała w tem, jak się zdaje; czyścił pułapki na myszy... oderwano go od roboty i z tej przyczyny wpadł w zły humor...

— Jak tylko odpocznę trochę, natychmiast pojadę do Ohrebyszcz, przeproszę podkomorzyca i na obiad go poproszę...

— Trzeba kucharzowi zadysponować, ażeby miał raki na zupę...—podchwyciła pani.

W parę dni później, podkomorzyc był we Frasoblówce

http://rcin.org.pl

na obiedzie, przy którym pan Olecki wszczął rozmowę o pojedynku. Pan Karol wysłuchał początku z roztargnieniem i zwrócił rozmowę na przedmiot inny. Pan Olecki powtórnie pojedynek na stół wytoczył, biorąc go ze strony zimnej krwi i odwagi bohatera.

— A pan Gustaw?...—wtrąciła pani.

Podkomorzyc skrzywił się nieco. Pan Olecki odpowiedział:

— Gustaw... hm... I jemu nic do zarzucenia nie ma... I on....

— Co szparagi wspaniałe!...—zawołał podkomorzyc, nabierając z półmiska. Przypominają mi szparagi u Vefoura... Macie państwo ogrodnika dobrego...

Rozmowa o szparagach, następnie o innych jarzynach, które pan Karol w Paryżu jadał, zajęła resztę obiadu. Przy obiedzie komornik był nieobecnym.

Nieobecność komornika nie rozbudzała uwag ani postrzeżeń żadnych.

Nie interesowano się nim wcale.

Podstolic siedział cicho. Zjadł. Pożegnał się, ukłonił i odszedł.

Odwiedziny pana Karola wznowiły się po dawnemu, i, po dawnemu próbować musiał razy kilka, aż znalazł się sam na sam z panią.

— O, jakże mąż mój żałować będzie!...—zaczęła pani.

— Pani tak mało ceni siebie...—odparł podkomorzyc.

— Ja?... siebie?...

— Pani nie odgadujesz, albo też odgadywać nie chcesz, że towarzystwo jej dla mnie...

— Niech będzie pochwalony... — odezwał się głos z boku.

Pan Karol urwał frazesu ciąg dalszy, głowę zwrócił

http://rcin.org.pl

i ujrzał podstolica, stojącego z głową pochyloną i ze złożonemi rękami.

— Widząc, że pana Oleckiego w domu nie ma, pośpieszam bawić asana dobrodzieja...

Przez usta podkomorzycowi przewinął się uśmiech złośliwy. Odparł:

— Witam asana dobrodzieja... Asan dobrodziej zadaje sobie trud niemały...

— Cóż robić!... cóż robić!... trudzić się musi człowiek aż mu oczy piaskiem przysypią...

— Jeżeli jednak może się nie trudzić, to powinien ze sposobności korzystać...

— Nie sposób... nie sposób... Stwórca, wyganiając z raju ojca rodzaju ludzkiego, nakazał mu pracować w pocie czoła... i od czasu onego...

— To znaczy...—podchwycił pan Karol półdrwiąco—że Stwórca wskazał ojca rodzaju ludzkiego na chłopstwo.. a zatem cały rodzaj ludzki do chłopskiego należy stanu...

— Tak było...—odparł staruszek—ale tak nie pozostało na zawsze... Stwórca, spostrzegłszy się, że sami chłopi rady sobie nie dadzą, zesłał potop... zesłał potop...

— I wytopił chłopów?...—zapytała pani z żywem zajęciem.

— Co do nogi, asani dobrodziejko...

— A zatem—wtrącił pan Karol—rodzaj ludzki pozostał zawsze rodzajem chłopskim, bo Adam był chłopem a Noe od Adama pochodzi...

— Pan Najwyższy nobilitował Noego...

— A!...—zawołał podkomorzyc.

— Nobilitował i nadał mu herb... berło pomiędzy dwoma kluczami. Noe zaraz po wyjściu z korabia pieczętował się berłem pomiędzy dwoma kluczami i zwan jest, to znaczy

http://rcin.org.pl

nosi tytuł, *semen mundi, pater principum atque deorum*... Pan mu nadał herb i tytuł...

— Zkądże się wzięli chłopi?...—zapytał pan Karol.

— Od Chama...—odpowiedziała pani Olecka.

Podkomorzyc zawstydził się pytania własnego, dowodzącego niewiadomości na punkcie tak znanym. Staruszek odrzekł:

— Tak, asani dobrodziejko... tak... Chłopi od Chama... Wszelako i ich Pan bez herbu nie zostawił, tylko, że oni wstydzą się i wolą utrzymywać, że herbu nie posiadają wcale... Tak atoli nie jest, w rzeczy samej, o! nie... I chłopi klejnot posiadają... Pan im za herb nadał tarczę a na niej...

— Batóg...—podchwycił pan Karol.

— Nie... nie batóg...—odparł staruszek spokojnie.— Pan im, a właściwie praszczurowi ich, Chamowi, za herb nadał tarczę a na niej, na znak infamii i bezwstydu, z powodu, że, naigrawając się Noemu, co się soku z jagód winnej latorośli opił i zasnął, ściągnął na siebie i potomstwo swoje przeklęctwo ojcowskie, nadał mu za herb trupią głowę, na której stoi ptak, mający kształt gryfa, ze skrzydłami do góry, z ogonem w postaci S przewróconego, z rogami jak u szatana, z językiem wywalonym i zakrzywionym tak, ażeby P wyobrażał, z dziobem, z czterema nogami do dzioba podobnemi... a wszystko to na znak infamii, ogon bowiem na jednym końcu gryfa, wygięty nakształt S, znaczy „szelma“, język na drugim końcu, wygięty nakształt P, znaczy „podły“... gryf sam, ni to ptak, ni czworonożne, pomimo nóg czterech, które są ni nogami ni nosem... *Ex re* symboliki tej... chłopi wstydzą się klejnotu swego...

— I mają racyę...—wtrąciła pani.

— Próbowali oni go zmienić...—ciągnął podkomorzyc.— I tak Isim i Osirim pieczętowali się psem, wilkiem i lemie-

http://rcin.org.pl

szem... I pies i wilk i lemiesz *infames sunt*, nie w ten atoli sposób co *signum* przez samego Pana nadane... Pies oznacza służbę, poddaństwo, wilk rozbój i złodziejstwo, lemiesz pracę... Nie dopuścił atoli Pan, ażeby *abusum* to utrzymać się miało... Przywłaszczycielstwo upadło i chłopstwo, wstydząc się klejnotu własnego, wskazanem jest na bezherbowność... Takie to są wyroki, które wydaje Pan w niedościgionej mądrości swojej...

— Więc my wszyscy—podchwyciła pani Olecka—mielibyśmy prawo do herbu Noego...

— A nie, asani dobrodziejko... Jak we wszystkiem, tak i w tem, podziwiać należy mądrość bożą... Rozrodził się rodzaj ludzki, rozrodziła się szlachta, rozrodziły się więc i herby, a rozrodziły się zupełnie tak, jak się rozradzają rody szlacheckie...

— Co też to za ciekawa rzecz!...—odezwała się pani.

Podkomorzyc spojrzał na nią wzrokiem, w którem się zakłopotanie malowało.

— Ciekawa...—odrzekł podstolic.—A jaka ważna!.. A jaka pożyteczna!... A jak to w niej mądrość boża odbija się, niby w zwierciadle!... Nic tak wyraźnie o mądrości bożej nie świadczy... Bo proszę jeno asaństwa dobrodziejstwa, proszę tylko wziąść: kawkę... kawkę... ot tę naszą prostą kawkę, co lata sobie około wieży cerkiewnej... Ta kawka za pogańskich jeszcze czasów służyła do pieczętowania się wielkim familiom rzymskim i nazywała się *corvinus*... Od niej idą: Jastrzębiec i Ślepowron... Uważajcie tylko państwo... Kawka rzymska porodziła polskiego Jastrzębca i Ślepowrona... i jeden ptak z podkową i drugi ptak z podkową... Jastrzębiec zaś i Ślepowron są ojcami klejnotów następujących: Lada, Bylina, Lubicz, Ława, Niezgoda, Krzywda, Puchała, Pokora, Boża wola, Dołęga... Co to

http://rcin.org.pl

mądrość najwyższa zdziałać może!... Jedna kawka, jak się rozrodziła!... A co to rodów pieczętuje się klejnotami temi!... samym Jastrzębcem dwieście z górą, samym Ślepowronem pięćdziesiąt przeszło... Oj, oj... ani się tej mądrości nadziwić ani uwielbić jej dosyć nie sposób!...

Staruszek zaczął porządkiem wymieniać domy, pieczętujące się Jastrzębcem. Skończył Jastrzębca, wziął się do Ślepowrona, i kiedy doszedł do Miłkowskich, uciął nagle.

Przerwało mu wejście pana Oleckiego.

— Dawnoś przyjechał, Karolu kochany?...—zapytał gospodarz domu, witając gościa uprzejmie.

— Od godziny, jeżeli nie więcej...

— Jakże żałuję!... jakże mocno żałuję!... Godzina dla mnie stracona... Było po mnie posłać...—dodał, zwracając mowę do żony.

— Byłabym posłała... podstolic jednak takie zajmujące opowiadał rzeczy!...

Pan Olecki podziękował staruszkowi i rozpowiadać począł o pszenicy, którą mu na jednym z łanów wiatr wyłożył. Wizyta przeto, po której się młody pan wiele spodziewał, spełzła dla niego na niczem, co zaś gorzej, pokazała dowodnie, że Cerbery owe, z których żartował, przedstawiają przeszkody rzeczywiste, do usunięcia nie łatwe. Uderzyła go zwłaszcza jedna okoliczność, a to ta mianowicie, że pani Olęcka tak smakuje w gawędzeniu komornika i podstolica.

— To ciekawy objaw!... ciekawy i wart zbadania bliższego...—mówił sam do siebie.—Wydaje się, jakby ona przekładała ich nademnie... Wartoby rzecz tę wziąść za przedmiot studyów głębszych... ale, jak?...

Myślał, myślał i wpadł na koncept następujący. Miał we Frasoblówce pochrzestnika, małego Ludwika.

http://rcin.org.pl

— Rozkocham się w nim raptem; zacznę o nim pamiętać, i codziennie poszlę mu upominek jaki, a przy upominku, od czasu do czasu, bilecik pod adresem mamy kochanej... Bileciki ułożę w sposób taki, ażeby sentymenta szły w nich *crescendo*, aż do ekspressyi najwyższej... Potrzeba mi tylko jakiegoś Figara sprytnego do odnoszenia upominków i bilecików i adwokatowania w mojej sprawie... Figaro!...— nogą tupnął—wyskocz z pod ziemi!... Ktoby to funkcyę jego mógł najlepiej pełnić?...

Myślał, myślał.

— A!... — zawołał. — Chłopak ten w kredensie... *Il a une mine sournoise...*

Chłopak ten był to Kacperek, który podówczas drugi już rok przebywał we dworze i liczył rok życia swego piętnasty.

Pan Karol przywołał go przed oblicze swoje.

— Słuchajno... umiesz ty słuchać i milczeć a dobrze się sprawiać?...

— Zdaje się... proszę jaśnie panicza...

— Umiesz ty czytać i pisać?...

— Trochę...

— To źle... no... Cóż jednak robić!... Wiesz gdzie Frasoblówka?...

— Ta że wiem... Idzie się przez las, a potem drogą nie tą, co na prawo, lecz tą, co na lewo, aż do karczemki, a od karczemki prosto, prosto, jak ta figura, potem w prawo i wieś...

— Dobrze... Owóż, dam ci pakiecik, który ty odniesiesz do Frasoblówki do dworu i pani samej do rąk oddasz... Bądź przy tem, jak pani pakiecik ten otworzy i staraj się wybrać moment taki, w którym pana w domu nie ma... Rozumiesz?...

http://rcin.org.pl

— Rozumiem, jasny paniczu...

— Powtórzysz mi od słowa do słowa, co pani powie...

— Słucham...

— Pakiecik dostaniesz dziś wieczorem... Jutro do dnia pójdziesz i na południe bądź z powrotem...

— Słucham...

Pan Karol zasiadł do pisania. W kilku dobranych wyrazach skreślił uczucia swoje dla pochrzestnika, przepisał to na czysto, kopię schował dla regulowania korrespondencyi następnej, wybrał fatałaszkę jakąś z pomiędzy licznych brimborionów, jakie z Paryża nawiózł, zrobił paczkę, włożył bilecik do środka, obwiązał, przypieczętował i Kacperkowi wręczył.

Nazajutrz przed południem, Kacperek zdawał paniczowi sprawę.

— Oddałeś pani samej do rąk własnych...

— Samej pani do rąk własnych...

— Był kto przy tem?...

— Nie było nikogo... Obszedłem dwór do koła, zaszedłem do stajni, rozpytałem się kiedy pan w pole wyjeżdża, i jak wyjechał, wypatrzyłem moment wyjścia pani do ogrodu, przeskoczyłem przez płot i pakiecik oddałem.

— Wybornie... Widzę, że z ciebie będzie człowiek... Cóż dalej?...

— Pani, jak zobaczyła mnie, od pierwszego powiedziała: z „Ohrebyszcz“...

— Cóż dalej?...

— A ja jej pakiecik w ręce i mówię: Jasny panicz kłania się... A ona: „Cóż to mój kochany“?... A ja: To jasny panicz przysyła dla pani... A ona pakiecik rozwinęła i aż skrzyknęła... Potem pismo czytała... Potem powiedziała: „Podziękujże, kochanku, panu podkomorzycowi ser-

http://rcin.org.pl

decznie... powiedz mu, że Ludwiś dziękuje ojcu swemu chrzestnemu"...

— Cóż dalej?...

— Dalej tak było: kazała mi pani iść ze sobą do pokoju, ażebym widział i paniczowi rozpowiedział, jak się Ludwiś ucieszy kogucikiem, co w pakieciku był zawinięty... Otóż ja i poszedłem do pokoju i widziałem... dziecko aż zatrzepotało z uciechy wielkiej... Potem pani jeszcze raz kazała mi, ażebym paniczowi dziękował... No i... wszystko...

— A jak pismo moje czytała, to co?...

— Nic, proszę jasnego panicza... Czytała i tyle...

— Nie patrzałeś jej na twarz?...

— Patrzałem, proszę jaśnie panicza...

— Była gniewna?...

— Ale gdzież tam!... Była cała radośna...

Pan Karol pochwalił chłopca, dał mu złotówek parę i kazał być nazajutrz znów gotowym do wycieczki. Wręczył mu pakiecik bez biletu, zalecając ustnie pozdrowić panią i powiedzieć jej, że się panicz sam do Frasoblówki wybiera.

Sprawozdanie drugie podobnem było wielce do pierwszego i dla tego pominiemy je milczeniem.

Na trzeci dzień Kacperek znów nosił pakiecik i bilet— bilet, w którem znajdowało się lekkie o cierpieniach serca napomknięcie.

— A jeżeliby cię zapytała, czemu nie przyjeżdżam, powiedz, że się wybieram ustawicznie, że co moment każę konie zaprzęgać i wyprzęgać... Jeżeliby cię zapytała, co porabiam, albo też, jak się mam, powiedz, żem smutny, bardzo smutny... że mnie tak smutnego nigdy jeszcze nie widziano...

http://rcin.org.pl

Instrukcye podkomorzyca wykonane zostały literalnie. Pani Olecka dowiedziała się o smutku jego i przysłała mu męża na pocieszanie.

To ostatnie rozgniewało pana Karola. Powziął był już zamiar zaniechać starań bezowocnych, miłość własna jednak wzbroniła mu tego. Posyłał Kacperka dzień po dniu, raz bez bilecika, drugi raz z bilecikiem, a w bilecikach o cierpieniach serca wyrażał się coraz to dosadniej. Kacperek sprawiał się dobrze. Sprawozdania jego cechowała wierność i dokładność. Ze sprawozdań tych jednak wyciągał pan Karol wniosek jeden ogólny, który do rozpaczy go niemal przyprowadzał. Przekonywał się, że go pani Olecka nie rozumie.

— Chyba jej napiszę wyraźnie!...

Wahał się, myślał, siadł i napisał.

Co napisał—nie wiemy. Dokument ten przepadł dla potomności. Szkoda. Gdybyśmy go posiadali, mielibyśmy świadectwo uczuć kłamanych. Podkomorzyc bowiem z próżniactwa jeno prowadził intrygę miłosną, za ofiarę w której wybrał sobie obywatelkę przyzwoitą. Pani Olecka, ofiara wybrana, atakowaną była wedle wszelkich reguł sztuki, stanowiącej naukę oddzielną, nie wchodzącą wprawdzie do całokształtu naukowego, uszykowanego przez Comta i Spencera, wchodzącą atoli do tej kategoryi, w której szykują się przejawy z ducha płynące. Pan Karol bił w stronę duchową, w której miłość króluje. Szczęściem dla pani Oleckiej, miłość—jak to powiedzieliśmy wyżej (v. tom I)—manifestowała się w niej w sposób bardzo poziomy. Była to kobiecina pospolita, wcale nie romansowa, nie uczuwająca potrzeby uniesień miłosnych i nie pojmująca uroku tej drogi cierniowej, na której uczucia i obowiązki, znajdując się ze sobą w wiecznej walce i raniąc serce w chwili każdej i na kroku

http://rcin.org.pl

każdym, zmieniają kobietę w anioła, miłego wielce romansopisarzom różnego rodzaju i donżuanom wszelakiego kalibru.

Pan Karol, wręczając Kacperkowi bilecik ostatni, udzielił mu instrukcyj szczegółowych, w przewidywaniu wszystkiego, coby się zdarzyć mogło. Nie przewidywał tylko jednej ewentualności. Nie udzielił mu instrukcyj żadnych na wypadek, gdyby poselstwo ściągnęło na niego plagi. Zdarzają się rzeczy niepodobniejsze, więc i to zdarzyć się mogło. Ominął go jednak ten wypadek. Jak poszedł, tak powrócił i stanął do sprawozdania z poselstwa przed paniczem... z własnym jego listem w ręku.

Pan Karol list mu wyrwał i rumieńcem spłonął.

Zgrzytnął zębami i powiedział: *sacré matin*!

Po chwili zapytał:

— Cóż tedy?...

— A że nic, proszę jaśnie panicza... Pani, gdy list odczytała, jak się wzięła śmiać i śmiać!... to... dalibóg że!... nie wiem...

— I nic nie mówiła?...

— A jakże!... Gdy się wyśmiała, list mi oddała i powiedziała: „Oddajże, kochanku, list ten panu podkomorzycowi i kłaniaj się mu odemnie“...

— Cóż ty na to?...

— Ja na to... Wziąłem list i powiedziałem to, co mi jaśnie panicz kazali... Powiedziałem jej, że jaśnie panicz nie je, po nocach nie sypia, ciągle coś sam do siebie gada i pistolety opatruje...

— Cóż ona na to?...

— Ona na to: „Czemuż nie przyjedzie do Frasoblówki?... zabawiłby się z moim mężem, z podstolicem, z komornikiem“...

http://rcin.org.pl

— *Cré nom de nom*!...—odburknął podkomorzyc.—Nie potrzebuję już usług twoich...

W ten sposób zakończył się romans, który w sensie ofiarnym, nie pochłonął pani Oleckiej, pochłonął jednak: pana Gustawa, dużo czasu i kilka czy podobno nawet kilkanaście tysięcy rubli wydanych, na imitacyę perszeronów, na hulatykę bałtską, na bassarunki karciane i straconych na zakontraktowanie sprzedaży zboża na pniu.

Zakończenie romansu w samą wypadło porę. Tego samego dnia, w którym ono nastąpiło, podkomorstwo powrócili z Częstochowy. Przybycie ich sprawiło przewrót zupełny w sposobie życia, jaki się praktykował przez czas kilkotygodniowej ich nieobecności. We dworze ohrebyskim zrobiło się naraz ludno i gwarnie. Pan i pani, po plenarnem oczyszczeniu z grzechów i po prywacyach podróży, zdawało się, jakby chcieli odreperować się w grzechach postradanych i w odpoczynku pańskim. Podkomorzy Błądzikiewiczowi, który z zakłopotaną miną stanął przed nim w celu zdawania rachunku ze stanu interesów, wręcz oświadczył:

— Dajże mi teraz czysty pokój!... niech wytchnę nieco...

Za to naradzał się z Lewickim.

Podkomorzyna oddała się spoczywaniu także i dla rozrywki umysłowej, kazała z walizy podróżnej wydobyć i do łóżka sobie podać, w ciągu pielgrzymki nabyty wybór romansów najnowszych, pomiędzy któremi Balzac i G. Sand reprezentowanemi byli najliczniej. Prawda, że wraz z niemi kazała sobie podać i książkę do nabożeństwa.

Powitanie rodziców z synem bardzo było serdeczne. Pan Karol kręcił się około ojca i matki i powtarzał ustawicznie:

http://rcin.org.pl

— *Enfin... enfin...*

Oznaczało to: „nareszcie przybyliście“...

Zapytywał o osistrę i szwgara.

— Księztwo!... o!...—była odpowiedź podkomorzyny. Gdzie oni w tej chwili!... Mieli wracać, wedle projektu pierwotnego, na Kraków i Lwów, lecz księżnej przyszło na myśl, obrócić drogę... Zgadnij którędy?...

— Na Drezno...

— *Vous n'y etes pas...*

— Na Berlin...

— *Vous n'y etes pas...*

— Na Wiedeń...

— *Vous n'y etes pas...*

— Nie zgadnie...—odezwał się podkomorzy.

— Na Paryż!...—podchwyciła pani.—Na Paryż!... Prawda, anibyś się domyślił!... O! bo też, siostra twoja, księżna, niewyczerpaną jest w pomysłach... *Charmante*!... Miała w podróży zdarzeń kilka, o których ci później opowiem... Ściąga na siebie uwagę, gdzie się tylko obróci... Dobrze więc, że się w Paryżu pokaże...

— Cóż książe?...—zapytał pan Karol.

— Książe!... *ne m'en parlez pas...* Wyobraź sobie: płacze *à tout propos...* Z tem wszystkiem jednak, nieoceniony to człowiek... Winszuję sobie i winszować nie przestanę... Zrobiła Ludka ofiarę, ale... ofiary takiej życzyłabym sobie, gdybym na jej miejscu była... Przyszło jej na myśl: do Paryża!... i książe zapłakał, ale się nie sprzeciwiał...

Podkomorzy się skrzywił a podkomorzyc, pomyślawszy przez chwilkę, zawołał:

— O! trzebaż i mnie teraz lecieć do Paryża na skrzydłach sokoła!...

— I ja to samo mówię...

http://rcin.org.pl

Podkomorzy skrzywił się mocniej jeszcze i odchrząknął.

— Ale, ale!...—podchwyciła podkomorzyna.—Słyszeliśmy o twoich *exploits*... Opowiadano nam o tem w Berdyczowie... Och! o mało nie umarłam... O! mójże ty Lolo!... mój synu!...

Rozrzewniona matka wzięła pana Karola w objęcia.

Rozrzewnił się i podkomorzy i także syna uściskał.

— I proszę!...—zaczęła podkomorzyna.—Niechże kto powie, że kara boża nie ściga człowieka na tym jeszcze świecie!... Ten Gustaw, proszę ciebie, co przyjmowany przez nas w domu, taką czarną odpłacił nam niewdzięcznością, zginął z ręki brata rodzonego tej, co niewdzięczności przedmiotem była...

— Może nie zginął...—wtrącił podkomorzy.

— Umarł od rany... mówiono nam to z pewnością całą..

Rozmowa, w dniu powrotu podkomorstwa, toczyła się od niechcenia, w przelotnych frazesach, w dorywczych wynurzeniach, w wykrzyknikach. Pielgrzymi nasi śpieszyli się do spoczynku. Nazajutrz dopiero, pani, w łóżku jeszcze leżąc, zapytała o syna, czy wstał i posłała go prosić do siebie.

— Dzień dobry mamie kochanej... Spodziewam się...— zaczął pan Karol, przedrzeźniając książąt Gamajdów.

— Nie żartuj z nich...—odparła podkomorzyna.

— Wyobrażam sobie księcia Godfryda w Paryżu... Cha cha!...

— Dla tego też potrzeba, żebyś jechał jak najprędzej...

— O potrzeba!... z wielu względów...

— Z jakich, naprzykład?...—zapytała podkomorzyna z akcentem żywego zajęcia.

— *Je suis éreinté, maman*!... To nie gąska, jak mama powiadała... To gęś... gęś... przez wielkie G...

http://rcin.org.pl

— A nie mówiłam tobie!... I nic?...

— Nic... Przyczyniła się tylko pośrednio do tego, żem Gustawa na tamten wyprawił świat...

— Biedny Gustaw...—westchnęła pani.—Cóż jednak!... kara boża... Co on mi zmartwienia sprawił!... Wyspowiadałże się przed śmiercią przynajmniej?...

— Nie wiem... Wiem tylko, żem mu kulę wsadził zdaje się, w bok, pomiędzy żebra, i to dopiero za trzecim razem, kiedym go wziął na cel w pas... Dwa pierwsze razy brałem w łeb, chciałem mu czaszkę przedziurawić, ale miałem jakieś haniebne olstrowe pistolety... Kiedym go trzepnął, to mi go z oczu zabrano i nie interesowało mnie wcale, co się z nim stało...

— Nie mów już o tem, bo jak pomyślę, że ciebie wypadek mógł spotkać, to się czuję blizką omdlenia...

— On mnie godził w łeb...

— Wyraźna ręka opatrzności!... Mój Lolo!...—podchwyciła, wpatrując się w syna.—Zmieniłeś się od czasu, jak ciebie nie widziałam i muszę ci, bez intencyi podchlebiania, powiedzieć, żeś zmężniał i wypiękniał...

— Pod wpływem pięknych oczów pani Oleckiej...

— Być może... Staranie podobania się jej oddziaływało na ciebie, wewnętrznie i zewnętrznie... To motor potężny... Widać to na tobie... I dla tego już tylko samego, jako matka, winną jestem wdzięczność pani Oleckiej...

— Ależ gęś!... ależ gęś!... mamo kochana... Żeby podobnemi do niej miały być kobiety wszystkie, to... rozpacz!...

— Cóżeś porabiał przez ten czas?...

— Cóż!... *En premier lieu*, prowadziłem intrygę romansową, którą doprowadziłem do *fiasco* i to wczora właśnie... Następnie, jeździłem do Bałty na jarmark, gdzie, *soit dit en passant*, ubawiłem się nadspodzianie, robiłem pa-

http://rcin.org.pl

pie interesa, zaprowadzałem meliorac̨ye w gospodarstwie...

— Papa będzie kontent...

— Spodziewam się!... jak książęta Gamajdowie powiadają... A jeżeliby nie był kontent, tem gorzej dla papy...

W kilka dni później warto było zajrzeć w duszę podkomorzego—co też się tam działo! Ani myślał jeszcze rozpatrywać się w gospodarstwie i interesach, kiedy mu wypadkowym sposobem wpadły w oczy konie jakieś.

— Co to za konie?...—zapytał pierwszego lepszego ze służących, którego spotkał.

— Nie wiem, proszę jaśnie pana...

— Wołać Błądzikiewicza!...

Błądzikiewicz, z fizyognomią, na której widać było, że głęboko i często wzdychał, stanął przed panem.

— Co to za konie?...—było zapytanie, zastępujące miejsce powitania.

— Nie wiem, proszę jaśnie pana... Te konie... tego... e... pan Karol...

— Co pan Karol?... Szukasz asan jakicheś wykrętów i chcesz się panem Karolem zasłonić...

— Kiedyż bo, przysięgam Bogu!... bodajby mnie jasny piorun zabił!... jeżeli co o koniach tych wiedziałem... Przypędzono je z Bałty i tyle...

— Na co?... do czego?...

— Albo ja wiem!... Pan Karol powiadał mi, że to dla jakiegoś meloracia...

— Dla kogo?...

— A Bógże jego święty wiedzieć raczy!... Ja w Bałcie nie był i nie wiedziałem nawet, że pan Karol tam jedzie...

— Ileż tego jest?...

— Sztuk czterdzieści i sześć, proszę jaśnie pana...

http://rcin.org.pl

— Potrzebaby to wysprzedać po jarmarkach poblizkich...—rzekł podkomorzy ochłonąwszy nieco.

— Słucham, jaśnie pana... Tylko—odparł komissarz za uchem się drapiąc—tylko... ja nie wiem... co za to dostanie?...

— Zawszeż sprzedać można...

— Zapewne, ale, na ten tabun cały, nie ma konia ani jednego, coby kaleką nie był...

— Co ty powiadasz!...—krzyknął podkomorzy.—Karol chyba wziął w podrad oczyszczenie kraju z okaleczałych koni!... Nie wiesz, po czemu płacił?...

— Właśnie wiem, pan Karol bowiem powiedzieć mi raczył... W tym tabunie nie masz konia, tańszego od rubli stu pięćdziesięciu...

— Jezus Marya!...—krzyknął podkomorzy.

— A są i po dwieście, nie warte piętnastu...—dokończył komissarz.

— Zkądże pan Karol pieniądze na to wziął?...

— Od Borucha... zadatek...

— Zadatek na co?...

— Na mocy kontraktu sprzedaży pszenicy...

— Jakiej?...

— Tej, jaśnie panie, co się teraz właśnie żnie...

Podkomorzy się za głowę obiema schwycił dłoniami i głęboko westchnął.

— Idź asan precz...—skinął na komissarza.

Gdy się ten oddalił, rozmyślać i obliczać począł, nizając na nić pamięci kwoty różne znaczniejsze, wydane w czasach ostatnich na rzeczy różne. Zebrała się tego summa ogólna cale poważna, do której przybywał wydatek jarmarczny bałtski. Podkomorzy znów westchnął i zawołał:

— A tu jeszcze Karol do Paryża się wybiera!... Nie!...

http://rcin.org.pl

Jak na toż, w tejże samej chwili, weszła podkomorzyna i zapytała:

— Nie?... O cóż tu chodzi?... Myślałam, że kto u ciebie jest, słyszałam bowiem głośną rozmowę... Nie wiedziałam, że miewasz zwyczaj rozmawiania sam ze sobą...

Podkomorzy się zmięszał, ba, nawet zląkł. Szukał w głowie frazesu i nie znalazł. Podkomorzyna więc głos zabrała:

— Lolo gotów...—rzekła krótko.

— Gotów?...—odparł podkomorzy głosem ponurym.— Czy nie możnaby?...—bąkać począł.—Czyby nie można?.. hm... podróży tej... odłożyć?...

Chciał powiedzieć: zaniechać.

— Co tobie?...—zawołała pokomorzyna.—I dla czego?... czy dla tego. że ja jej sobie życzę?... Czyż nie wiesz, że księżna pojechała?... Cóż to, chcesz ją narazić na decepcyj tysiące, któreby ją spotkać musiały niezawodnie, gdyby z księciem Godfrydem sam na sam w Paryżu pozostała!... Marcinie!...

Wyraz ostatni wymówiony był z przyciskiem, w którym brzmiało: opamiętaj się!...

— Ja...—słowa podkomorzego.—Ja chciałem tylko odłożenia krótkiego...

— Dla czego?...

— Dla tego, żeby... dni kilka dłużej Karolem się nacieszyć...

— A księżnaż?... pomyśl... Księżna sama, z księciem Godfrydem?...—odparła podkomorzyna.—Ludka za mąż wyszedłszy, nie przestała być dzieckiem naszem przecie...

— Kiedyż Karol jedzie?...

— Jutro... pojutrze najdalej... Gotów już zupełnie...

Po odejściu podkomorzyny, podkomorzy,. przez czas

http://rcin.org.pl

jakiś, pozostawał w stanie niemego osłupienia. Siedział nieruchomie, oczy szeroko otworzył, ręce na brzuchu splótł i od czasu do czasu wzdychał. Wyszedłszy ze stanu tego, krzyknął na Lewickiego i kazał mu posłać kogo do Krasiłowiec po... Borucha.

A więc, gadaniny o zgryzotach, które jakoby zgon podkomorzemu przyśpieszyły, nie bez podstawy. A toż to dopiero początek!

http://rcin.org.pl

VIII.

Wykrzyknik ten wydaliśmy na końcu rozdziału poprzedniego, mierząc myślą ową bezdnią, jaka się dla podkomorzego otworzyła. Gdybyśmy byli złośliwi, moglibyśmy powiedzieć: Dobrze mu tak!... „jak kto sobie pościele, tak się wyśpi“. Podkomorzy—obywatel, małżonek, ojciec, pan, głowa rodziny, gospodarz wreszcie—powinien był obmyśleć i przewidzieć wszystko, zaczynając czynność obmyśliwania i przewidywania w chwili owej, kiedy obywatelem, małżonkiem, ojcem, etc. został. Czyż był on jednak, w rzeczy samej, winien? Czy ojciec jego, pan starosta, względem niego obmyśliwał i przewidywał? Czy obmyśliwał i przewidywał dziad jego a starosty ojciec względem starosty? Jeden po drugim, syn po ojcu, wsuwali dzieci w foremki gotowe, wychowaniem zwane, i puszczali je następnie z ojcowskiem na drogę błogosławieństwem. Tak się wychował podkomorzy; tak się wychowała podkomorzyna. Ta ostatnia, silniejsza od małżonka umysłem, przewagę wzięła i foremki dla dzieci wedle własnego wybrała upodobania. Stało się to w sposób naturalny i logiczny. Podkomorzyna, hołdownica mody a niewolnica próżności, nie mogła zrobić inaczej. I ona więc nie była winna.

A przecie, był ktoś winien.

Ktoś czy coś?—Ach! i jedno i drugie, ale o tem szero-

http://rcin.org.pl

koby pisać potrzeba, nam zaś, chorującym z natury naszej narodowej na pismowstręt, śpieszno do wypadków, wysnuwających się naturalnie z założeń wychowawczych.

Pan Karol i księżna znaleźli się w Paryżu, w hotelu du Louvre.

Księztwo zajmowali apartament wspaniały na beletażu, złożony z salonów, gabinetów, buduarów, pokojów sypialnych, umeblowanych z tym przepychem, jakiego wzór Paryż światu daje. Pan Karol, na temże piętrze, zajął apartament, ustępujący tamtemu w tem jeno, że nie posiadał salonów, gabinetów i sypialnych pokojów po parze i dla tego uchodził za kawalerski. Księżna przywiozła ze sobą swoją Weronikę, księciu towarzyszył jeden z lokai krasiłowieckich, oprócz tego, dla zadośćuczynienia wymogom zwyczajów miejscowych, o których ludzie pochodzenia podolskiego wyobrażenia nie mieli, usługi swoje poświęcali im paryzcy *valet de pied* i *femme de chambre*, nie licząc w to służby hotelowej, licznej a doskonałej.

Pan Karol, zainstalowawszy się, posłał zapytać, czy księżna u siebie i czy przyjmuje.

— U siebie i przyjmuje...—przyniesiono mu odpowiedź.

Ubrał się więc i udał się do niej.

Młoda kobieta, w rozradowaniu wielkiem, na spotkanie brata na środek salonu wybiegła, i nie zarzuciła mu, zwyczajem podolskim, ramion na szyję, lecz, zwyczajem zachodnim, nastawiła mu do pocałowania policzek, który on ustami zlekka musnął. Od dni kilku zaledwie w Paryżu bawiła, a już się tego nauczyła. Przejęła już zwyczaj, który jest dobrym—ściskać się bowiem, cóż to za grubiaństwo, Za to w wylewie uczuć za pomocą słów okazała się serdeczną.

— Ach!... o!...—zawołała z obliczem rozpromienionem—

http://rcin.org.pl

Lolo!... drogi Lolo!... jedyny Lolo!... jakże się cieszę!... Wyglądałam przybycia twego z upragnieniem, z niecierpliwością, z utęschnieniem...

— Spodziewam się...—podchwycił pan Karol głosem nastrojonym.

Księżna wachlarzem, który w ręku trzymała, usta mu zasłoniła.

— Nie żartuj z bliźnich twoich... a przynajmniej nie od żartowania z nich rozpoczynaj pobyt twój w Paryżu wraz ze mną... Siadajmy...

Usiedli obok stoliczka osłoniętego bogatą oponą.

Pan Karol powiódł po salonie okiem i odezwał się:

— Zdaje się, że jesteście nie źle zainstalowani...

— Zdaje się... Jestem jednak w tym względzie nowicyuszką taką, że boję się chwalić, ganić, interesować się czemeś, być obojętną, słowem, mój Lolo, jestem jak w lesie i drżałam na myśl samą, że możesz nie przyjeżdżać, nie przyjeżdżać i nie przyjeżdżać, Bóg wie jeszcze jak długo...

— Miałem minę, co mnie z Ohrebyszcz wysadziła...

— Pojedynek!...—podchwyciła młoda kobieta, tonem zdradzającym lekkie, ale bardzo lekkie wzruszenie.

— Wiesz o tem?...

— Mama opisała mi to *tout au long*... Zastałam od niej list z Berdyczowa...

— O! nie pojedynek z Ohrebyszcz mnie wysadził... ale... jakby tu powiedzieć?... malutki *depit amoureux*... Chciałem zbałamucić panią Olecką i zrobiłem *un pas de clerc*...

Poczciwą panią Olecką?...—zawołała księżna tonem zdziwienia.

— Z nudów, moja droga... Cóż chcesz!... Z nudów

http://rcin.org.pl

i ty przecie rozkochałaś się była w Gustawie... przechadzającym się obecnie po polach elizejskich.

Młodej kobiecie pierś się podniosła, wnet jednak opadła. Widocznie, na westchnienie się jej zebrało, lecz się zawstydziła i westchnienie w sobie stłumiła. Westchnęłaby była może w Ohrebyszczach, w Krasiłowcach zresztą; ale nie w Paryżu. Tu ważniejsze miała na głowie rzeczy.

— Niewysłowienie więc wdzięczną jestem poczciwej i kochanej sąsiadce, że mi ciebie wystraszyła...

— Byliście już gdzie?...

— Gdzie?... z księciem?...

— Czemuby nie!... Zapominasz o tem, że książe jest księciem i mężem, i dla tego tytułu podwójnego wolno, a nawet należy mu być *bête gauche et désolant*...

— To prawda...—odparła młoda małżonka.—Wolałam jednak nie ryzykować się przed przyjazdem twoim...

— Nic się złego nie stało... a nawet—rzekł po krótkim namyśle—stało się dobrze... Poprzedzimy się rakietą...

Księżna nie zrozumiała znaczenia w przenośni tej zawartego.

— Zobaczysz...—odparł pan Karol.—Będzie to nawskróś po paryzku...

Pożegnał siostrę, odwiedził szwagra i już się dnia tego nie widział z niemi. Księztwo sami byli wieczorem w teatrze. Nazajutrz podkomorzyc oddał księżnej wizytę powtórną około piątej wieczorem i przyniósł jej numer dziennika, w którym uwagę jej zwrócił na ustęp jeden, drukowany w rubryce zwanej *entrefilet*. Księżna przebiegła ustęp ten oczami i krzyknęła:

— Ach!...

— Wiesz już tedy, co to rakieta?...

— Zkądże to?...

http://rcin.org.pl

— A!... Szukajcie a znajdziecie, pukajcie a będzie wam otworzono... Rzeczy podobne zaostrzają ciekawość publiczną i stawiają cię od razu *en relief*...

Był to w dzienniku ustęp króciutki, osnowę którego w dosłownem podajemy tłumaczeniu:

„Pomiędzy innemi znakomitościami—pisał rzeczony dziennik, wymieniając kilku lordów angielskich, kilku bojarów mołdo-wołoskich, jednego granda hiszpańskiego i jednego nababa indyjskiego—miasto nasze ma rzadkie szczęście (*cette rare bonne fortune*) posiadania w murach swoich pięknej, młodej, zajmującej i, co jej bynajmniej nie szkodzi, nadzwyczajnie bogatej księżny polskiej, Ludwiki Gamajda, przybyłej w towarzystwie męża, księcia Godfryda, i brata, młodego hrabiego Karola de Kostrzewicki. Jest nadzieja, że grono to ze wszech miar dystyngowane przyozdobi fety, jakie w zbliżającym się wielkiemi krokami sezonie wyda dwór i domy pierwszorzędne. Zapowiadamy nową gwiazdę i na tem kończymy obowiązek nasz dziennikarski. Astronomowie salonowi, do dzieła!“

Z wyrazem niewysłowionej lubości w oczach, spojrzała księżna w oczy bratu.

— Widzisz... to nie zaszkodzi, jako przedwstęp...— odezwał się tenże.

— Trzebaby to posłać papie i mamie...

— I księciu Norbertowi...

— I ojcu Korskiemu...

— I pani Oleckiej...

— I pułkownikowi...

— Słowem—podchwycił młody własnej kreacyi hrabia — wszystkim krewnym, przyjaciołom i znajomym... Myślałem już o tem i zamówiłem dwieście pięćdziesiąt egzemplarzy dziennika, który w dwiestu pięćdziesięciu ko-

http://rcin.org.pl

pertach rekomendowanych oddam na pocztę i sprawię nim na Podolu potop...

— Przyznać ci należy wynalazczość umysłu...

— Ah ba!...—odparł młody człowiek.—Doświadczenie mości księżno... doświadczenie...

— Ciekawam, co na to powie papa...

— Rozpłynie się z rozrzewnienia, co zaś ważniejsza, domyśli się, że utrzymanie w świecie stanowiska poważnego wymaga nakładu i *il ne se faira pas tirer l'oreille*... Notatka ta jest strzałem z dubeltówki: z jednej lufy do świata paryzkiego, z drugiej do serca ojcowskiego... Nie prawdaż, mości księżno, że to dowcipnie?...

Księżna uznała prawdę słów braterskich.

— Terazże pozostaje nam... lansować się w świat... Należy wizyty pooddawać, zaczynając od domów najpoważniejszych, nic bowiem nie jest wygodniejszym parawanem jak powaga... Trzeba zacząć od swoich... Zabierzesz ze sobą księcia i zaraz od jutra rozpoczniesz objazd...

— Mamy listów kilka polecających... — wtrąciła księżna.

— To dobrze... Listy nie zaszkodzą, pomimo, że nie masz drzwi, któreby się nie otworzyły przed księciem Gamajdą... Po swoich, Francuzi, a następnie audyencya...

— A ty?..,—podchwyciła księżna.

— Ja swoim dworem, pojmujesz bowiem, że nie wypada taborem całym ludzi najeżdżać... Rzeczy podobne u nas jeno uchodzą... Ja sobie drogę przetoruję... dość ażeby wiedziano, że „młoda, piękna, zajmująca i nadzwyczajnie bogata księżna“ ma brata, młodego hrabiego *de*...

— Mam więc sama, z księciem!...

— Hm!... dziecko z ciebie... Zobaczysz, jak zaintere-

http://rcin.org.pl

sujesz wielki świat, gdy takie straszydło obok siebie pokażesz!...

Pan Karol nie omylił się w tym względzie. Od pierwszego na salony paryzkie stąpienia, nasza księżna osiągnęła powodzenie ogromne. Wydała się piękniejszą, jak była w samej istocie, odbijając od potwornej postawy małżonka, który się dał wszędzie prowadzić, jak na ścięcie. Znajdowano w niej wdzięk i urok niewysłowiony i przytem zapach świeży kwiata polnego. Znalazła protektorki i protektorów w osobistościach ogromnie poważnych i wysokie stanowiska zajmujących. Świat arystokratyczny, świat urzędowy, świat finansowy i świat dyplomatyczny otworzył im ramiona swoje szeroko. Księżna instynktem kobiety... „dobrze wychowanej“... wiedziona, umiała się pokazać i zastosować. Książe potniał, płakał, pełnił jednak funkcyę swoją wybornie i jego „*j'espère*“, przetłumaczone z polskiego „spodziewam się“, bardzo dobrze figurowało na salonach, posiadających formularz rozmów, powtarzających się bez końca i miary i dla tego niewyczerpujących się nigdy. Rozmowy salonowe przyrównać się dadzą do fontanny, tryskającej w bassenie ogródkowym. Woda co tryska, spada napowrót do bassenu i służy do zasycania fontanny. Jest to sztuczka mechaniczna, oparta na własności wody. I rozmowa salonowa jest także sztuczką mechaniczną, opartą na własności pamięciowej. Ludzie, niby papugi, powtarzają i powtarzają frazesy wyuczone—resztę zaś dopełnia pozowanie. Do tego wchodzi artyzm. To sztuka. Pozować potrafi nie każdy i nie każda, ze względu na to, że do pozowania potrzeba gustu niemało i pieniędzy mnóstwo.

Bywają salony!...

Bywały salony i w Paryżu, ale czasy owe minęły, bodaj czy nie bezpowrotnie. Gdy mieszczaństwu do rąk to-

http://rcin.org.pl

warzyskie dostało się berło a małpowanie arystokracyi stało się cechą dobrego tonu, nastała próżnia, jak wewnątrz dzwona, wydającego dźwięki przy pomocy mechanizmu, popychającego mu serce raz w jedną znów w drugą stronę. Salony przestały być, czem bywały niekiedy, gdy w nich samoistność panowała, a zmieniły się w miejsca popisów pozowych, w sale wystawy towaru, występującego pod postacią płci białej i płci niebiałej.

Na takie to salony los wprowadził naszę księżnę. Wystąpiła ona zrazu z mężem, a następnie, męża zostawiła w hotelu du Louvre i puściła się sama. Doznała powodzenia wielkiego, do którego, jak się z charakterystyki salonów pokazuje, nie potrzebowała ani rozumu wielkiego, ani dowcipu nadzwyczajnego. Zapas jednego i drugiego, jaki zrobiła przy pomocy pana de Lourcy, panny de Maintenon i matki, wystarczał jej aż nadto. Umiała odpowiadać właściwie, niekiedy dowcipnie, zapytywać naiwnie i uśmiechać się rozkosznie, przejęła i przyswoiła sobie miny, będące w modzie i powierzyła się najlepszemu krawcowi, najlepszej modniarce i najpierwszej szwaczce, przyjąwszy za regułę, nie żałować na stroje. W warunkach takich, niepowodzenie było niepodobieństwem. Hotele na przedmieściu St. Germain, hotele ministeryalne, hotele poselstw zagranicznych, zamek tuileryjski brzmiały pochwałami księżny polskiej. Nikt z tych, którym ona wizyty oddawała, nie zapomniał o rewizytowaniu jej.

Nadeszła jesień.

Książe Godfryd wspomniał o powrocie do Krasiłowiec.

Wspomniał o tem żonie w obecności szwagra i nie otrzymał na powiedzenie swoje, które wyrazem „spodziewam się“ przyozdobił, ani odpowiedzi ani uwagi najmniejszej. Wyrazy jego zabrzmiały w salonie, niby wołanie

w puszczy. Książe się odpowiedzi nie domagał i tak to przeminęło.

Nadeszła zima a z nią reuniony, bale, fety. Księżna zabrylowała.

Obok niej wysunął się na widownię młody hrabia de Kostrzewicki. Francuzi kaleczyli straszliwie nazwisko jego, wymawiając takowe, lecz pokochali go bardzo, znalazłszy w nim prawdziwego *fils de famille*. Pan Karol najął sobie w okolicy Pól Elizejskich hotelik, mały ale gustowny. Dla kawalera nie potrzeba większego. Pokojów dwadzieścia cztery, nie licząc pomieszczenia dla służby, kuchen, etc., stajni i wozowni. Dla stajni to właśnie i wozowni wyprowadził się z hotelu du Louvre, musiał bowiem, chcąc jako tako w świecie figurować, posiadać własne pojazdy, własne powozowe i wierzchowe konie i własnych służących. Posiadał to wszystko lada kto. Miałże on odmawiać sobie— nie już przyjemności, ale tego, co się przedstawiało, jako warunek konieczny życia w sferze, w której i dla której się urodził! Byłoby to:

— *Cochonnerie*...—jak powiadał.

— A czytajno...—rzekł razu pewnego do siostry, list jej podając—co papa pisze...

Podkomorzy pisał:

„Karolu kochany, synu mój drogi, uznaję powody, dla których ci pieniądze w ilości takiej wielkiej są potrzebne, ale nie zapominaj o tem, że się grobla stawia wedle stawu, nie zaś staw wedle grobli. Majątek mój, a raczej twój, ja go bowiem ze sobą do grobu nie zabiorę, nie wytrzyma wydatków takich. Zapożyczam się już. Ja dotychczas, Bogu dzięki, długu grosza nie miałem. A ty wiesz przecie, co to jest dług, wiesz, że jest to braniem z kapitału i umniejszaniem dochodów. Jeżeli tak dalej pójdzie, to wy-

http://rcin.org.pl

bierzemy z kapitałów do denka, to znaczy, odłużymy majątek całkowicie i będziemy pracowali na żydów, co gotówki dostarczają. Karolu mój drogi, pocierpam na tę myśl. Zwracam na to uwagę twoją. Zlituj się nademną! zlituj się nad sobą samym!“

Księżna przebiegła list oczami przelotnie.

— Cóż ty na to?...—zapytał pan Karol.

— Nie rozumiem nic a nic...

— Ja zaś domyślam się tylko... Wyraz „zlituj się“, dwukrotnie powtórzony, znaczy: Wracaj do Ohrebyszcz!...

— A!...—zawołała młoda kobieta z oburzeniem.—Nie, to być nie może!...

— Chciałbym się mylić, opieram jednak domysł mój na podstawie pewnej... na znajomości serca ludzkiego...

— Wszakże...—odezwała się księżna po chwili—gdy karnawał i mały karnawał minie, gdy sezon balów a nawet teatrów się skończy, trzeba będzie o powrocie pomyśleć...

— Bynajmniej!...

— Cóż będziemy w Paryżu robili?...

— Opuścimy Paryż dla wód, dla podróży... Zabierzesz księcia i pojedziesz, czy to gdzieś nad morze, czy też nie nad morze, do Włoch naprzykład, albo do Szwajcaryi, ale, na Boga! nie do Krasiłowiec... Krasiłowce... cha, cha, cha!... albo Ohrebyszcze... Pyta cię, dajmy na to, przyjaciel mój, książe Benedykt de la Tromperie, który szaleje za tobą: „Gdzie pani sezon spędziła?...“ A ty mu na to: „Trochę w Krasiłowcach, trochę w Ohrebyszczach...“ Cha, cha, cha!...

Księżna uczuła wstyd w obec brata rodzonego. Odparła:

— Bo to ja jeszcze tak mam mało doświadczenia...

— Jedź do Ostendy, w najgorszym razie, a lepiej do

http://rcin.org.pl

Nicei, a jeszcze lepiej do Florencyi, do Neapolu... Zabaw czas jakiś w Sorrento... gdzie zechcesz zresztą, chociażby w Nukahiwa, byle nie w Krasiłowcach, ani w Ohrebyszczach. Może—zapytał tonem ironii—zechcesz księciu de la Trompe rie odpowiedzieć: „Spędzę sezon na Frasoblówce?...„

— Karolu!...—zawołała księżna tonem o politowanie wzywającym.—Przyznałam się przecie przed tobą do braku doświadczenia... Niewiadomość grzechu nie czyni...

— To też, mówimy między sobą... Nie mam wcale zamiaru ogłaszać publicznie, żeś myślała o Krasiłowcach...

— A ty?...—zapytała księżna.—Będziesz mi towarzyszył?...

— Towarzyszyć... nie, ale zjadę się z tobą tu i owdzie... Zaglądnę do Homburga...

Przed Wielkanocą na tydzień z czemeś, kazał się książe Godfryd u księżny zaanonsować raniej jak zwykle, zalecając Weronice, ażeby jej oświadczyła, iż ma do niej ważny interes. Weronika oświadczyła to księżnej, a następnie oświadczyła księciu, że księżna nie przyjmuje. Książe się skrzywił jak do płaczu i zapytał o godzinę, o której mógłby księżnę odwiedzić, powtarzając, że ma do niej interes bardzo ważny. Weronika odeszła i powróciła z oświadczeniem, że książe pan może przyjść o jedenastej, księżna będzie w buduarze czekała.

O jedenastej książe zakołatał znowu.

Młoda kobieta upozowała się w buduarze, na ottomanie, w porankowym stroju, nie wykradającym kibici jej i wdziękom szczegółu najmniejszego. Mężowi ukazała taburet miękki, tą samą co ottamana materyą pokryty. Książe usiadł, ręce na brzuchu złożył i chrząkać począł, zabierając się do przemówienia.

http://rcin.org.pl

— Cóż, mości książe?...—odezwała się piękna pani.— Spało się nieźle?...

— Spodziewam się... hm... hm... Spodziewam się, że wasza książęca mość... że wasza książęca mość... hm... hm... że wa-a-a...

— Książe jesteś zapewne o zdrowie moje troskliwy i chcesz się o stanie onego dowiedzieć...—podchwyciła.— Dziękuję...

— To jest... hm... Spodziewam się, że nie...

— Nie jesteś troskliwym, wasza książęca mość... A, to pięknie!...—rzekła półżartem.

— To jest, nie... nie to, spodziewam się...—podchwycił książe.—Ale nadchodzi spowiedź wielkanocna... Spodziewam się, że ksiądz Korski spowiadać nas będzie...

— Zamierzasz wasza książęca mość sprowadzić księdza do Paryża?...

Książe Godfryd drgnął na te słowa, jakby go przeraziła zawarta w nich myśl.

— Nie... nie...—odpowiedział.

— Inaczej nie pojmuję, w jaki sposób ksiądz Korski spowiadaćby nas mógł...

— To jest... spodziewam się... w Krasiłowcach... Spodziewam się, że pojedziemy...

Po wyrazie ostatnim zapanowała chwila milczenia. Księżna, zdawało się, namyślała się, w końcu zapytała:

— Czy księciu chodzi koniecznie o spowiadanie się ojcu Korskiemu?...

— Ach!...—odparł zapytany, wznosząc wzrok do góry.—Jakżeby inaczej być mogło!...

— Mogłoby i powinno być...—odrzekła młoda kobieta tonem takim, jakim nauczyciel do ucznia przemawia.

http://rcin.org.pl

Prawda, że jesteśmy ze sobą dobrze?... że pomiędzy nami panuje harmonia zupełna?... Wszak prawda?... co?...

— Prawda...—odpowiedział książe dobitnie.

— A dla czego?... Nie dla czego innego, jeno dla tego... uważaj wasza książęca mość dobrze... dla tego, że ani wasza książęca mość ani ja nie spowiadamy się księdzu Korskiemu... Zkąd to pochodziły owe upominania się o prawa małżeńskie?... Zkąd?... Przypominasz sobie wasza książęca mość?... Przypominasz sobie?... co?...

— Przypominam sobie...

— Mnie ksiądz Korski napełniał do waszej książęcej mości wstrętem, tak dalece, że gdybym była dłużej pod dyrekcyą jego zostawała, byłoby przyszło do skandalu... Czułam to... Dla odwrócenia złego, szukałam pretekstów wydalania się z pałacu i pod rozmaitemi pozorami dniowania i nocowania u rodziców... Bóg ratował jednak... Pojechaliśmy do Częstochowy i tam, za sprawą Matki Bożej, do której modliłam się gorąco, przyszło mi natchnienie jechania do Paryża... Uważaj, mości książe, że zachodzi tu interwencya poważniejsza trochę od księdza Korskiego... Matka Boża mnie natchnęła, i z Jej łaski, jesteśmy ze sobą dobrze, panuje pomiędzy nami harmonia... Czy chcesz, wasza książęca mość harmonię tę zburzyć?... co?...

— Nie... —odpowiedział zapytany, powiekami mrużąc w celu powstrzymania kręcących się za niemi łez.

— Nie mamy się więc po co do Krasiłowiec śpieszyć. Im dłużej pozostaniemy zdala od wpływów księdza Korskiego, tem się bardziej harmonia pomiędzy nami utrwali... Wszak prawda...

— Pra-a-wda...

I w płacz.

— Odbędziemy spowiedź wielkanocną tu... u św. Sul-

http://rcin.org.pl

picyusza naprzykład... W Paryżu księży świątobliwych znajdziemy secinami całemi, świeckich, zakonników reguł wszelakich... Spędzimy tu święta, a po świętach pojedziemy do Włoch...

Książe wciąż płakał.

— Do Rzymu...

Książe przez płacz uśmiechać się począł.

— Będziemy w Rzymie... Ztamtąd pojedziemy do Neapolu... Zamieszkamy czas jakiś w Sorrento... i na jesień do Paryża powrócimy... Spodziewam się, że się to księciu podoba... co?...

— Podoba się...

— A więc dobrze... Niech wasza książęca mość łzy obetrze i dobrej będzie myśli...

Książe poszedł za radą małżonki. Łzy otarł. Księżna wstała, przeprosiła, że śpieszyć musi powierzyć głowę swoją koaferowi i zostawiła małżonka samego, uśmiechającego się po płaczu.

Jak powiedziała, tak się stało. Program, przez brata skreślony a przez siostrę przyjęty, wykonanym został literalnie. Księztwo przepodróżowali letni sezon. Z panem Karolem spotkali się dwa razy: raz we Florencyi, drugi raz w Neapolu. Zapraszali go do Sorrento, lecz towarzyszyć im nie mógł żadną miarą, śpieszył bowiem na wyspę Helgoland, gdzie mu dała *rendez-vous* hrabina de l'Escroc-Fanfan, wskazana przez lekarzy na zażywanie pigułek żelaznych i oddychanie powietrzem północnem.

Kiedyś, przy okazyi, opiszemy ze szczegółami salonowe i wędrowne przygody księżnej i pana Karola. Odkładamy to na później, stanowi to bowiem przedmiot obszerny, ciekawy i bardzo zajmujący. Interes onego polega na tem, że historya pobytu za granicą dzieci podkomorstwa jest hi-

http://rcin.org.pl

storyą wspólną dziewięciu dziesiątych wędrowców i wędrownic naszych, spotykanych na wszystkich traktach, krzyżujących się w Europie środkowej. Jadą a jadą—jadą zawracają, przerzucają się z północy na południe i z południa na północ—pędzi ich coś: co jednak? Zaledwie część dziesiąta—co mówię!—zaledwie część setna odnosi z podróży korzyść jakąś. Większość ogromna goni marę bezimienną. Mniejsza już o stratę majątków; mniejsza o wywożenie pieniędzy z kraju. Pierwsza dotyka osobistości pojedynczych—majątki bowiem w inne tylko przechodzą ręce; drugie wynadgrodziłoby się, gdyby w zamian wnosiło do kraju zdobycze na polu wiadomości pożytecznych, we względzie których Zachód tak dalece od nas wyżej stoi. Ogromne w ten sposób dałyby się osiągnąć korzyści, ze względu na ilość wielką wędrowców i wędrownic. Gdyby jeno każdy i każda zachwycić postarał się odrobinkę światła, i ulokowawszy takową w głowie, do kraju z nią powrócił! Ale ba! Takich, co po odrobince światła zachwytują, jest zaledwie jeden na sto. Reszta goni—jak wyżej powiedziałem—marę bezimienną, lata niby kot z pęcherzem po zagranicy i nasiąka, rzecz naturalna, przywarami, bez których moglibyśmy się jak najzupełniej obejść. Czy to mało mamy własnych!

Księztwo i pan Karol przez lat trzy włóczyli się za granicą i trzy zimy spędzili w Paryżu. Mieli przygód mnóstwo—i romansowych i towarzyskich, i politycznych, i smutnych, i wesołych, i poważnych, i śmiesznych—kiedyś je opiszę. Nie uważam za stosowne wprowadzać do niniejszego opowiadania epizodu, któryby tom objął. Sam książe de la Tromperie, który szalał za naszą księżną i sama hrabina de l'Escroc-Fanfan, dla której szalał pan Karol, dostarczyliby do pisania materyału nie mało. Odkładam więc

http://rcin.org.pl

to wszystko na później, teraz zaś, przeskakując lata, przystępuję od razu do chwili, w której księztwo otrzymali list z czarną pieczęcią.

Stało się to w czwartym roku pobytu za granicą, w miesiącu marcu.

List przyszedł pod adresem księcia Godfryda.

Autorem onego był podkomorzy.

Podkomorzy, stylem zarywającym na biblijny, uwiadamiał księcia Godfryda o bolesnym, jaki na niego i na „zasmucone głęboko obywatelstwo całe“, spadł ciosie: o śmierci księcia Norberta.

Książe Godfryd nie od razu, a właściwie, niedobrze zrozumiał, co to się stało, a to dla tego może, że podkomorzy nie napisał wyraźnie „umarł“, ale rzecz przedstawiał pod figurami: „zszedł z tego świata, przeniósł się do lepszego żywota, opuścił nas“ i t. p. Książe przeto, list przeczytał, schował i zabierał się pisać do księcia ojca po raz trzeci od czasu wyjazdu z Krasiłowiec, odkładając odpowiedź podkomorzemu na później. Księżna nic o tem nie wiedziała— i nie dowiedziała się, aż w kilka dni później, z listu matki, która jej z detalami opisywała pogrzeb księcia Norberta, nie wspominając o śmierci, jako—jak przypuszczała—o rzeczy wiadomej. Zdziwiło ją to. Na szczęście, raz jeden podkomorzyna wymieniła „zwłoki księcia Norberta“. Gdyby nie to, byłaby księżna nie wiedziała wcale, czyj mianowicie pogrzeb matka jej opisuje. Z tych trzech wyrazów, domyśliła się, że był to pogrzeb księcia ojca; domyśliła się zatem, że książe Norbert świat ten pożegnał. Zmięszało ją to.

— *Tiens!*...—zawołała.

Napisała słów kilka, zapieczętowała i posłała przez lokaja do pana Karola.

http://rcin.org.pl

W godzinę później, siostra brata temi powitała wyrazami:

— Nowina wielka!... pogrzeb księcia Norberta!...

— Więc umarł?...—zapytał brat.

— Naturalnie... Gdyby nie umarł, toćby go nie grzebano... Mama wprawdzie o śmierci nie pisze, ale to się samo przez się rozumie...

— Oczywiście... A!...—zawołał, robiąc głową giest wyrazisty. *C'est grave...* Cóż książe Godfryd?...

— Nie wie o niczem... O niczem mi nie wspominał...

— Tak... Ale świat będzie wiedział... Książe jeden zeszedł ze świata... Trzeba ci się strapić koniecznie i w żałobę się usunąć na rok cały... Oto niedogodność mieć księcia za ojca!...

— Trzeba więc... co?...—zapytała księżna.

— Sprawić sobie w Paryżu sukien krepowych z tuzin i jechać do Krasiłowiec... do dóbr swoich... Tak zwyczaj chce... Trzeba także i księcia krepą obwinąć, a przytem ogłosić tę bolesną wiadomość *urbi et orbi*...

Księżna westchnęła i zasmuciła się głęboko.

Nazajutrz czytano w dzienniku:

„Nieszczęście wielkie dotknęło znakomitą rodzinę, która od lat kilku jest ozdobą naszych salonów i pogrążyło ją w smutku niezmiernym. Potomek Mendoga, cesarza (!) Litwy, książe Norbert Gamajda, umarł. Ci, co znają— a któż w towarzystwie wyborowem jej nie zna!—zachwycającą młodą księżnę, synowę nieboszczyka, podzielą jej boleść wielką. Słychać, że księżna rok żałoby spędzi w dobrach swoich. Więc i dla Paryża... żałoba!“

Po ukazaniu się artykuliku tego sypnęły się wizyty kondolencyjne, składane księżnej i księciu, który z gazety dopiero o śmierci ojca się dowiedział i—zarazem—zasmucił

http://rcin.org.pl

się i ucieszył. Zasmucił się przez—że się tak wyrazimy— odbicie koloru czarnego, który ujrzał nagle zamiast barw jasnych; ucieszył się zaś na myśl powrotu do Krasiłowiec, do których tęsknić nie przestawał.

Księżna w grubej, ciężkiej wystąpiła żałobie.

Zamówiono egzekwie pierwszej klassy i mszy żałobnych kilkadziesiąt w Notre-Dame, u St. Sulpicyusza, w kościele Wniebowzięcia, u św. Rocha i w innych jeszcze kościołach znaczniejszych.

Paryż dowiedział się o śmierci męża, któremu ten naturalny zdarzył się wypadek, że żyć przestał.

Księżna, pocieszana przez przyjaciół licznych i żegnana przez nich: „do widzenia!“, wybrała się wraz z mężem w podróż z powrotem. Pan Karol odprowadzał ich do Strasburga, zkąd wracać musiał do Paryża, dla markizy de Calicot, która się wybierała w Pyrenee.

Księztwo jechali, jechali, zatrzymując się dla odpoczynków tu i owdzie; minęli Niemcy; minęli Galicyę poczciwą, którą podówczas, nie na Gaskonię niemiecką, jak dziś, ale jeszcze na Niemcy przerabiano i w której szlachta tem się odznaczała, że mówiąc językiem Szyllera i Gothego, dodawała „panie dobrodzieju“; przejechali w Radziwiłowie kordon i czwartego czy piątego tygodnia od wyjazdu z Paryża, ujrzeli dach czerwony krasiłowieckiego kościoła i topole, otaczające krasiłowiecki pałac.

Czyjeż serce nie uderzyłoby tętnem przyśpieszonem na widok taki!

Książe wytykał głowę z karety z jednej strony i uśmiechał się do topoli, do dachu czerwonego, do chałup przedmiejskich, nawet do brudnych obdrapanych domków żydowskich, takich samych, jakiemi je lat temu cztery zostawił. Księżna wytykała głowę z karety z drugiej strony i uśmie-

http://rcin.org.pl

chała się także; ale, wyznać musimy, w uśmiechu jej inny był akcent, aniżeli w uśmiechu dozgonnego jej towarzysza. On, idyota prawie, zgubił z pamięci wszystkie Rzymy, Florencye, Neapole, Sorrenta, wszystkie miasta i miejsca, gmachy i szalety i odtworzył natomiast w całości i nietykalności pierwotnej wspomnienia dziecinne, które po kryjówkach jego mózgowych w stanie letargowym spoczywały; ona zaś brała miarę porównania i dla tego uśmiech jej był—jak nam się zdaje—uśmiechem politowania.

Przyjechali. W ganku na spotkanie ich wyszedł ksiądz Korski, poprzedzając zastęp służby, uszykowanej przez marszałka dworu. Ksiądz składając na piersiach dłonie, pochylił się ukłonem głębokim. Pochyliła się ukłonem i służba. Księżna zatrzymała się przed księdzem i zbliżyła usta do jego ramienia, zapytując o zdrowie.

— Najuniżeniej dziękuję waszej książęcej mości...— była zapytanego odpowiedź. Zdrowia Bóg użycza mi jeszcze na tyle, ażeby błagać go o pomyślność doczesną i zbawienie wieczne waszych książęcych mości...

— Taki cios nas dotknął!...—podchwyciła księżna, chcąc cośkolwiek powiedzieć.

— Cios wielki, zaiste, dla nas, wskazanych na wędrówkę doczesną... Ubył z pośrodka nas jeden sprawiedliwy, lecz przybył nam w niebiosach zastępca, orędownik świadczący przed tronem Przedwiecznego za nami lub... przeciwko nam...

Dwa ostatnie wyrazy wymówił ksiądz z przyciskiem intencyą nabrzmiałym.

Zrozumiała to snadź księżna, lekki bowiem, ironią naznaczony półuśmiech przez usta się jej przesunął, ustępując wnet miejsca smutkowi konwencyonalnemu. Zwróciła się

http://rcin.org.pl

do sług i pozdrowiła ich. Oglądnęła się do koła za księciem. Księcia nie było.

Cóż się z nim stało?

— Gdzie książe?...—zapytała.

— Proszę, jaśnie oświeconej księżnej pani, udał się tam...—odpowiedział marszałek, ukazując na drzwi wchodowe.

Książe znalazł się tak. Jak tylko z karety wysiadł, natychmiast ruszył wprost do wnętrza pałacu, ruszając ramionami i machając rękami w sposób taki, jak gdyby ciżbę rozpychał przed sobą. Nie patrzył na nikogo, nie witał się z nikim, nie zważał nawet na księdza; szedł tak prędko, że zdążyć nie mógł kamerdyner z wyprzedzeniem go w celu otwierania przed nim podwoi; uderzył dłoniami obydwiema o drzwi główne—drzwi się rozwarły; przeszedł przez sień tak szybko, jak go chodzącego nigdy nie widziano; przeszedł szereg komnat, aż do tego saloniku, w którym przesiedział młodość całą, w którym widzieliśmy go w spazmach, gdy mu podkomorzy sen zmyślony opowiedział; wszedł tam, za stał na miejscu swojem swój stoliczek i swój obok stoliczka fotel, usiadł w fotelu i śmiać się począł.

— Cha, cha, cha... cha, cha, cha...

W śmiechu tym było coś przykrego. Dzwonił w nim akcent tryumfu.

Książe śmiał się z kwadrans, aż spotniał i łzami się zalał.

Przestawszy się śmiać, oddychał głęboko, sapał, dmuchał, pot z czoła ocierał, na siedzeniu się poprawiał, w końcu przybrał minę taką, jakby powiedzieć chciał w słuch światu całemu:

— Ztąd mnie już żadna nie ruszy siła!...

W tym stanie pozostawał przez minut parę.

http://rcin.org.pl

Następnie rękę na stoliku położył i począł weń palcem jednym stukać.

Następnie ujął w palce dzwonek. Zadzwonił.

W progu pojawił się lokaj.

— Podaj mi wody szklankę...

Gdy się wody napił, stało się z nim tak, jak gdyby nigdy w życiu żadnej nie odbywał podróży, jak gdyby zamarł był na lat cztery i zmartwychwstał tym samym księciem Godfrydem, jakim był, nie przed laty czterema, ale przed ożenieniem swojem. Czas przeżyty, przestrzenie zjedżone, widoki, zdarzenia, osoby znikły dla niego. Odrodził się dawnym księciem Godfrydem, siedział sobie spokojnie na dawnem swojem miejscu i czekał po dawnemu na dzwonek, hasło obiadu.

Doczekał się dzwonka. Wstał, przeszedł do salonu, służącego za punkt zborny dla biesiadników.

W salonie spotkał się z ojcem Korskim.

— Spodziewam się—wnet przemówił—że zdrowie ojca wielebnego w pożądanym znajduje się stanie...

— Dziękuję uniżenie waszej książęcej mości... Zdrowie moje, od chwili śmierci jego książęcej mości księcia Norberta?...

— Od chwili śmierci... jego książęcej mości księcia Norberta?...—podchwycił książe tonem zdziwienia i namysłu.

— Podupada...—ciągnął ksiądz—i coraz to zbliża się ta godzina, w której Pan i mnie, sługę swego, powoła...

— Powoła... — powtórzył książe i zapytał: Książe Norbert?...

— Umarł... Na rękach moich ducha Bogu wyzionął...

Nadeszła księżna w grubej żałobie, odświeżonej po powrocie.

http://rcin.org.pl

Marszałek drzwi od sali jadalnej na ścieżaj otworzył i dawnym sposobem obiad zaanonsował.

Książe zajął przy stole dawne swoje miejsce i jadł po dawnemu. I pod tym względem odrodził się takim samym, jakim był przed laty.

IX.

http://rcin.org.pl

IX.

I rozpoczął się dla księżnej rok żałoby, rok straszny, długi, nieprzeczekany, który w pierwszych momentach swoich dosyć jeszcze był znośny, z powodu nowości położenia, jaką przedstawiał. Sam pałac stary wydał się jej nowością, która ją zajęła, oglądała go z ciekawością żywą, oglądała apartament swój ze zdziwieniem.

— Jasna pani!...—zawołała Weronika. Tać tu tak, jak było!... Zdaje się, jakbyśmy wyjechali ztąd wczora a dziś powrócili...

— Toż to mnie właśnie dziwi...

Przypatrywała się przedmiotom różnym. Zaglądnęła do alkowy, w której znajdował się klęcznik i pozostawione na pulpicie książki do nabożeństwa. Uklękła. Pomodliła się. Prosiła Boga o udzielenie jej mocy do wytrzymania roku całego. Pomodliwszy się, przystąpiła do ubierania się, zasiadła przed gotowalnią, na widok której uśmiechnęła się z politowaniem i powierzyła głowę swoją Weronice. Czesząc się, rozmawiała. Na ubieraniu się i rozmawianiu z powiernicą zeszedł czas, aż usłyszała dzwonek.

— Co to jest?...—zapytała.

— A nie wiem, proszę jaśnie oświeconej pani...

— Pójdźno dowiedz się...

http://rcin.org.pl

I jedna i druga zapomniały o zwyczajach w pałacu zaprowadzonych.

Weronika powróciła niebawem i przyniosła tłumaczenie zagadki.

— Co to znaczy, że nikogo z Ohrebyszcz nie ma!...— rzekła księżna.

Nie domyślała się, że, ażeby z Ohrebyszcz kto przybył, potrzeba najprzód dać znać o przybyciu własnem.

Poszła na obiad. Przy stole mało jadła, przypatrywała się z boku żarłoctwu, z jakiem książe pochłaniał dania wcale nie wykwintne. I to nawet zafrapowało ją, jako nowość.

Po obiedzie, gdy, zostawiona sama sobie, do apartamentu swego wracała, spotkała w przechodzie Weronikę.

— Jasna pani!...—zawołała ta ostatnia.—Posłaniec z Ohrebyszcz!...

— Gdzież on?...

— Czeka...

— Wołaj go!... Niech przyjdzie do mnie...

W chwilkę później do apartamentu księżnej wkroczył młody chłopak w liberyi, wyglądający na lat dwadzieścia, roztropnego wejrzenia i szykownej postawy, a nadewszystko pozoru odmiennego od tego, jaki cechował służbę pałacową, poważną i posępną. Wszedł, skłonił się i przy progu się zatrzymał.

— Ty z Ohrebyszcz?...

— Z Ohrebyszcz, jasna pani.

— Masz list?...

— Nie mam...

Księżna chciała coś powiedzieć, lecz on ciągnął dalej:

— Od tygodnia już, dzień po dniu, przyjeżdżam do

http://rcin.org.pl

Krasiłowi‹c, dla dowiedzenia się o powrocie jasnych państwa i o zdrowiu jasnej pani...

— Zmęczona się czuję podróżą, zresztą zdrową jestem... Cóż tam słychać?...

— Wszystko dobrze...

— Czy się i tam, jak tu, nic nie zmieniło?...

— Zmieniło się... Jaśni państwo osamotnieli...

— Tak... no... a więcej?...

— Więcej, zdaje się, nie zmieniło się nic... dla nas przynajmniej... Jaśnie oświecona pani może zmiany jakiej dopatrzy...

Księżnę uderzyła roztropność odpowiedzi ostatniej. Rzekła:

— Znam wszystkich w Ohrebyszczach, ciebie jednak nie przypominam sobie... Pierwszy raz cię widzę...

Chłopak uśmiechnął się i odpowiedział:

— Bom ja się zmienił... Jaśnie oświecona pani widziała mnie, kiedy byłem dzieckiem jeszcze...

— Od dawna już pozostajesz we dworze?...

— Rok szósty...

— A nazywasz się?...

— Kacper Mędziński...

— Powiedzże mi, Kacprze, jak się ma papa? jak się ma mama?...

— Jak zwykle... nieźle... Jasna pani trochę niezdrowa i jaśnie pan trochę niezdrów, ale niezdrowie to nie opuszcza jasnych państwa od czasu jak ich zapamiętam...

— Musieli jednak postarzeć?...

— Zapewne... nie w moich jednak oczach... Jasna pani lepiej to zobaczy...

— Cóż więcej, Kacprze... Czy weseli?...

— Nie bardzo... o!... nie... Jakże mogą być weseli!...

http://rcin.org.pl

— Co przez to rozumiesz?...

— Rozumiem to, że trudno być wesołymi rodzicom, gdy dzieci nie przy nich...

Kacper się mylił, co do powodów braku wesołości podkomorstwa. Nie mogło jednak być inaczej. Podkomorzy nie zwierzał się przed nim ze stanem interesów swoich. Z drugiej znów strony, gdyby stan ów był Kacprowi znanym—służba bowiem umie rzeczy podobne odgadywać—to sama delikatność uczucia nie pozwalała mu zdradzać znajomości tej przed córką, nakazując podstawić zamiast następstw przyczynę, czyli, wypowiedzieć premissę syllogizmu, układającego się w sposób następujący: „Dzieci nie są przy podkomorstwu, więc interesa ich w złym znajdują się stanie; interesa ich w złym znajdują się stanie, więc są smutni: a zatem smutni, dla tego, że nie mają dzieci przy sobie.“ W sposób, ten Kacper nie wyrządził księżnej przykrości i nie powiedział jej nieprawdy—dowód, że był z natury rozgarniony.

Księżnej podobała się rozmowa z nim. Zarzuciła go pytaniami, na które on odpowiadał prędko i dobrze, i przetrzymała go dłużej jak należało.

— Więc tak...—rzekła w końcu, namyślając się nad nowem pytaniem i zawołała nagle: Ach!... Przytrzymuję tu ciebie, Kacprze, podczas kiedy powinieneś śpieszyć do Ohrebyszcz i o przyjeździe moim uwiadomić... Poczekaj jednak jeszcze trochę... słów parę napiszę... Albo nie!... Ty powtórzyć potrafisz, co ci ustnie powiem... Pisać mi się nie chce... Tak jestem podróżą zmęczona!... Oh!...

I wyciągnęła się przed Kacprem, podnosząc ręce do wysokości głowy i wyginając się kibicią naprzód. Panie nie żenowały się w przybieraniu przed lokajami poz, uchodzących za niekoniecznie przyzwoite.

http://rcin.org.pl

— Powiedz, żem podróżą umęczona, że dziś wcześnie pójdę do łóżka a jutro późno wstanę; powiedz, że mi się pałac krasiłowiecki nie wydaje nader ponętnym i że ze strachem myślę o roku całym, który mi w nim spędzić przyjdzie; powiedz, że mi w żałobie dość do twarzy, ale że mi bardzo było smutno rozstawać się ze strojami, których zabierać ze sobą nie mogłam, gdyż po roku nie przydałyby się na nic, powiedz jeszcze, że gorąco pragnę oglądać jak najprędzej papę i mamę i proszę ich bardzo, ażeby przyjechali jutro na dzień cały do Krasiłowiec, jeżeli nie oboje, to mama przynajmniej, a to dla tego, że mam z mamą do gadania dużo... dużo... Spamiętasz to wszystko?...—zapytała w końcu.

— Czemużby nie!..—odpowiedział Kacper z uśmiechem.

— Jedźże więc, jedź jak najprędzej i spraw się dobrze!..

Kacper się zwrócił na miejscu, wyszedł, zatrzymawszy się jeszcze chwilę dla zleceń, które mu Weronika dawała, wsiadł na koń i odjechał.

Gdy odjechał, księżna do Weroniki rzekła:

— Bogu dzięki, żem listu pisać nie potrzebowała... Ten Kacper potrafi, zdaje się, słowa moje powtórzyć... jakiś taki roztropny...

— To ten sam, jasna pani...—odparła kamerystka—co to... nie wiem czy jasna pani przypomina sobie... przez okno patrzał, kiedy się jasna pani zaręczała z księciem panem...

— A!...—księżna na to.

Przypomnienie to wprawiło ją w stan rozmarzenia jakiegoś, który może i nie był przypomnienia następstwem, a może niem był, ale nie wyłącznie. Trzeba wziąść na uwagę zmęczenie podróżne. Przebycie przestrzeni z Paryża do Krasiłowiec nie mogło nie wywrzeć wpływu niejakiego na kompleksyę kobiety wypieszczonej: Nie wyszła na salon wieczorem. Kazała powiedzieć, że się czuje niezdrową.

http://rcin.org.pl

Poszła wcześnie do łóżka i w łóżku ogarnęła ją cisza głucha, w której wyobraźnia jej wywoływać poczęła wspomnienia przeszłości. Skoczyła myślą ku momentowi zaręczyn swoich. Przypomniała sobie, że wówczas szukała kogoś oczami i pragnieniem—pragnieniem, które w czasie owym nazywało się... miłością.

— Miłością...—szepnęła sama do siebie, obróciła się na łóżku, wyciągnęła, westchnęła i wpatrzyła się w wyglądający z za firanki kawałek szyby, którą księżyc srebrnym drażnił promieniem.

Ktoś schodził po promieniu.

Twarz czyjaś za szybą się pokazywała; oczy jakieś przez okno zaglądały.

Twarz to czyja? Oczy to czyje?

— Gustaw...

Imienia tego księżna nie wymówiła. Imie to mówiło się samo, opowiadając długą jakąś i straszną historyę o tym co je nosił i który, w noc księżycową... chodzi. Gustaw chodzi. Księżna—powtarzamy—nie mówiła tego. Nasuwało się jej to samo. Wiedziała ona, że Gustaw, od lat pięciu już blizko, w grobie i że umarli chodzą jeno w balladach i baśniach. Wiedziała o tem i broniła się, przywoływaniem na pomoc sobie zastępów całych, złożonych z takich, jak *prince* de la Tromperie i jemu podobnych. A jednakże! Tamci znikali, ten zaś chwiał się na księżycowem promieniu i przez okno zaglądał.

— Było to w czasie zaręczyn...—tak się rozpoczynała historya.

Historya nieprawdziwa, w czasie zaręczyn bowiem nie Gustaw ale Kacper przez okno zaglądał.

— Kacper... — powiedziała księżna wyraźnie.—Kac-

http://rcin.org.pl

per... lokaj... ten sam, com go dziś widziała... jakiś roztr pny... bardzo roztropny...

I nie w książętach de la Tromperie, ale w Kacprze obronę przeciwko widziadłu natrętnemu znajdowała.

Z tem zasnęła.

Obudziła się późno. Zadzwoniła.

— Jasna pani z Ohrebyszcz od godziny już blizko przyjechała...

Wyrazami temi powitała ją na dzień dobry Weronika, odchylając kotary od łóżka.

— Ach!...—krzyknęła i z pościeli wyskoczyła.

W pierwszem uniesieniu, gotową była biedz w stroju takim, w jakim Ludgarda wybierała się od Przemysława, który ją chciał „zgubić", którego ona jednak wolała „lubić."

Lecz się powstrzymała. Kazała pierwej ubrać się stosownie, to jest tak, ażeby ubranie łączyło w sobie wszystkie warunki strojności a strojem nie było. Reguły elegancyi są nieubłagane. W obec nich, nie masz względu na matkę, męża, na kochanka nawet! Elegantka nie zapomni się, ani w miłości, ani w rozpaczy, ani też—tem mniej—w radości. Księżna zapomniała się na chwilkę—znak, że nie była elegantką skończoną i wypróbowaną—wnet jednak do porządku się sama przywołała, kazała sobie włosy uczesać i warkocze ułożyć od niechcenia, kazała się ubrać w strój poranny, złożony z batystów, muślinów i koronek obowiązujący do przebierania się, i dopiero kazała podkomorzynę prosić.

Powitaniu matki z córką nie brakło nic pod względem wykrzykników, uścisków i łez.

Usiadły jedna obok drugiej na kanapie i długo jeszcze, trzymając się za ręce, pocałunki sobie oddawały, w oczy patrzały i powtarzały:

http://rcin.org.pl

— Moja mamo!... Moje dziecko!...

Po wstępie tym przyszła rozmowa spokojniejsza, która się rozpoczęła od wykrzyknika podkomorzyny:

— Moja księżno! jakże ty pięknie wyglądasz!...

— Mamo kochana!...—odpowiedziała księżna tonem półekskuzy, półuznania.

— Powinszować ci muszę... Prześliczny stroik masz na głowie...

— Pięć tygodni!...—księżna westchnęła.—Co za zmiany w Paryżu od tygodni pięciu!... Stroik ten zalicza się już tam do starych rupieci...

— U nas za pięć miesięcy będzie jeszcze nowością najmodniejszą.

— Nie wiem, doprawdy, co ja zrobię za rok!... Będę musiała chyba *incognito* do Paryża się wśliznąć i ukrywać się przez tydzień przynajmniej, zanim mnie monsieur Cavard, madame Beauvarais i mademoiselle Galland okryją nieco...

— To już... mniejsza o to...—wtrąciła podkomorzyna.

— Ach! mamo kochana... Co też mama powiada!...

— Powiadam, że jest rada na wszystko... Będziesz mogła pana Cavard, panią Beauvarais i pannę Galland uprzedzić o chwili powrotu twego...

— Prawda!...—krzyknęła księżna.—Będę nawet mogła zatrzymać się gdzie na drodze, w Strasburgu naprzykład, i kazać tam sobie przysłać co będzie najpotrzebniejsze...

— Widzisz?...—rzekła matka.—Jest rada...

— Wynalazek której zawdzięczam mamie kochanej... Ale, niechże mi mama mówi przecie coś o sobie, o zdrowiu swojem... Mama kochana się zmieniła... wyszczuplała... Nie powiem, żeby to nie było na awantaż...—dodała z uśmiechem półfiluternym.

http://rcin.org.pl

Podkomorzyna ręką machnęła.

— A papa?... kiedyż go zobaczę?...

— Ma tu przyjechać... Ja, wyobraź sobie, zerwałam się dziś o siódmej!...

— O mój Boże!...

— Papa miał jakieś do załatwienia interesa...

— Och!... te interesa... Ale prawda, bez interesów obejść się nie sposób... Ja, aż płakałam... rzewnemi płakałam łzami, kiedy wypadł interes ubrać się w żałobę... Zamówiłam sobie była właśnie trzy suknie *demi-saison*... jedna paliowa, atłasowa, prześliczna! druga popielata w paski, materyalna, przecudna! trzecia, także materyalna, *couleur unie*, barwy której nazwać nie umiem, bardzo modnej, zachwycająca!... Włożyć ich nawet, mamo kochana, na siebie włożyć nie mogłam!... To coś strasznego!...

— Zabrałaś je ze sobą?...—zapytała matka.

— Jeszcze co!...—wzruszyła księżna ramionami.—Musiałam rzucić, nie włożywszy na siebie ani razu...

Rozmowa tej treści przeciągnęła się do śniadania, zasycona materyą, jaką nastręczyło ubieranie się księżnej w żałobne szaty. Przy śniadaniu widok księcia przypomniał podkomorzynie egzystencyę jego, i kiedy się znów z córką sam na sam znalazła, zapytała ją o niego.

— Cóż książe?... w Paryżu?... bawił się?...

Księżna ramionami ścisnęła i odpowiedziała:

— Nie wiem... nie zawadzał... przeciwnie w pierwszych zwłaszcza chwilach był bardzo przydatny...

— Jesteście ze sobą?...—zaczęła podkomorzyna.

— Jak najlepiej...—podchwyciła księżna, dodając tonem konfidencyonalnym: Nie było ojca Korskiego i książe był mężem prawdziwie przykładnym...

Podkomorzyna zrobiła minę, oznaczającą ubolewanie.

http://rcin.org.pl

— Myślę go znów zabrać ze sobą...—kończyła księżna.

— A Karol?... Mówże mi co o Karolu...

— Karol!... Cóż o nim mam powiedzieć?... Zajmuje miejsce jedno z najwydatniejszych pomiędzy młodzieżą stolicy Francyi... to dosyć...

Podkomorzynie łzy w oczach stanęły.

— Karol wysoko się nosi i wysoko patrzy...

— Powiedzże to papie...—wtrąciła podkomorzyna.

W chwili tej zaanonsowano podkomorzego.

Córka rzuciła się ojcu w objęcia i powtórzyło się powitanie, które, z nieznacznemi modyfikacyami, podobnem było do tego, jakie odbyło się pomiędzy matką i córką; rozmowa zaś rozpoczęła się od wykrzyknika księżnej:

— Jakże się papa zmienił!...

W rzeczy samej, podkomorzy cieniem był podkomorzego owego, z którym zabraliśmy znajomość na polowaniu, na którem stary Mędziński zastrzelił zająca, zaliczonego na rachunek nieboszczyka księcia Norberta. Nie sięgając jednak tak daleko, lat pięć ostatnich posunęły go tak, że można było o nim powiedzieć: patrzy w grób otwarty. Policzki wpadły, oczy wpadły, brwi się nasunęły, czoło się bruzdami głębokiemi poorało, postawa się pochyliła, posiwiał zupełnie i na obliczu rozlał się wyraz melancholii czyniącej uśmiechy jego jakiemiś gorzkiemi. Kiedy mu córka o zmianie tej powiedziała, głową wstrząsnął i westchnął.

— A tylko cośmy z mamą o papie kochanym mówiły...—odezwała się księżna z przymileniem.

— Masz mi zapewne za złe, żem tak późno przyjechał...

— O nie! papo kochany... Wiem przecie... interesa... Mówiłyśmy o papie z powodu Karola.

Podkomorzy oczami łypnął i nosem czmychnął.

http://rcin.org.pl

— Gdy papę zaanonsowano, powiadałam właśnie, że Karol wysoko się nosi i wysoko patrzy... Co za szyk!... co za ton!... co za wzięcie się!...

— Wiedziałam co robię...—odezwała się podkomorzyna rozrzewniona—kiedym Karolowi i tobie, moje dziecko, wyszukaną dawała edukacyę... Krzywiono się na to (przymówka pod adresem męża), ale poświęciłam się i na drodze poświęcenia do końca dotrwałam... Ofiara moja owoc wydała...

— Ach! to prawda... co do Karola...—wręciła księżna.

— I co do ciebie, moje dziecko... Nie mam sobie do wyrzucenia nic...

Podkomorzy milczał, spuściwszy powieki, tak, że zdawało się, jakby oczy zamknął.

— Jaśnie oświecony książe pan prosi jaśnie wielmożnego podkomorzego!—wygłosił w tej chwili kamerdyner z progu.

Podkomorzy przeprosił córkę, wyszedł i złożył wizytę księciu Godfrydowi, który go przyjął w dawnym saloniku, na dawnem miejscu i dawnym sposobem. Wizyta ta nie zabrała czasu dużo. Teść odrazu po zięciu poznał, że „i w Paryżu nie robią z owsa ryżu.“ Książe Godfryd z pobytu swego za granicą o niczem powiedzieć nie umiał. Wygłosił po kolei wszystkie frazesa, jakie mu służyły do bawienia gości i nie było co z nim gadać. Podkomorzy przeto niebawem do córki powrócił.

— Jakże papa kochany księcia znajduje?...

— Bardzo dobrze... Ale—spojrzał na zegarek—muszę cię już pożegnać, księżno...

— Tak rychło?... Liczyłam na to, że papa kochany na obiad zostanie...

http://rcin.org.pl

— Zostałbym chętnie, gdyby nie Boruchy, Lejby, Lejzory...

— A toż co!?...—zawołała księżna.

— Ha!... Nosi się Karol i patrzy w Paryżu wysoko, a ja tu patrzeć się muszę w brody żydowskie...

Podkomorzynie oczy się zaiskrzyły. Księżnej także oczy się zamigotały.

Podkomorzy pośpiesznie wyszedł.

To cośmy powyżej opisali, nazwaćby się dało pierwszą sceną pobytu księżnej w Krasiłowcach, sceną brzemienną pierwiastkami wszystkich następnych, które się z tej jednej wysnuwały. Rok żałoby zapowiedział z punktu wychodniego, czem będzie.

W pałacu zawrzała głucha wojna pomiędzy księżną a księdzem Korskim, która nie sprowadzała wybuchów, brakło jej bowiem podniety realnej. Wszczynała się i nie rozwijała. Za każdem potrąceniem tej struny, pokazywało się jeno, że walczyć nie ma o co, chyba o honor, który atoli rozbijał się o szkopuł jeden, o nieużytość księcia Godfryda, tak dalece zadowolnionego, że stał się absolutnie do niczego: ani go już ojciec Korski poruszyć mógł, ani księżna do płaczu doprowadzić była w stanie.

Księżnę opanowały nudy—nudy straszne; nie mogła, jak to powiadają, miejsca sobie znaleźć; przerzucała się z Krasiłowiec do Ohrebyszcz, z Ohrebyszcz do Krasiłowiec i próbowała rozrywek różnych. Najprzód szukała takowych w sąsiedztwie, radząc się matki co do porządku wizyt.

— Oczywiście...—była podkomorzyny odpowiedź.— Zacząć powinnaś od Oleckich... Masz tam pochrzestnika...

Księżna pojechała do Frasoblówki i znalazła pochrzestnika swego w gronie rodzeństwa, wynoszącego już głów pięć. Ludwiś, chłopczyk walny i ogromnie obiecują-

http://rcin.org.pl

cy, miał trzech. braciszków i jedną siostrzyczkę. Księżna we Frasoblówce kataru się nabawiła.

Udała się jeszcze do domów paru i powiedziała sobie:

— Nie... Wolę się w Krasiłowcach, jak w więzieniu, zamknąć...

Zamknęła się. Rzuciła się do literatury, wzywając w tym względzie pomocy matki, która jej, ze zbioru swego romansów francuzkich, książek dostarczała. Kacper służył za pośrednika w wożeniu i odwożeniu druków a zarazem w komunikowaniu ustnych relacyj, jakich sobie panie wzajemnie udzielały. Z tego powodu w częstą z paniami styczność wchodził. Podkomorzyna dawała mu polecenia sucho a surowo: Powiedz księżnej pani to a to! Księżna wdawała się z nim w rozmowy; powierzała mu niekiedy wrażenia swoje, co do książki przeczytanej, w tym celu, ażeby on takowe podkomorzynie powtórzył. Literatura stanowiła ucieczkę jedyną przed nudami, lecz się niebawem wyczerpała. Zapas podkomorzyny, acz znaczny, nie był jednak bezdennym. A przytem i romanse znudziły młodą kobietę. Dostrzegła w nich oprowadzania w kółko intrygi wciąż jednej i tej samej, zaprawnej jeno sosem coraz to odmiennym. Kto sosy lubi, może w tem smakować. Jej się one przejadły.

Wzięła się do praktyk religijnych, w tym jednak względzie znalazła się, niby pomiędzy młotem a kowadłem—pomiędzy ojcem Korskim a księdzem Celowiczem;—pierwszy ją odstręczał, drugi jej nie zadawalniał. Przytem, zachodził tu wzgląd jeden bardzo ważny, stojący na przeszkodzie zajęciu się nabożeństwem. Księżna była damą wielkiego świata jeszcze młodą. Damy tego rodzaju biorą się do praktyk religijnych nie prędzej, aż je świat wybrakowywać zaczyna z szeregów swoich. Jak długo to nie na-

http://rcin.org.pl

stąpi, czasu nie mają. Księżna nasza miała wprawdzie czas, lecz sprowadzony w sposób przypadkowy i prowizoryczny; myślała nietylko o tem, co było, ale także i o tem, co będzie; doznawała więc dystrakcyi podwójnej, skutkiem której nie znajdowała w ćwiczeniach pobożnych tego uroku, jaki znajdują w nich damy, dla których zadanie życia bez celu istnieć przestało na tym płaczu padole.

Ona miała jeszcze prze sobą tyle!

Tyle zadań!—tyle zagadnień!...

Jeżeli przeto modliła się, to na to jedynie, ażeby uprosić jak najrychlejsze zakończenie roku żałoby.

I uprosiła.

Rok długi, nudny, straszny skończył się nareszcie, w terminie który ani się zbliżył ani oddalił.

Na tygodni parę przed terminem, wniosła księżna w Ohrebyszczach kwestyę wyjazdu do Paryża. Wniosek ten tyczył się szczególnie podkomorzego, który, z tytułu ojca córki własnej, zawiadował interesami krasiłowieckiemi, to znaczy, w imieniu i na rzecz księżnej, rozporządzał dochodami, jakie Krasiłowce niosły.

Podkomorzy zbył to milczeniem. W parę dni jednak później, zjawił się niespodzianie w Krasiłowcach, prezentując się córce, jak go ona nigdy nie widywała: z plikiem dużym papierów, które niósł pod pachą.

— Co to?... papo kochany?...—zawołała.

— Rachunki, moje dziecko...

— Na co?... do czego?...

— Chcę ci przedstawić stan interesów twoich...

— Co?... interesów?... Nie chcę!... nie chcę!... Za cóż to mnie papa bierze?... Nie!... nie chcę, papo kochany!...

— Muszęż ci rachunki przedstawić, jestem bowiem zawiadowcą, rozporządzicielem, administratorem...

http://rcin.org.pl

— Niech do mnie papa, przez litość, nie przemawia językiem, od którego dreszcze czuję w ciele... Ja o interesach żadnych wiedzieć nic nie chcę... Ja chcę jechać do Paryża...

— Właśnie też, w tem powód najważniejszy, dla którego muszę ci stan interesów twoich wykazać...

— Cóż ma jedno z drugiem?...

— To, moje dziecko, że jechać nie masz za co...

Na słowa te młoda i wcale przystojna kobieta, w jednem oka mgnieniu w furyę się zmieniła. Czoło, twarz, oczy oblały się wyrazem wściekłości, z którym patrzała na ojca z góry jakoś i wrogo. Podkomorzy spokojnie ciągnął dalej:

— Po zdefalkowaniu długów, które przez czas pobytu twego za granicą urosły, pozostaje, na ciebie i męża twego, obliczając dochód, nie więcej, jak rubli srebrnych tysiąca półtora, i to, jeżeli będzie można przeprowadzić układ z kredytorami dawniejszymi, na spłacenie których posag twój nie wystarczył. Przejrzyj rachunki, przekonasz się... Zebrałem tu dowody jasne...

— Ja o niczem nie wiem i wiedzieć nie chcę...—przerwała księżna porywczo.

— Jak ci się podoba, ale bez pieniędzy jechać nie możesz... Gdyby nie matka, byłbym ci o tem napisał przed rokiem i ostatecznie tylko śmierć nieboszczyka księcia Norberta powstrzymała mnie od tego...

— Cóż więc?...

— Nic... Zrobiłem swoje, reszta do ciebie należy... Jechać nie możesz...

Zapanowało chwilowe milczenie, przerwane nagle głośnym, przeraźliwym, przeciągłym, przez księżnę wydanym okrzykiem·

http://rcin.org.pl

— Uuua!...

Chwyciła się oburącz za pierś, zbladła bladością śmiertelną, oczy w słup poszły, przechyliła się i zdrętwiała.

Podkomorzy głową wstrząsnął, zadzwonił, służącym cucenie powierzył, rachunki zabrał i odjechał.

W ten sposób zakończył się rok żałoby, rozpoczął się zaś rok irytacyi, znajdującej wyraz swój w długich pomiędzy księżną a podkomorzyną rozmowach, pełnych projektów do urzeczywistnienia niepodobnych i rekryminacyj, odsądzających podkomorzego od czci i wiary, jako małżonka i ojca. Upływały dnie i tygodnie. Podkomorzyna i księżna wiedziały tylko, że tak pozostać nie może—że pieniądze znaleźć muszą—że jest to niepodobieństwo absolutne, ażeby się księżna w Krasiłowcach zagrzebać miała. Księżna rzuciła się z zapałem do modlitwy; dała do kościoła osobno, do kaplicy zamkowej osobno wota kosztowne; całą żałobną garderobę swoją ofiarowała na opony, do osłaniania ścian świątyni pańskiej w czasie nabożeństw za dusze zmarłych, prosiła, błagała—o nawrócenie podkomorzego—o cud.

Błagała—ubłagała.

Cud stał się, pod postacią listu pana Karola do rodziców wystosowanego, po otrzymaniu którego podkomorzyna wyprawiła natychmiast Kacpra do Krasiłowiec, z nakazem, ażeby prosił księżnej pani o przyjazd niezwłoczny... dla wielkiej nowiny.

— Cóż się tam stało?...

— Jasna pani list z Paryża otrzymała, i gdy go odczytała, krzyknęła w uradowaniu wielkiem... uklękła przed obrazem i głośno dziękowała matce siedmiu boleści...

— Cóżby to być mogło!... A papa?... cóż papa?...

— Jasny pan w domu nie był, kiedy list przyszedł... Jasna pani kazała mi, nie tracąc czasu ani jednej minutki,

http://rcin.org.pl

prosić jaśnie oświeconej księżnej pani o przyjazd jak najśpieszniejszy...

W godzinę później księżna już w Ohrebyszczach była.

Podkomorzyna, we wzruszeniu gorączkowem, chodziła po salonie wzdłuż i wszerz, trzymając w ręku list otworzony i wymachując nim niekiedy. Gdy córkę wchodzącą ujrzała, pobiegła ku niej i mówić poczęła, na tonem deklamacyą zarywającym:

— Teraz dopiero wychodzą na jaw w pełni całej owoce ofiar i poświęceń moich... Widzę je już... wychodzą...

— Cóż się stało, mamo?...—przerwała księżna.

— Matki ze mnie wzór brać powinny... Nie powiem już, jak mówiłam dotychczas: nie mam sobie do wyrzucenia nic... Powiem: Zasłużoną jestem... i dzieci moje zadłużyły się u mnie wdzięcznością...

— Uznaję to, mamo... Ale... cóż pisze Karol?...

— Co pisze?... a!...—podchwyciła podkomorzyna, podnosząc list do ócz własnych.—Co pisze?... Donna Marya Ludwika Emilia da Ruiz da Mendoz da Cordoba, księżniczka brazylijska... posagu franków milionów czterdzieści... Czy znasz ją?... Musisz ją znać...

— Donna Marya Ludwika Aniela?...—zaczęła księżna, jak gdyby chcąc sobie coś przypomnieć.

— Nie Aniela...—poprawiła podkomorzyna zaglądając do listu—ale donna Marya Ludwika Emilia da Ruiz da Mendoz da Cordoba... księżniczka brazylijska... Musisz ją znać przecie?...

— Może i znam... A może i nie znam... nie... nie znam...—odpowiedziała księżna z namysłem.

— Niepodobieństwo!.. Czterdzieści milionów franków!..

— Niech mama nie zapomina, że dobiega już półtora

http://rcin.org.pl

roku od czasu, jak Paryż opuściłam... Co tam zmian zajść musiało!...

— To prawda...

— Ależ o co to chodzi?... bo ja o niczem jeszcze nie wiem...

— Czytaj...

Podkomorzyna podała list córce, która, przebiegając go oczami, wykrzykiwała co chwila: a!... o!... Skończyła i rzekła w uniesieniu:

— Muszę tedy śpieszyć, lecieć do Paryża!...

— Oczywiście...—odrzekła matka.

— Cóż papa na to?...

— O niczem jeszcze nie wie...

— Trzebaż mu siurpryzę urządzić... Niech mama kochana pozwoli, ja to zrobię... Schowajmy list; jak papa wejdzie, rozmowę z nim zacznę...

Podkomorzy wszedł niebawem. Księżna wnet go zaczepiła.

— Papa—rzekła—chciał mi niegdyś rachunki jakieś pokazywać... Ja zaś teraz będę papy prosiła, żeby mi raczył rachunek zrobić... Czterdzieści milionów franków, ile to uczyni złotych polskich?...

— Monetą brzęczącą?...

— Ach brzęczącą jak najmocniej...

— Rachunek łatwy... Frank, groszy pięćdziesiąt... Cztery franki, rubel srebrny... Czterdzieści milionów franków, dziesięć milionów rubli... A zatem, ponieważ rubel ma sześć złotych groszy dwadzieścia, będziemy mieli złotych polskich sześćdziesiąt sześć milionów, sześćset sześćdziesiąt sześć tysięcy, sześćset sześćdziesiąt sześć i groszy dwadzieścia...

http://rcin.org.pl

— Zostawmy groszy dwadzieścia a nawet i wszystkie szóstki niżej milionów... Jakieby papa kochany przeznaczenie sześćdziesięciu sześciu milionom złotych polskich nadać pragnął?...

— Gdyby mojemi były?...

— Nie... Gdyby były... ot... tak... w zamku zaczarowanym do wzięcia...

— Za cyrografem na duszę?...—zapytał podkomorzy, tonem żartu gorzkiego.

— A nie!... Za cyrografem, ale nie na duszę, a na serce...

— Moje serce na lichaby się nie przydało... zwiędło... Moja pani i ty nie macie serca do rozporządzenia... zacyrografowane... Jeden Karol chyba...

— Trafia papa kochany!...—zawołała księżna wesoło.

— Nie wiem co, ani w co...

— Papa nie byłby przeciwko temu, żeby Karol serce zacyrografował i sześćdziesiąt sześć milionów wziął?...

— Hm...—mruknął podkomorzy i ramionami ścisnął.

— Proszę czytać...

Księżna wręczyła ojcu list. Podkomorzy okulary włożył i list z uwagą od początku do końca przeczytał. W czasie czytania po twarzy jego przesuwały się odblaski uczuć różnych. Czoło raz rozpogadzał, znów marszczył, policzki ruszały się drganiem konwulsyjnem. Skończywszy czytanie, list złożył, westchnął i córce go podał.

Podkomorzyna patrzała na męża pilnie i uważnie, a z niejaką iskrzystością w oczach.

Księżna zapytała:

— Cóż papa kochany na to?...

— Chwała Bogu... Byłoby doskonale, gdyby na dnie tego nie leżało wezwanie o pieniądze, których ja dać niemogę...

http://rcin.org.pl

Na to padły dwa okrzyki oburzenia, jeden z ust podkomorzyny, drugi z ust księżny i zabrzmiało razem:

— Marcinie!... Papo!...

Nastała chwila milczenia, które przerwała podkomorzyna...

— Nie rozumiem... Gdyby ktoś z boku to słyszał, wiedząc o co chodzi, pomyślałby, żeś jest wrogiem syna własnego... Zgubisz go, jeśli mu usuniesz ręki w chwili, kiedy największej potrzeba forsy!... Żeby coś podobnego odpowiedzieć, potrzeba, doprawdy, być ojcem bez wnętrzności!...

Podkomorzy głowę opuścił.

— Potrzeba Boga w sercu nie mieć!...

— Nie mogę...—westchnął podkomorzy.

— Potrzeba wstydu, czoła nie posiadać w obec mnie, com tyle dla dzieci złożyła poświęcenia, com wszystkie spełniła ofiary!...

— Spełń więc jeszcze jedną...—odezwał się podkomorzy, głosem udawanego spokoju, głowę podnosząc.

— Jaką?...—zapytała podkomorzyna tonem zdumienia najwyższego.

— Pozwól posłać Karolowi z posagu twego...

— Broń Boże!...—krzyknęła podkomorzyna, ręce podnosząc.—Broń Boże!... To fundusz święty i nietykalny!... Ach! (usta jej i oczy zaśmiały się wyrazem ironii)... Przychodzi mi nieledwie dzień urodzenia własnego przeklinać... Proszę!... to na to ja wyszłam za niego, na to się dzieciom jego na służebnicę oddałam, na to życie całe jedną długą ofiarą żyłam, ażeby mi on, na starość, propozycyę taką w oczy cisnął?... To niegodnie!... to haniebnie!...

Podkomorzy chciał wstać. Podkomorzyna przed nim stanęła.

http://rcin.org.pl

— Cóż!...—zawołała.—Cóż?... Chcesz albo mnie ogołocić ze świętej po świętej pamięci rodzicach moich pozostałości, albo Karola zgubić?...

Podkomorzy wstał.

— Cóż?...

— Pozwól mi odejść...

— Dokąd?... po co?... Czy po to, żeby nie słyszeć głosu matki, broniącej sprawy dziecka własnego?...

— Po to że eby... dla księżnej i dla Karola pieniądze przygotować...—westchnął.—Ha! niech się dzieje wola Boża..

Podkomorzyna dostała drżenia spazmatycznego.

Księżna ostatnie wyrazy ojcowskie okrzykiem radości i klaskaniem w dłonie przyjęła. Rzuciła się ojcu na szyję, w twarz go całowała i pod brodę głaskała, przemawiając do niego słodkim głosem:

— Papo!... papunieczku!... papusiu!...

http://rcin.org.pl

X.

Była więc racya w gadaninie, przypisującej zgryzotom śmierć podkomorzego. Zgryzoty oddziaływują na organizm ludzki bardzo silnie, podkopują zdrowie i śmierć sprowadzają. Słyszeliśmy to od lekarzy, do których świadectwa odwołujemy się w tym względzie, odsuwając w ten sposób odpowiedzialność za gadanie, tak od siebie, jako też od licznych sąsiadów, przyjaciół i znajomych nieboszczyka. To pewna, że zgryzoty były rzeczywiste. Podkomorzy tej nawet nie doznał pociechy, żeby umierać, patrząc na dzieci własne. Ani księżnej, ani pana Karola nie było przy jego zgonie. Z wieczora przyjął sakramenta z rąk księdza Celowicza; nazajutrz oczy jego nie oglądały już światła dziennego. Z rodziny najbliższej towarzyszyli mu na miejsce wiecznego spoczywania: żona i zięć.

O! bo książe Godfryd nie dał się już do Paryża namówić.

Księżna pojechała sama i powróciła z bratem dla nowej żałoby, która dotykała zarówno ją jak pana Karola.

Powrócili dla żałoby—zapewne. Okoliczności się w taki zbiegły sposób, że racya ta wysuwała się naprzód i dominujące zajmowała stanowisko. W powrocie ich jednak tkwiła tajemnica jakaś, pozostająca pomiędzy niemi dwojgiem. Przybyli niby rozbitki, na brzeg ojczysty wyrzucone, księ-

http://rcin.org.pl

żna do Krasiłowiec, pan Karol do Ohrebyszcz i nie rwali się z powrotem do Paryża. Matka przygarnęła ich do łona—zwyczajnie jak matka. Pierwszych dni kilka upłynęło bardzo dobrze; zapełniły je wynurzania wzajemne, po których nastąpiły konferencye, tyczące się interesów. Pan Karol zabrał się do rozpatrzenia się w takowych.

Rozpatrywał się.

Upłynęło tygodni parę.

— Hm...—rzekł razu pewnego do matki.—Wyznać potrzeba, że papa nieboszczyk pogmatwał interesa znakomicie... Majątek zadłużony... Zaledwie zdołałem uporządkować papiery, jako tako...

— I źle?... całkowicie źle?...

— To jest... nie dobrze... Krasiłowce *flambés*...—rzekł z wyrazistym giestem—ale w Ohrebyszczach można się jeszcze trzymać... Wezmę no się ja do interesów energicznie...

— Nieboszczyk i ja liczyliśmy na ożenienie twoje, najprzód z donną Maryą Ludwiką Anielą da Ruiz da Mendoz da Cordoba, księżniczką brazylijską, następnie...

— Hm...—przerwał pan Karol.—Mamie się zdaje, że zysk jaki... jakikolwiek, dobre ożenienie naprzykład... osiągnąć się da bez nakładu odpowiedniego... Nakład jest to oliwa w lampie... Jak lampa gaśnie, gdy oliwy zbraknie, tak zysk przepada, gdy nakładu nie stanie... Zagranicą nie to co u nas... Byłem już blizko... Sięgałem już po miliony i...

Zakończył giestem.

— A gdybyś ty tu oglądnąć się zechciał?...—zapytała matka.

— I ja o tem myślę, mamo kochana...

— O! mój Karolu...

http://rcin.org.pl

— Jest to sposób najpewniejszy wyjścia z interesów.. Wezmę sobie jakąś srokę z posagiem doniosłym, popłacę długi papine i będzie dobrze...

— Nie uwierzysz, jak mi tem serca dodajesz...

— *Qu'à cela ne tienne*, mamo kochana... Mnie się zdaje, że nie zasłużyłem niczem na postradanie serca maminego.

— A czyż ja to mówię!... Nie zrozumiałeś mnie... Powiedzieć chciałam, że mi otuchy dodajesz...

— Zajmę się teraz seryo... Trzeba fortunę odreperować i poważnie w obywatelstwie stanąć... *Noblesse oblige*... Ciekawym, kiedy to jarmark w Bałcie?...

— Toś nie zapomniał o jarmarkach naszych?...

— Mógłżem zapomnieć!... Przypomniałaby mi krew Gustawa!...

— *A propos*...—podchwyciła podkomorzyna.—Gustaw żyje...

— *Tiens*?... Wylizał się?...

— Żyje... Widziałam go zdaleka... Zajmuje się pełnomocnictwami jakiemiś, jakiemiś kupnami, sprzedażami... mieszka w Odessie... zyskał wziętość niemałą... Słyszałam o kilku, co z nim interesa mieli...

— Jeżelibym się z nim spotkał, to, *de bonne guerre*, wypadałoby mi poprawić...

— Zlituj się, Karolu!...—złożyła podkomorzyna dłonie.

— Niech mama będzie spokojna... Żartowałem... Ustatkowałem się przecie, kiedy myślę o ożenieniu i interesach... Niech on sobie żyje... Jak wówczas nie miałem najmniejszego w tem interesu, ażeby go ze świata zgładzać, tak i dziś nie mam... A pani Olecka?...

— Gdybyś był nie odjeżdżał, a Olecki za każdem co mu się narodziło dzieckiem na kuma cię prosił, tobyś był ojcem chrzestnym razy siedm...

http://rcin.org.pl

— Winszuję!... O to mi po szlachecku!..

Dobre intencye, jakie pan Karol matce objawił, dobre rokowały następstwa. Interesa ohrebyskie znajdowały się w tym stanie, że ratunek majątku nie przedstawiał się bynajmniej jako niemożliwość. Długi wprawdzie wyrównywały prawie wartości, ale procenta, jakie ziemia dawała, sformować mogły kapitał amortyzacyjny, przy pomocy którego oczyszczenie majątku nastąpićby mogło w przeciągu lat piętnastu, dwudziestu, bez wysiłków najmniejszych, tylko sposobem gospodarstwa rządnego. Majątki szlacheckie w epoce owej—nie tak dawnej, żebyśmy jej za spółczesną uważać nie mieli—były bardzo poczciwe. Kto chciał fortunę zrobić, nie potrzebował jak tylko powierzyć się ziemi. Fortuna robiła się sama; grosz do grosza przybywał, i gromadził się kapitał, który się napraszał do ziemi. Rządność stanowiła całą w gospodarstwie sztukę. Na niej opierało się i od niej zależało wszystko, a była ona tak dla obywatelstwa względną, że zostawiała mu cały do opamiętania się czas. Majątki czekały na rządność lata całe. Obdłużone, zaszargane, trzymały się, pełne sił żywotnych, których jeno nadużywać nie należało. Upadek większej części fortun, większych i mniejszych, jest dziełem nierządu, winą własną obywateli.

Ohrebyszcze, obdłużone prawie w zupełności, a nawet i Krasiłowce, obdłużone zupełnie, można było dźwignąć jeszcze, nie używając do tego sposobów żadnych innych tylko rządności, która czekała. Nic nie nagliło. Niedogodność cała na tem polegała, że kredyt podupadł i odłużanie nad wartość wielce się utrudniło, pomimo, że niemożliwością absolutną nie było.

Dobre pana Karola intencye, dobre—jak rzekliśmy wyżej—rokowały następstwa. Należało tylko z intencyj

http://rcin.org.pl

tych rzecz jedną wyrzucić, a to: ratowanie się za pomocą ożenienia. Cóż jednak! Czy to wiele znajdowało się domów takich, w których to dziwaczne panowało przekonanie, że synowie nie na to jedynie na świat przychodzą, ażeby dobrą robili partyę? Wiele to było takich ojców dziwaków i takich matek dziwaczek, coby synom inny cel życia wytykali? Dobra zaś partya—co to znaczyło? Może nie posag?

Posażna panna stanowiła pewien rodzaj premii, podobnej do tej, jaką, w czasie igrzysk ludowych zawieszają na szczycie masztu łojem wysmarowanego. Drapią się po nią ulicznicy, nosy sobie rozbijając, aż jeden, w lędźwiach najsilniejszy, na szczyt się dostaje i premię chwyta. Gawrony brawo mu dają.

W okolicy Ohrebyszcz znajdowała się premia tego rodzaju, pod postacią panny na wydaniu, bardzo bogatej—posag jej obliczano na milionów kilka—i bardzo brzydkiej, dalekiej jakiejś podkomorzyny krewnej. Zdobiły ją, śliczny majątek ziemski i kapitały w gotówce, nie licząc jeszcze czegoś, o czem później powiemy. Podkomorzynie przyszła ona na myśl, jak tylko pan Karol z intencyami swojemi wystąpił; nic mu jednak nie wspomniała, bojąc się go zrazić, ofiarując mu od razu na towarzyszkę dozgonną, kobietę garbatą. W dni atoli kilka później, w obecności księżnej, odezwała się od niechcenia:

— Mam ochotę do Dębskich z wizytą pojechać...

Pan Karol spojrzał matce bystro w oczy i roześmiał się:

— Cha, cha... Rozumiem mamę kochaną...

— Cóż?... Cóż rozumiesz?...

— Mamy wizyta ma znaczenie preliminaryów do punktów przedugodnych...

— Zkądże domysł taki?...

— Ztąd, żeśmy się dotychczas od Dębskich zdaleka

http://rcin.org.pl

trzymali, pod pretekstem odległości o mil cztery... To więc raptowne usunięcie pretekstu daje mi do myślenia...

— Dębski był na ojca twego pogrzebie...

— To znaczy, że i mnie wypada złożyć mu wizytę z podziękowaniem...

— Wypadałoby... — odparła podkomorzyna z uśmiechem.

— I być bardzo grzecznym dla garbatej kuzyneczki?...

— *Quelle idée*!...—zawołała księżna.—Wszak to potwór!... Czyżby Karol, mamo?...

— Karol—podchwycił pan Karol sam, przerywając siostrze—trzyma się reguł tej etykiety, która piękność panny na wydaniu mierzy posagiem...

— Miałżebyś odwagę pojąć kuzyneczkę brzydką jak grzech śmiertelny?...

— Najprzód... — odparł podkomorzyc sentencyonalnie—uważam za przesąd mniemanie, jakoby grzech śmiertelny być miał brzydkim... Powtóre, co się odwagi tyczy, mam nietylko odwagę, ale nawet wielką ochotę... ochotę niepowściągnioną... którą uczułem w sobie nagle i niespodzianie, jak tylko mama nazwisko Dębskich wymieniła...

— O, mój Karolu!...—odezwała się podkomorzyna, ręce do syna wyciągając.—Zachwyca mnie w tobie ta gotowość do ofiary...

— Niechże mama tylko ofiarą tego nie nazywa!...—zaprotestował pan Karol.

— Jest to ofiara, jak sobie chcesz... Dość porównać Ewunię i ciebie... Ty w sile młodości, piękny, świetnie wychowany, gruntownie wykształcony...

— Zgrany, jak skrzypce...—wtrącił pan Karol.

— Ograny, jak instrument wartości wysokiej...—poprawiła matka.—Ona zaś... istota upośledzona...

http://rcin.org.pl

— Czy i na umyśle?...—zapytał syn nagle.

— Tego nie wiem...—odpowiedziała podkomorzyna.— Słyszałam o wychowaniu starannem, jakie jej, jakoby dawano, nie znam jednak bliższych wychowania tego szczegółów... Ojciec woził ją za granicę... Dębski, jak wiesz, uchodzi za uczonego... żeby więc co za granicą skorzystać mogła, nie przypuszczam...

— Byłoby to nie źle, gdyby kuzyneczka upośledzoną była na ciele i na umyśle...—zaczął podkomorzyc—w takim bowiem razie możnaby, w rzeczy samej, staraniu memu nadać pozór ofiary, coby staranie ogromnie ułatwiło... Wystąpiłbym, jako naturalny opiekun, poświęcający się dla nieszczęśliwej, posagiem utrapionej... Byłoby to *piquant*...

— Zobaczymy...—odrzekła podkomorzyna. — Jedziemy więc?...

— Jedziemy, mamo kochana!...

— Kiedy?...

— Kiedy się mamie podoba... dziś... jutro... pojutrze... mnie to wszystko jedno... Nie zważam na dnie feralne, przekonałem się nawet, że w dnie najferalniejsze miewałem powodzenie najlepsze, zwłaszcza z płcią piękną...

— Nie czyńże płci pięknej krzywdy...—wtrąciła księżna żartem.

— Jakiej?...

— Zaliczając do niej Ewunię Dębską...

— Zawszeż ma z nią ona styczność niejaką... Nie mogę przynajmniej inaczej brać jej ja, zamierzający o jej rękę zabiegi czynić... Muszę ją stawiać na równi z najpiękniejszemi, i dla tego gotów jestem z pierwszą do niej wizytą wybrać się w dzień feralny... w poniedziałek... Przystaje mama na to?...

— Nie... jedźmy raczej we wtorek...

http://rcin.org.pl

— Dobrze... Jedziemy tedy we wtorek... Kareta, sześć koni... Czy ja z mamą w karecie?... czy też osobno, powozem odkrytym, piątką?...

— Mnie się zdaje...—odparła podkomorzyna—jedźmy razem, ty ze mną w jednej karecie... Znam Dębskiego.. Ma on swoje niektóre dziwaczne poglądy... Rozumny człowiek...

Pan Erazm Dębski, był w rzeczy samej, rzadkim egzemplarzem szlachcica, posiadającego i rozum i naukę. Unikat w swoim rodzaju. Połączenie rozumu z nauką uczyniło go człowiekiem postępu, konserwatystą wolnym od owego ćwieka we łbie, dzięki któremu konserwatyzm w ogólności polega na tem głównie, ażeby ludzie, pod sztandarem onego się szykujący, zatykali sobie uszy palcami i zamykali oczy. Dla takich wszystko stoi, najbardziej zaś nauka, posiadająca własność popychania wszystkiego naprzód. Dla tego też konserwatyści uczeni są najzawziętsi, pod względem zatykania uszów i zamykania oczów. Nic widzieć ni słyszeć nie chcą, krzycząc jeno, że nie rozumieją... nie rozumieją! Uczonymi są, a nie rozumieją! Wywiera to wpływ niemały na ogół, który uczonym nie będąc, obowiązanym się niejako czuje także nie rozumieć rzeczy często jasnych jako słońce. Biedny ten ogół! Gdyby nie konserwatyzm z ćwiekiem we łbie, o ileż to łatwiej byłoby ideom postępowym rozlewać się i umysły zapładniać!

Żałujemy mocno, że, nie mogąc przerywać nici powieściowej, znajdujemy się przez to w niemożności wykazania konserwatyzmu bez ćwieka we łbie—konserwatyzmu postępowego, to jest takiego, który rozumie potrzeby, pojmuje hasła, wnika w przyczyny, bierze na rozwagę, nie przywiązuje się do wyrazów, szuka rzeczy i płynie z wodą a stanowi pewien rodzaj modyfikatora przeciwko powodziom.

http://rcin.org.pl

Pod sztandarem konserwatyzmu tego szedł (nie stał) pan Erazm Dębski, człowiek bardzo zamożny, bez ćwieka, to prawda, ale za to z maleńkim zajączkiem w głowie. Zajączek zależał na tem, że się mało udzielał. W sąsiedztwie nie bywał prawie. Udziału w życiu obywatelskiem nie brał. Nie zamykając się, żył jednak w odosobnieniu, pochodzącem ztąd głównie, że nieharmonizował z życiem, manifestującem się dwojako: za pomocą wierzgania do promieni pokazujących się w ciemnościach i za pomocą bryzgania szumowinami. Nie podobało się mu to i nie brał w tem udziału, przekładając... chociażby samotność nawet. Miał zamiłowanie w pracy—i to właśnie stanowiło główną zajączka jego istotę, cechującą go piętnem dziwaka, półwaryata, „uczonego durnia“, ekscentryka. etc. etc. Szlachcic, pan—„urodzony“ przez wielkie U—i rozmiłowany w pracy!

Miał zajączka.

Dzięki zajączkowi temu, w rozległych włościach jego panowała rządność jak największa, której włościanie zawdzięczali dobrobyt racyonalny, to jest dobrobyt, będący dziełem ichże samych, posiadali bowiem zupełny samorząd gminny, z sądem, ze szkołami, z kassą oszczędności, z bankiem zaliczkowym, w doprowadzeniu do czego pan Erazm pełnił funkcyę podniety. Chłopi odrabiali pańszczyznę—powieść nasza do pańszczyźnianych odnosi się czasów—bez szykan jednak i nadużyć, z powodu, że władza nadzorcza i władza wykonawcza spoczywały w ich rękach, stanowiąc łącznik pomiędzy administracyą majątku a robocizną, braną w znaczeniu kapitału, mogącego jeno funkcyonować dobrze w warunkach odpowiednich swobody, samoistności i światła. Na tem polegała rządność. Gospodarstwo szło jak zegarek. Chłopi wbijali się w zamożność; dochody właściciela dóbr rosły jak na drożdżach—sąsiedzi pomawiali pana

http://rcin.org.pl

Erazma o zajączka w głowie, którą on meblował ustawicznie wiadomościami, zbieranemi na rozlicznych polach umysłowej pracy ludzkiej. W tym względzie był on nieco encyklopedystą. Starał się wiedzieć o wszystkiem. Utrzymywał pisma peryodyczne różne i przeglądy naukowe prawie wszystkie, skupował dzieła i śledził pilnie za ogólnym pochodem postępu, który uznawał za prawo najwyższe i za potrzebę najniezbędniejszą ludzkości.

Nie dziw przeto, że się z sąsiadami porozumieć nie mógł.

Posądzano go nawet potrosze o farmazonizm, a to dla tego, że przesądów, nie mających racyi większej nad tę, że je tradycya przekazała, dla tak zwanej przykładności nawet, nie uznawał i nie praktykował, stawiąc wyżej nad tradycyę swobodę sumienia.

Słowem, był to człowiek postępowy, w znaczeniu całem i pod względem każdym, nie wyjmując względu na córkę jedynaczkę, co do której dziwactwo jego występowało w całym blasku—gdy ta bowiem na świat przyszła, powiedział:

— Ponieważ będzie miała posag wielki, potrzeba przeto, żeby posiadała rozumu jak najwięcej...

Co powiedział, tego dotrzymał.

Trzymał do Ewuni ochmistrzynię, co nad nią czuwała, ułożył program jej edukacyi i dobierał dla niej nauczycieli jak najlepszych i jak najbardziej seryo. Mógł sobie na ten zbytek pozwolić i musiał się do środka tego uciec z dwóch powodów: raz, był bogatym, powtóre ani się śniło komu o zakładach publicznych, w którychby kobiecie wolno było umysł wiedzą zbogacać. Zakłady dla kobiet miały za zadanie wiedzę ograniczać, zmieniając ją w służbę uniżoną fantazyi, kulawą, ślepą i leniwą, która wlokła się za panią iskrzystą czas jakiś i w końcu ją opuszczała—w końcu, to jest wówczas właśnie, kiedyby najprzydatniejszą była, kie-

http://rcin.org.pl

dy elewka pensyi świeckiej lub klasztornej obywatelką i matką zostawała. Dla tego więc, żeby jedynaczki swojej na coś podobnego nie narazić, otoczył ją pan Erazm nauczycielami, którzy ją nauczali seryo, według programu, i gdy program wykonali, obwoził ją po kraju własnym i za granicą, gdzie wraz z ojcem uczęszczała na wykłady professorów znakomitych, zwiedzała biblioteki, zbiory, muzea, galerye, pamiątki dziejowe sztuki, zakłady, teatra, piękności natury, słowem wszystko, co się jeno do zbogacenia umysłu przyczynić mogło. O tem, że ułomna, pan Erazm, zdawało się, jakby wcale nie wiedział. Nie obchodziło go to. Ewunia zaś sama, do dwudziestego pierwszego roku życia swego miała umysł tak zajęty, że do myślenia o garbie swoim czasu jej nie pozostawało. Co tam garb!... w porównaniu z temi zadaniami, które jej nauki nastręczały.

Powróciła do domu już od roku, i zostawiona samejsobie, porządkowała w głowie materyały, przygotowując się do zużytkowania takowych na miejscu, w zakresie obywatelskim pani wielkiej fortuny.

Sam ojciec nasunął jej na myśl zamążpójście.

— Jeżeli się kto trafi...—odrzekła.

— Czemużby się trafić nie miał?...

— Ja garbata...

Pan Erazm ręką machnął, jakby powiedzieć chciał: to rzecz najmniejsza—i odrzekł:

— Zgłoszą się po fortunę twoją, trzeba więc żebyś była ostrożną...

W kilka dni później przed dwór w Dębsku zajechała kareta, wioząca podkomorzynę i podkomorzyca.

Kuzynkowie—panna Ewa i pan Karol—nie znali się wcale. Nie znali się i pan Erazm z panem Karolem. Matka eprzdstawiła syna, a zarazem wyraziła, że powodem najwa

http://rcin.org.pl

żniejszym, jaki go sprowadza, jest złożenie panu Erazmowi podziękowania za obecność jego na pogrzebie podkomorzego.

— Dowiedziawszy się o tem, Karol chciał jechać sam do pana, kochany panie Erazmie, lecz i ja nie mogłam powstrzymać się od gorącej chęci towarzyszenia mu. Macie więc nas oboje...

— Co mi wielką sprawia przyjemność...—podchwycił pan Erazm.—Mało kto łaskaw na nas... Dwór dębski otacza interdykt niby, pomimo, że tak dla siebie, jak zwłaszcza przez wzgląd na Ewunię, bardzo rad jestem, gdy nas kto odwiedzi...

Pierwsze wrażenie wiele stanowi, zależy zaś całkowicie od przedstawienia się. Pod tym względem, pan Karol nabył wprawy wielkiej, która przy odznaczających powierzchowność jego zaletach, zapewniała mu powodzenie na pierwszym wstępie. Męzkiej postawy, bardzo przystojny, śmiały, pewny siebie, nie podobać się nie mógł. Kuzynka pogarnęła się do niego.

— O jakżem rada!... Namówię ojca, żebyśmy jak najprędzej rewizytowali kuzynka...

— Kuzyneczka sprawi tem mnie i mamie mojej radość niewysłowioną...

— Jakże się to stało, żeśmy się dotychczas nie znali?...

— Zbieg okoliczności spotęgowany odległością... Cztery mile ogromne...

— A przytem rzecz ważna... brak czasu... Kuzynek zapewne był zajęty?...

— Po części...—odparł pan Karol.—Przebywałem czas jakiś za granicą...

— I ja za granicę jeździłam...—podchwyciła panna

http://rcin.org.pl

Dębska tonem, w którym czuć się dawała chęć pochwalenia się.—O, jeździłam... Gdzież też kuzynek bawił najdłużej?...

— W Paryżu...

— I ja w Paryżu... Co też to za miasto, co do ressursów niewyczerpane!... Ileż się tam nauczyć można!... Jak do wszystkiego przystęp ułatwiony!...

— Tak, jedyne w swoim rodzaju miasto... Byłem jednak we Włoszech, w Szwajcaryi i w Niemczech...

— W Niemczech?... na którym uniwersytecie?...

— Na... hm... Na paru, kuzyneczko... Co za dobre niemieckie... uniwersytety!...

Dla pana Karola kwestya ta była wilkiem żelaznym. Uniwersytety niemieckie tak mało go obchodziły, że słyszał wprawdzie iż istnieją, ale aniby potrafił wymienić choć jedno z miast, w których się znajdują zakłady tego rodzaju, ani też zdefiniować znaczenie i zadanie uniwersytetu. Z zakładów naukowych znał bliżej nieco Akademię nauk w Paryżu, z powodu, że razy parę obecnym był na posiedzeniach, na których bywał świat elegancki. Zdarza się to, gdy do grona czterdziestu wstępuje członek nowy, posiadający wziętość nie wyłącznie naukową. Prędko więc, oddawszy pochwałę uniwersytetom niemieckim, zwrócił rozmowę na akademię, biorąc za punkt wychodni posiedzenie, na którem był obecny i męża uczonego, który był przyjmowanym. Starał się utrzymać tę treść jak najdłużej. Kuzynka z zajęciem słuchała opowiadania jego, przeplatanego uwagam dowcipnemi. Wizyta pierwsza skończyła się.

Rewizyta Dębskiego z córką nastąpiła nieprędko, tak, że podkomorzyna tracić już poczynała nadzieję, ażeby co z tego było, pomimo, że winszowała synowi wrażenia, jakie na kuzynkę wywarł. Pomimo wrażenia tego, rok prawie upłynął bez znaku życia ze strony Dębska. Pan Karol

http://rcin.org.pl

tymczasem interesa prowadził, zostawiając wszystko *in statu quo* i poszukując rozrywek, zdolnych urozmaicić monotonność żywota, oddanego próżniactwu całkowicie. Rozrywki tego rodzaju znajdują się nie gdzieindziej, jeno na jarmarkach i kontraktach. Pan Karol, paryżanin, cięty w języku, zuchwały w poniterce, śmiały w wysuwaniu się naprzód, od razu zajął stanowisko koryfeusza wśród młodzi obywatelskiej, znalazłszy w koryfeuszostwie tem jeden z kanałów odpływowych do puszczania resztek fortuny.

Państwo Dębscy (ojciec i córka) nie zastali pana Karola w Ohrebyszczach. Zastali za to księżnę, która z panną Ewą znajomość zabrała—znajomość dobrą, panna Ewa bowiem, znając sposób wychowania kobiecego, nie wyciągała kuzynki na rozmowy, przekraczające zakres pospolitych błahostek. Opera i parę poglądów na życie dostarczyły treści obfitej, tembardziej, że księżna, w zapatrywaniach się swoich, okazywała pewną zgryźliwość zaprawną sarkazmem bajronowskim. Panna Ewa znajdowała to niezupełnie sprawiedliwem. Broniła ludzi i świata, konkludując w duchu, że kuzyka doznać na sobie musiała ciosów owych, za które obwiniamy innych, podczas gdy je sprowadzamy sami i obwiniać powinnibyśmy siebie.

— Nieszczęśliwa...—powiadała o niej ojcu za powrotem do Dębska.

— Ofiara próżności...—była odpowiedź pana Erazma. Chora... Chorobę zaszczepiła jej matka...

— A pan Karol?...—zapytała garbata z akcentem spółczucia.

— Czy czujesz do niego pociąg jaki?...

— Nie... On dla mnie zanadto piękny...

— I zarazem zanadto brzydki, dzięki skrzywionemu wychowaniu... I on chory...

http://rcin.org.pl

— Czy nie do uleczenia?...

— Nie wiem...—odparł pan Erazm. — Sprobuj, lecz go... Jeżeli ci się kuracya uda, możesz z nim zespolić się węzłem małżeńskim, którego zawiązanie od ciebie zależy...

— Zkądże to ojciec wnioskuje?...

— Z niezwykłej czułości dla mnie i dla ciebie podkomorzyny... Może się jednak mylę...

Panna Ewa milczała przez chwilę. Po chwili odezwała się:

— Szkoda ich jednak... Pan Karol i księżna... tacy piękni oboje!...

— Piękni...—odparł pan Erazm.—Podobni do waz etruskich, w którychby trzymano nie ambrozyę a pomyje...

— Pomyje wylać można, wazy obmyć czysto i ambrozyą je napełnić...—podchwyciła garbata panna Ewa.

— Sprobuj... tylko, w rodzaju ostrzeżenia mówię ci: nie ryzykuj się...

— Co do tego, bądź ojcze spokojny... Mam serce opuklerzone, wiem, że kochanie nie poprzedzone przez szanowanie jest wydmuchem piankowym, smakującym tym jeno, co mają smak, albo jeszcze niewyrobiony, albo już zepsuty...

Próba ciągnęła się długo, pomimo, że pan Karol bardzo prędko do Dębska zawitał, przybywając z przeprosinami, za to, że w domu nie był, gdy pan Erazm i panna Ewa do Ohrebyszcz przyjeżdżali, i z wymówkami, za to, że pan Erazm i panna Ewa tak rewizytę zwlekali. W obchodzeniu się panny Ewy z panem Karolem zaszła zmiana niejaka. Nie wyrywała się już z zapytaniem naiwnem o unitewersyty niemieckie, jakby wiedziała, że kwestya ta obcą dla kuzynka była, ale postępowała tak, że zdawało się, jakby kołatała do głowy pana Karola, wołając: otwórz się! Z tego po-

http://rcin.org.pl

wodu, panowało pomiędzy niemi nieporozumienie ustawiczne. Ona kołatała do głowy, on pukał do serca. Krzyżowali się więc i rozmijali. Panna Dębska wysuwała naprzód, niby na szachownicy, pierwiastki wiedzy, usiłując podkomorzyca pojmać na takowe i świat nowy przed nim otworzyć; podkomorzyc wysyłał z punktów różnych podjazdy sentymentalne, starając się podchwycić i uwikłać serce biednej ułomnej.

— *J'ai beau jeu*...—powiadał matce.—Nikt mi nie przeszkadza... Spółzawodnictwo nie istnieje... Rzecz cała w tem, że Ewunia lęka się uczucia, jakie w niej obudziłem, nie ufa miłości, którą jej ofiaruję i potrzeba ją przekonywać... Gdyby ułomną nie była, poszłoby to piorunem... Ułomna, a przytem wychowana dziwacznie, trudną jest do wzięcia odrazu...

— Widzę to, niestety...—zauważyła matka.

— I ja to widzę, ale nie zrażam się wcale... Posag jej tak uważam, jakby w mojej był kieszeni... Nudzi mnie tylko to, że ona do Sasa, ja do lasa... ile razy rzecz zaczynam w sposób taki, ażeby do deklaracyi doprowadzić, tyle razy ona wprowadza materyę o urokach nauki, rozkoszach wiedzy, bierze jakiś przykład i prawi *à dormir debout*... Co toby była za straszna żona, gdybym nie posiadał z góry prezerwatywy małżeńskiej!... Co ten Dębski myślał sobie dając takie oryginalne córce wychowanie!...

— Zwyczajnie... dziwak...

— Proszę wyobrazić sobie, jak mnie Ewunia w czasie ostatniej mojej w Dębsku bytności bawiła!... Pokazywała mi sztuczki różne z magnetyzmem na przyrządach, znajdujących się w gabinecie pana Erazma... Istne kuglarstwo!... Pan Erazm, mówiąc nawiasem, pokazuje to chłopom i tłumaczy im bardzo seryo prawa fizyczne... Śmiech zbiera,

http://rcin.org.pl

patrząc na to!... Ewunia ma tem umysł zaprzątnięty, nie dziw przeto, że w sprawie miłosnej idzie z nią jak z kamienia... Ale... hm... pokora, powiadają, niebiosa przebija; ja zaś przebiję niebiosa cierpliwością... *Diantre*!... dokażę swego...

— Postanowienie twoje mocno mnie cieszy...—były słowa podkomorzyny—chociaż, prawdę wyznam, takie długie prowadzenie sprawy ożenienia wydaje się czemeś nadzwyczajnem... Od kiedyż to, proszę ciebie?...

Podkomorzyna z synem obliczać poczęli i doliczyli się lat sześciu.

To znaczy, że panna Ewa Dębska, przez lat sześć próbowała nadaremnie z wazy etruskiej pomyje wylać.

To znaczy, z drugiej strony, że pan Karol przez lat sześć starał się nadaremnie uwikłać serce... „biednej ułomnej.“

Obrachunek lat zastanowił podkomorzyca.

Matka zaczęła mu wyliczać zmiany, jakie od czasu onego zaszły. Ten się ożenił i ten się ożenił, ta za mąż wyszła, ten umarł i ten umarł. W liczbie tych ostatnich wymieniła księdza Korskiego, a nie wymieniła podstolica, którzy razem prawie ze świata tego niepostrzeżenie zeszli w sposób zupełnie jednakowy. Dopaliła się oliwa—starość ich do grobu wtrąciła: ksiądz liczył sobie lat dziewięćdziesiąt kilka, podstolic liczbę stracił, posądzano go o przeżycie stulecia. Owóż zejścia tego, podkomorzyna, wyliczając zmiany zaszłe od czasu, jak pan Karol rozpoczął o Ewunię konkurować, nie wymieniła. Pan Karol omyłki tej nie sprostował. Wzruszył jeno ramionami i westchnął, mruknąwszy coś pod nosem sam do siebie.

Upłynęło tygodni kilka, w ciągu których wizyty pana Karola w Dębsku powtarzały się częściej jak zwykle.

http://rcin.org.pl

Razu pewnego, powróciwszy od pana Erazma, wszedł żywo do salonu i rzucił matce zapytanie następujące:

— Czy wie mama kochana, kto mi w drogę wchodzi?...

— Kto?... nie wiem...—odparła podkomorzyna zmieszana.

— Założyłbym się o dziesięć, o sto, o tysiąc przeciwko jednemu, iżby mama nie odgadła... Jest to bowiem coś, co wszelkie przechodzi pojęcie...

— Któż taki?...

— Gustaw!.

— Jezus Marya Józefie święty!...—krzyknęła podkomorzyna.

— Prawda, że przysmak?...

— Ależ, czy to podobne!... Cóż?... stara się?...

— Nie stara się...

— A więc?...

— Wygląda tak, jak gdyby kuzyneczka garbata zamierzała sama o pana Gustawa się starać...

— Któż ci to powiedział: pan Erazm czy ona?...

— Ona sama... Oświadczyłem się jej, formalnie, szykownie, zginając kolano, wznosząc oczy, odwołując się do jej pięknej duszy, zaprzysięgając z góry szczerość słów, czystość intencyi, a ona mi na to, najprzód kazanie wypaliła o obowiązkach obywatelskich, następnie pod przenośnią harbuza dała, w końcu głosikiem flotrowersowym oświadczyła, że do ścia za mąż wstrętu nie ma, ale nie zna jeszcze nikogo, komuby rękę swoją z ufnością oddała, z wyjątkiem jednego Gustawa...

— Ah, to kara bozka!...—westchnęła podkomorzyna.

— Ha! miałem racyę, domagając się pistoletów ciągnionych... To ten duda, Olecki, winien wszystkiemu...

http://rcin.org.pl

Sekundował mi, przystał na olstrowe, kalibrowe... no!... ot i mam teraz za swoje...

— Czyż rady już nie ma?...

— Jest, mamo kochana... Jest rada, nawet dwojaka: albo poprawić strzał, który, lat temu nie wiem ile, w Bałcie się nie udał...

Podkomorzyna giest wyrazisty protestacyi zrobiła.

— Albo też—ciągnął podkomorzyc—do interwencyi księżnej się odwołać, i za pomocą wskrzeszenia dawnych ogni, pana Gustawa skompromitować w oczach garbatej... To i księżnęby rozerwało i mnieby potężnie wsparło, dając mi czas do wystudyowania i zapraktykowania pełnienia obowiązków obywatelskich wedle recepty panny Ewy... Ta rada ostatnia lepszą jest i pewniejszą, aniżeli pierwsza...

Podkomorzyna nic na to nie rzekła. Twarzą wydała zniechęcenie i upadek na duchu.

— Nieprawdaż?...—zapytał pan Karol.

— Zapewne...—odparła z westchnieniem.

— Ale...—dodał syn.—Nie obejdzie się tu bez interwencyi, bez ofiary i ze strony mamy kochanej...

— Moje dziecko! czyż ja kiedy od ofiar dla was, dla ciebie się uchylałam?... Gdyby się to na co przydać mogło, pozwoliłabym utoczyć sobie krwi z serca...

— Nie chodzi tu bynajmniej o krew, mamo kochana, o pieniądze... o mizerną mamonę... Papa nieboszczyk zagmatwał interesa tak, że rozgmatwać nie sposób... Kredytorowie naciskają, Boruch procesem grozi i niechby jeno jedna struna pękła na tym instrumencie, który ja przez lat tyle nakręcam, *addio*! Ohrebyszcze... *addio*! nadzieje i widoki wszystkie... *addio*! garbata kuzyneczka... Rzeczy tak stanęły, że cały los mój, cała przyszłość moja na włosku wisi...

Podkomorzyna usta ścięła i całego przedstawienia te-

http://rcin.org.pl

go słuchała z miną poważną, a tak zimną, jakby na trybunale zasiadała w roli sędziego.

— Cała przyszłość moja, cały los mój—ciągnął podkomorzyc, powtarzając wyrazy powyższe, dla nadania im nacisku—zależy od mamy...

Podkomorzyna na to nic.

— Cała przyszłość moja, cały los mój—powtórzył podkomorzyc po raz trzeci—zależy od tego, ażeby mama kochana tę ofiarę zrobiła i pozwoliła podjąć summę posagową na spłacenie długów ważniejszych... Bez tego nie ma środka wyjścia z położenia krytycznego... Boruch grozi...

Podkomorzyna na to nic.

Pan Karol przedstawiał jeszcze i przekonywał, chodząc po pokoju i mówiąc z zapałem, odpowiednim ważności sprawy, nie zdołał jednak z ust matki ani jednego wyrazu odpowiedzi wydobyć. Prawił, wymownie bardzo, o własnym losie i własnej przyszłości, prawił o piękności ofiary, dowodził, że ulokowanie summy posagowej na Ohrebyszczach nadaje jej pewność sto razy większą, aniżeli trzymanie jej na banku i zapewnia procenta donioślejsze—nie powiadając ani słówka o tem, że na rachunek summy tej i on i księżna weksle już wystawiali, eskontując z góry spadek, mający się im dostać po śmierci podkomorzyny.

Podkomorzyna długo milczała. Wreszcie i minę zmieniła i głos zabrała, odzywając się w sposób następujący:

— Ofiarę, jakiej po mnie wymagasz, uczyniłabym chętnie, gdybym miała zamiar w Ohrebyszczach pozostawać...

— Jakto!?...—zawołał pan Karol zdumiony.—Jakimże jest zamiar mamy?...

— Zamieszkać w Odessie, moje dziecko...

— Nic o tem nie wiedziałem!...

— Nie mogłam się zdobyć na odwagę powiedzenia ci tego

http://rcin.org.pl

— Ha!...—westchnął.—Ale... chociażby!... toć mamie kochanej wszystko jedno, czy procenta wypłacać jej będzie bank, czy ja...

— Nie wszystko jedno, ponieważ jest to święta po świętej pamięci rodzicach moich spuścizna, przez szacunek przeto dla popiołów ich nie mogę zezwolić na to, ażeby przechodzić miała w ręce Borucha... Chcę przytem legatów kilka zrobić na uczynki dobroczynne i na kościół odeski, przez wzgląd na to, że fundusz ten święty w Odessie spoczywa... Mam intencyę dom w Odessie kupić... Widzisz więc: chęć moja najszczersza rozbija się o przeszkody nie do przezwyciężenia. Pragnęłabym z duszy serca przyjść ci z pomocą... widzisz?... nie mogę.

Westchnęła głęboko.

Pan Karol stanął na środku pokoju, oczy do sufitu wzniósł, postał tak chwilę, uśmiechnął się i mruknął przez nos:

— Hm...

---

http://rcin.org.pl

XI.

Poprzednio kilkakrotnie wzmiakowaliśmy, że państwu Oleckim dziatwa przybywała i przybywała. Jak komu Bóg szczęści, to i idzie. Ludwiś, pochrzestnik podkomorzyca i księżnej, w miarę jak rósł, coraz to liczniejszem otaczał się gronem rodzeństwa. Wiemy, że posiadał już trzech braciszków i jedną siostrzyczkę w epoce pierwszego księżnej z zagranicy powrotu. W epoce powtórnego powrotu, przyszedł do czterech braciszków i dwóch siostrzyczek. Ostatecznie zaś stanęło na pięciu braciszkach i trzech siostrzyczkach, co, dodane do Ludwisia, uczyniło liczbę nieparzystą dziewięć, wyrażającą ilość dzieci państwa Oleckich a współspadkobierców Frasoblówki, która ani urosła pod względem dochodów, ani też się rozrodziła na wiosek dziewięć. Państwa Oleckich nie frasowało to zbytecznie. Za każdem przybyciem nowego na świat niemowlęcia, pan Olecki powiadał żonie:

— Niech Bóg nie umniejsza...

Za każdem pomyśleniem o losie całej gromady, wyrażał się:

— Dał Bóg dzieci, da i na dzieci...

Przy każdej okazyi, w razie jakowejś wątpliwości, odwoływał się do *dictum*, przekazanego nam w spadku przez naddziadów:

http://rcin.org.pl

— „Niechajno... jakoś to tam będzie...

A tymczasem wszystko to rosło, rosło jak na drożdżach, zdzierając bez miłosierdzia, bez najmniejszego na nic względu, koszulek, sukienek, spodeniek, majteczek, pończoszek, trzewiczków i bucików ilość ogromną. Nastarczyć nie było można. Ojciec oddawał z siebie; matka oddawała z siebie; krawcy krasiłowieccy z domu prawie nie wychodzili, przerabiając, nicując, skracając, sztukując i łatając bez końca i miary.

Życie to, życie—a!

Pan Olecki był to zawsze ten sam, jakim go poznaliśmy, człowiek porządny, kierujący się regułą: „pamiętaj przychodzie być z rozchodem w zgodzie“. Trzymał więc rozchody na wodzy i stosował do takowych przychód, jaki mu się pod postacią dzieci walił.

Zdaje się, że przeciwko temu nie ma nic do powiedzenia.

Pozwolimy sobie w tem miejscu uwagę jedną wsunąć mimochodem. Rodzice obowiązani są zapewnić dzieciom sposób do życia. Tak, czy nie? Owóż tedy państwu Oleckim należało myśleć o tem zawczasu, rozumiejąc pod wyrazami „sposób do życia“, jakiś fach, jakowąś specyalność, którąby każde z ich dzieci z osobna uczyniła pożytecznym społeczeństwa członkiem. Pożyteczność wszelka opłaca się:—ot i sposób do życia. Niechby jeden został stolarzem, drugi rymarzem, inny kowalem, ten architektem, ów adwokatem lub medykiem, czemkolwiek zresztą, byle nie obywatelem spółdziedzicem Frasoblówki, wioski przydatnej nie na co innego, jak tylko na punkt wychodni do zapewnienia sposobu do życia powyżej zdefiniowanego dla głów dziewięciu.

Ale—kto o czemeś podobnem myślał w epoce powie-

http://rcin.org.pl

ści naszej! Dziś może kto i myśli; wówczas atoli panowała powszechnie—nie bez wyjątków wszakże—zasada kastowości, której hołdowało obywatelstwo bogatsze i uboższe. Bogatsze—nie bez wyjątków, powtarzam—szło torem podkomorstwa; uboższe wywijało się jak mogło, byle jeno z szeregów „urodzonych“ nie wypaść i do zastępu „pracowitych“ się nie dostać. Znaliśmy osobiście i zblizka marszałka pewnego, który synowi swemu, gdy ten do uniwersytetu się wybierał, zapłacił za to, ażeby się nie ważył na medycynę wstępować. Racyę podawał taką:

— Żaden R.....ski pigułkarzem nie był...

Usprawiedliwialiśmy to już raz, wykazując przy okazyi następstw wychowania podkomorzyca i podkomorzanki jak pojęcia przechodziły z ojców na synów. Była to choroba dziedziczna, wychodząca z punktu tego przekonania, w dawnych powziętego wiekach, że „nakłaniać szlachcica do łokcia lub kwarty, jest to samo, co łabędzia zaprzęgać do pługa.“ Jedno i drugie, uważane za niemożliwość absolutną, przechodząc z ojca na syna, dostało się, nie doznając przeciwdziałania ze strony tych, co się pojęciami opiekowali, do późnego potomstwa. Pan Olecki nie pojmował, nie przypuszczał, ażeby z synów jego i córek, mających prawo do Frasoblówki podzielonej na dziewięć części, mogło być co innego, jak obywatele i obywatelki. Gdy przeto przyszło do edukowania dziatek, nie przyjmował do nich panów de Lurcy i panien de Maintenon, bo nie miał za co, nie powierzał ich jezuicie, bo nie posiadał żadnego na rezydencyi, ale puścił tę rzecz na chybił trafił, w tem przeświadczeniu, że „jakoś to Pan Bóg da.“ Brał nauczycieli i nauczycielki za tanie pieniądze i odprawiał. Oddał Ludwisia do szkół i odebrał. Potem go oddał znów i ze szkół jednych do drugich przeniósł. Postawił go na kwaterze, na której pa-

http://rcin.org.pl

nicze stawali; lecz gdy przyszło młodszych do szkół dawać, przenosił ich wszystkich razem na kwatery coraz to tańsze, tak, że chłopcy, dostając się z pod systemów i dozorów jednych pod drugie, nie byli w stanie schwycić ciągłości w nauce, koniecznej do dobrego wychowania, bałamucili się i przełazili z klassy do klassy. Największa staranność otoczyła najstarszego. Jemu dostawały się kąski wyborowe, braciom jego ochłapy.

I tak to sobie szło i szło.

W chwili, w której czytelnika do frasoblowieckiego dworu po raz nie wiemy który wprowadzamy, Ludwiś ma lat szesnaście, skończył klassę piątą, do skończenia gimnazyum pozostawało mu jeszcze lat dwa, lecz z powodu doznanej przy udzielaniu promocyj niesprawiedliwości, opuścił szkoły i dał słowo matce, że się w domu tak przygotuje, iż za lat dwa zda egzamen wprost do uniwersytetu.

— Zda, nie zda... mniejsza o to...—myślał pan Olecki—przynajmniej nie będzie czasu marnował...

Ludwiś wziął przytem na siebie obowiązek, uczyć najmłodszych swoich braci, których dwóch do szkół się jeszcze, z powodu wieku, nie kwalifikowało. Rzeczy się ułożyły dobrze. Wydatki się umniejszyły i w szkołach i w domu, tam bowiem jeden chłopak ubył, tu zaś znalazł się nauczyciel bezpłatny.

W czasie owym przyjechał do Frasoblówki gość niespodziewany.

Przybył o godzinie porannej. Nikt go nie znał. Pan znajdował się w polu przy oraczach czy nieoraczach. Pani nieubrana. Wszedł do salonu, oświadczając służącemu, że czekać będzie na pana Oleckiego, do którego ma pilny interes. Komornik się gdzieś zawieruszył, więc bawić go nie było komu, ani też kim komornika zastąpić, albowiem Lu-

http://rcin.org.pl

dwiś wysłany został przez ojca do miasta powiatowego. Nieznajomy, człowiek w wieku średnim, postawy i powierzchowności ujmującej, nie brunet i nie blondyn, nie szczupły i nie otyły, wzrostu miernego, przechadzał się po pokoju powoli i zatrzymywał się od czasu do czasu, przysłuchując się z uśmiechem zgiełkowi domowemu, jaki niespodziane przybycie gościa wywołało. Dzieci wrzeszczały, służące biegały, pani wydawała rozkazy i polecenia głosem często niecierpliwością lub gniewem nabrzmiałym. Dosłyszał wyraźnie wołanie:

— Podwiązki!... Marysiu, gdzie podwiązki?...

— Położyłam je na komodzie...—była odpowiedź, Marysi zapewne.

— Gdybyś je położyła, toby były...

— Przysięgam Bogu!... Bodaj mi!... Może Jaś albo Olesia chwycili...

— A zaraz na dzieci składasz!...—odparła pani.

— Jak nie składać, kiedy onegdaj Jaś z podwiązek batóg sobie zrobił...

— Wołać mi tu Jasia!...—zabrzmiał rozkaz pani.

Rozpoczęło się śledztwo formalne, w którem wystąpiły oskarżycielstwo, obrona, świadectwa i w końcu płacz o zbrodnię przekonanego.

Nieznajomy, do słuchu którego odgłosy sprawy tej ułamkowo dochodziły, wyrażał twarzą zajęcie wielkie i rozrzewnienie, uśmiechał się i oczy wilgocią mu zaszły.

— Mój Boże... — rzekł sam do siebie. — Tak samo i u nas, w domu rodziców moich bywało...

Rozpatrywał się następnie w sprzętach i znów rzekł sam do siebie:

— „Wszystko jak było, tylko się ku starości znacznie pochyliło...“

http://rcin.org.pl

Z jednej strony okna wychodziły na ogród, z drugiej na podwórze. Chodząc zatrzymywał się raz przed temi, znów przed temi i głową kiwał, jakby w odpowiedź uczuciom czy wspomnieniom, które mu duszę napełniały. W końcu, patrząc w podwórze, odezwał się:

— A... Otóż i on... Jakże się zmienił!... posiwiał... Ciekawym, czy mnie pozna...

Pan Olecki wszedł, o kroków parę przed nieznajomym się zatrzymał i oczy w nim utkwił.

— Niech mnie Bóg skarze—zawołał półseryo—jeżeli wiem, kto pan dobrodziej, z pewnością jednak znajomy!...

— Więc mnie pan nie poznajesz?...

— Poznaję głos nawet, ale, w łeb strzel, nie wiem kogo mam w osobie pana dobrodzieja witać...

— Gustaw Zahalnicki...

— W imie ojca i syna!...—zawołał pan Olecki, krok w tył odstępując i minę przestraszoną niby przybierając.— Wszelki duch Pana Boga chwali!...

— I ja chwalę...—odrzucił pan Gustaw, dłoń do powitania podając.

— Jakże mnie przybycie pańskie cieszy!... Spodziewam się, że pan dobrodziej nie chowa w sercu żalu do mnie za... ów... bałtski wypadek...

— Ależ!... zkąd znów!... O wypadku tym pamiętam dla tego jedynie, że trudno zapomnieć o czemeś podobnem... Co zaś do żalu, ten nietylko oddawna w sercu mojem wygasł, ale zmienił się we wdzięczność dla przeciwników moich...

Pan Olecki zapytał, jak to się stać mogło.

— Stało się mi wedle przysłowia: „Nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło...“ Lekarz poczciwy, co mnie opatrywał, leczył mi zarazem i ciało i duszę... Przekonał

http://rcin.org.pl

o potrzebie pracy, pomimo żem szlachcic; wskazał mi drogę handlową, zaopatrzył w pieniądze na podróż i do Odessy wyprawił... Gdyby przeto nie pojedynek, nie zabrałbym z lekarzem tym znajomości, gdyby nie ta znajomość, nie byłbym trafił na drogę, która mi byt dostatni zapewnia... Otworzyłem dom komissowy na siebie, który już od lat kilku prowadzę, wiedzie się mi nieźle, a że—dodał z uśmiechem—człek nigdy nie zadowalnia się tem co ma, przedsięwziąłem wędrówkę po kraju w celu rozszerzenia sobie klienteli... Jeżeli pan dobrodziej raczy ufnością mnie zaszczycić, gotów jestem pszenicę jego, żyto, jęczmień, owies, len, rzepak sprzedawać po cenie odpowiedniej, za potrąceniem 2% komissowego i ½% meklerowego...

— Panie dobrodzieju!...—pan Olecki na to.—Od lat dziesięciu, jeżeli nie od dawniej, zbieram się co roku posyłać zboże do Odessy i nigdy jakoś zebrać się nie mogę... Przyjeżdża kupiec, przywozi pieniądze do domu i kłopot z głowy spada... Tak robił ojciec mój, dziad, pradziad...

Komissant uśmiechnął się na wyrazy ostatnie.

— I dobrze na tem wychodzili...

— Potrzeby były bardziej ograniczone... Ale przeszłość mija i nie powraca, jak nie powraca woda do źródła... Potrzeby się powiększyły...

— Ach, prawda...—westchnął pan Olecki, wspomniawszy sobie sześciu swoich synów i trzy córki.—Niechże mi pan dobrodziej, z łaski swojej, wytłumaczy różnicę sprzedawania zboża na miejscu a w Odessie...

— Kupiec, zabierający na miejscu, zarabia na zbożu pańskiem przynajmniej 5%, pomimo, że prowadzi do Odessy i płaci komissantowi 2½%, zachodzi przeto różnica 5%, która się obróci na korzyść pańską...

— Prawda... Nigdy mi to do głowy nie przyszło...

http://rcin.org.pl

Podkomorzy Kostrzewicki za życia swego próbował razy parę tej spekulacyi, lecz źle na niej wyszedł... Mówiono nawet, że od wysyłki pszenicy do Odessy datuje chylenie się majątku jego do upadku...

— A!...—zawołał pan Gustaw.—Pracowałem w banku, za pośrednictwem którego nieboszczyk weksle na Paryż, Hamburg, Frankfurt i Londyn ciągnął... Przez bank ten, na rzecz nieboszczyka, przeszło weksli na summę około pół miliona rubli, nie licząc dróg innych, któremi pieniądze płynęły...

— Proszę pana dobrodzieja!—zawołał pan Olecki.

— Nie dziw przeto, że majątek do upadku się pochylił...

— I upadł ostatecznie... Podkomorzyna od lat dwóch już do Odessy się na mieszkanie przeniosła i podkomorzyc za nią od czasu jakiegoś pojechał...

— A księżna?...—zapytał pan Gustaw nagle.

— Hm... księżna?... Księztwo w Krasiłowcach...

— Pytam o nią, bo mnie obchodzi...

— Czy nie z racyi dawnych wspomnień?...—zapytał gospodarz domu z żartobliwym przekąsem.

— Trochę... może... zapewne... Wszelkie jednak ubliżyć jej mogące posądzenie usuwa się przez to samo, żem jej nie widział od lat... od lat?... szesnastu...

Rozmowę przerwała gospodyni domu—nie owa już piękna pani, na którą zwrócił był oczy podkomorzyc po powrocie z Paryża—która powitała gościa uprzejmie i krzyknęła „ach!“, gdy mąż go jej przedstawił.

— A myśmy tu już byli pana dobrodzieja opłakali...

— Pokazuje się, że łzy te stały się dla mnie wodą życia, dopomogły mi bowiem pod względem fizycznym, mate-

http://rcin.org.pl

ryalnym, moralnym nawet... jestem zdrów, przyszedłem do bytu dobrego i otrząsnąłem się z przesądów...

— A rodzina pańska?...

— Dziękuję pani... Rodzice moi, zdrowi, Bogu dzięki... Bracia zaś i siostry, każdy i każda na swojem i nieźle im się wiedzie...

Przypominamy sobie, że ów Gustaw, pokazujący się nam w ciągu opowiadania w omgleniu poetycznem miłości, był członkiem rodziny składającej się z głów dziesięciu. Majątek—cząstka na kollokacyi. Środki—bez porównania szczuplejsze, aniżeli u państwa Oleckich. Los przeto, jaki się gniazdu temu w perspektywie ukazywał, nie przedstawiał się w barwach nader wesołych. Stary Zahalnicki prawił dzieciom o potrzebie pracy, lecz im środków, narzędzi do prowadzenia takowej w ręce nie dawał, dając im wychowanie szlacheckie. Zagrażała więc im nędza, która byłaby się rzeczywistością stała, gdyby nie Gustaw. Ten, ramieniem potężnem, ojca, matkę, braci, siostry wydźwignął z toni, staruszków przy sobie przyhołubił a młodzieży fachy w ręce powsuwał, lokując ją po warsztatach, po pracowniach, po kantorach i po szkołach. Dwaj z braci jego, co nauki kończyli, kierowali się na nauczycieli. Z sióstr jedna, wyszedłszy za mąż, osiadła na części ojcowskiej. Jeden z Zahalnickich był aptekarzem, jeden stolarzem, jeden konowałem. Reszta zaś sióstr zostały: ta akuszerką, ta aktorką, ta damą sklepową. Pokierowało się więc wszystko dzięki Gustawowi, który każdemu z rodzeństwa swego drogę ukazywał temi słowy:

— Nie wstyd pracować, byle uczciwie i pożytecznie...

I cała ta trzodka, która zrazu była bez przyszłości, rozbiegła się w kierunkach różnych i każde płynęło w przyszłość na okręcie własnym.

http://rcin.org.pl

Gustaw dokazał tego, że łabędzia szlacheckiego do pługa zaprzągł.

Nie chwalił się tem jednak przed państwem Oleckiemi, odpowiedział ogólnikowo na zapytanie pani i zawiązał rozmowę o czasach dawniejszych, przypominając, że panią widział raz tylko w życiu, w całym młodości jej blasku, w miodowym małżeńskiego jej pożycia miesiącu.

— A teraz—podchwycił pan Olecki—widzisz pan dobrodziej przed sobą babulę, matkę dziewięciorga dzieci...

— Dziewięciorga!...—krzyknął Gustaw.

Wykrzyknik ten, pełen był znaczenia, które jednak uszło uwagi szczęśliwych dziewięciorga dzieci rodziców.

— Tak... tak, mości dobrodzieju...—odparł pan Olecki, spoglądając na małżonkę z uśmiechem.—I pan dobrodziej, gdybyś się był w swoim czasie ożenił...

Komissant ręką machnął i lekko westchnął.

— Pan dobrodziej...—zaczęła pani z uśmiechem znaczącym—miał przeszkody serdeczne...

— Tak... hm... Stanąłem w obec progu za wysokiego, którego przestąpić nie mogłem, ale, gdyby kula pana Karola nie oddała mnie była w ręce zacnego i rozumnego lekarza bałtskiego, byłbym się zapewne prędko pocieszył...

— Przez skromność nie chce pan sobie zasługi przyznawać...

— Jakiej, proszę pani dobrodziejki?...

— Zasługi stałości... tak rzadkiej w czasach naszych zmateryalizowanych!...

Wyraz „zmateryalizowanych“ wymówiła z przyciskiem, tak, że pan Gustaw zmuszonym został niejako podnieść go i zapytać:

— Co pani pod „zmateryalizowaniem“ rozumiesz?...

http://rcin.org.pl

Zagabnięta w ten sposób pani Olecka, zmięszała się nieco i odrzekła:

— Każdy myśli o sobie... brak poświęcenia, brak ofiarności...

— Hm... —ścisnął pan Gustaw ramionami.—Poświęcenie?... ofiarność?... Pani je upatruje w mojej stałości, bez względu na to, że stałość ta pochodzić może z żalu za wianem podkomorzanki i mieć przez to pobudki ultramateryalistyczne...

— Ach!... to niepodobna...

— Podobna, pani...

— Czegóżby to dowodziło?...

— Dowodzi to, że poświęcenie, ofiarność, nie istnieją w oderwaniu, bez racyi; istnieją zaś dla racyi jakowejś, przestają być poświęceniem, ofiarnością, stają się obowiązkiem... obowiązkiem rodziców względem dzieci, dzieci względem rodziców, ludzi względem ludzi, obywateli względem kraju i t. d., i t. d.... Po za tem następuje kraina chimer, zamieszkana przez kaprysy i fantazye... przezywane zwykle ofiarami...

Państwo Oleccy, gdy im się herezye te o uszy obiły, szeroko oboje oczy otworzyli i w pana Gustawa się wpatrzyli. Byli oni tego słodkiego przekonania, że się poświęcają, najprzód, jedno dla drugiego, następnie dla sąsiadów, dla obywatelstwa, w końcu, a szczególnie, dla dzieci! Przeciwko przekonaniu temu przyszedł świadczyć człowiek, co z toni wyratował jedenaścioro ludzi. Nie umieli mu zrazu odpowiedzieć. Po chwili milczenia jednak, pan Olecki głos zabrał:

— No... no...—rzekł.—Pan dobrodziej przesadzasz... Dam panu przykłady... Buduję kościół, dajmy na to...

— Kupujesz pan sobie zbawienie duszy... dokonywasz

http://rcin.org.pl

zamiany czysto i nawskróś handlowej... Nabywasz dobra niebieskie za brzęczącą monetę...

— Ratuję tonącego...

— Czynisz to, cobyś pragnął, ażeby względem ciebie uczyniono...

— Nie masz więc ofiary?...

— Nie masz, panie dobrodzieju...

— Ani cnót, zatem?...

— Cnoty są wszystkie...

— Bez ofiary?...

— Z obowiązkiem, pełnionym bądź ujemnie, bądź dodatnio, a jeżeli dodatnio, to w rozmaitych stopniach, zależących od pojmowania obowiązku...

— Więc—zaczęła pani—pan obowiązku tylko dopełnił, dowodząc stałości przez lat szesnaście?...

Pan Gustaw uśmiechnął się i odparł:

— Mięszamy trochę przedmioty... Przez owych lat szesnaście, myślałem o innych obowiązkach; o tej zaś cnocie, za którą mnie pani pochwalać raczy, byłbym zapomniał całkowicie, gdyby mi jej księżna sama nie przypomniała...

— Przypomniała!...—zawołali małżonkowie oboje głosem jednym, mocno zdziwionym.

— Od lat dwóch, około, pozostaję w korrespondencyi z księżną...

Pani z ciekawością wielką wpatrzyła się w mówiącego, przygotowując się do chłonienia wyrazu każdego z ust jego wychodzącego; on atoli nic więcej nie mówił w materyi korrespondencyi z księżną. Pomilczawszy przez chwilkę, rozpytywać się zaczął o stan interesów, odnoszących się do Ohrebyszcz i Krasiłowiec. Pan Olecki, jako sąsiad blizki, opisywał mu go kolorami, wśród których ani jednej

http://rcin.org.pl

nie było barwy nieco jaśniejszej. Opowiadał o staraniu się pana Karola o rękę panny Dębskiej.

— Panny Ewy?... garbatej?...—podchwycił komissant.

— Zna ją pan dobrodziej?...

— Pan Erazm jest jednym z najlepszych klientów moich... Zabrałem znajomość z nimi w Odessie i jestem z panną Ewą dość dobrze, alem nic od niej o tem co pan dobrodziej opowiada, nie słyszał...

— A, panie!... maryaż ten przez lat kilka trzymał kredytorów na wodzy, aż, gdy pękł... pękło wszystko... Podkomorzyna jedna wycofała się obronną ręką...

— Mądrze zrobiła...—wtrącił pan Gustaw.—Księżna jednak nieszczęśliwa...

— O, bardzo!...—odrzekli razem państwo Oleccy.

Podano do obiadu. Rozmowa się przerwała. Państwo z gościem przeszli do sali jadalnej, w której zebrało się gronko złożone z panienki podlotka, dziewczynki lat ośmiu, dwóch chłopczyków i komornika gęsto szronem siwizny przypruszonego, ale zawsze czupurnego. Gdy do stołu zasiedli, pokazało się, że nakrycie jedno na kogoś czekało. Po zupie gość uwagę na to zwrócił.

— Przypominam sobie we Frasoblówce—rzekł—staruszka heraldyka i zdawało mi się, że dla niego jest to miejsce próżne...

— O nie...—odparła pani.—Staruszek zeszedł z tego świata, a nakrycie to czeka na mego syna najstarszego, którego ojciec w interesie jakimeś posłał do miasta powiatowego...

— Jakiś tam list *zastrachowany* do mnie na poczcie leży...—dodał pan.—Od dwóch tygodni już *powiestkę* odebrałem i parę razy posyłałem, ale mi go nie wydano... Wymagano na *powiestce* własnoręcznego mego podpisu... Co to

http://rcin.org.pl

za szykany, proszę pana!... Bez podpisu, listu wydać nie chciano... Posłałem więc syna...

— I dał pan dobrodziej podpis?...

— Cóż miałem robić!... Podpisałem się własnoręcznie...

— Nie wydadzą...—odezwał się, zachowujący dotychczas milczenie, z szarego końca komornik.

Gość zwrócił na niego pytające spojrzenie.

Komornik motywował powiedzenie swoje w sposób następujący:

— Djabeł wie... Na podaniu o wypłacenie mi summy posagowej, w ilości szesnastu tysięcy złotych polskich, pozostałej po świętej pamięci prababce mojej w linii prostej, bo babce rodzonej ciotecznorodzonego stryja mego, po mężu, z domu Okrasiance, podpisałem się własnoręcznie i... djabeł wie... na licha to się zdało... Ale, że to sprawa ze mną, a ja processu nie zasypiam, jak gruszek w popiele, to... djabeł wie... U mnie tak: swego nie dam, cudzego nie chcę... Jadę i własność moją z gardła wydrę!... Przez posły wilk nie tyje... Ja z podpisem moim nikogo posyłać nie myślę... Pojadę sam i stanę, nie z podpisem, ale z gębą...

Gościowi uśmiech przez usta się przesunął.

Zmieniono talerze i wniesiono nowe danie. Komornik zamilkł. Dał się słyszeć na podwórzu turkot bryczki.

— Ludwiś!...—krzyknęli chłopcy i dziewczęta, zrywając się od stołu.

Napomnienie matki, tyczące się grzeczności, i surowe ojca spojrzenie zatrzymały je na miejscach.

W chwilę później wszedł do sali chłopak wyrostek, smukły i przystojny, z mszącym się pod nosem zarostem, skłonił się gościowi, pocałował matkę w rękę, pocałował w rękę ojca i podał temu ostatniemu list w dużej, pięciu pieczęciami zapieczętowanej kopercie.

http://rcin.org.pl

— Cóż wydano ci przecie?...

— Wydano, ale przemówiłem ostro: „Przyjeżdżam wprost z Frasoblówki po list do mego ojca!...“ Poznał pocztmistrz, że nie przelewki... wziął i wydał...

Pan Olecki obejrzał kopertę ze stron obydwóch i położył list na stole.

— Od kogo to?...—zapytała pani z naciskiem.

— Jeżeli przez wzgląd na mnie pan dobrodziej listu nie otwierasz—odezwał się gość—to proszę usilnie, wzgląd ten na stronę usunąć...

— Jeżeli pan dobrodziej pozwala?...—była pana Oleckiego odpowiedź.

— Bardzo proszę ceremonii ze mną nie robić...

Pan Olecki rozłamał trzy pieczęcie, otworzył kopertę wyjął list, rozłożył i czytać począł.

Czytał i oczy coraz to szerzej otwierał, a twarz wyrazem zdumienia oblewał. Czytał i wydawał okrzyki tłumione: hu!... uh!... Datę i podpis wypowiedział na głos:

— Odessa, dnia... miesiąca... roku... Kacper Mędziński...

— A!...- odezwał się pan Gustaw.

— Któż to taki?...—zapytała pani Olecka.

— Nie przypominasz sobie?...—odparł mąż.—Nie przypominasz sobie chłopaka tego, co to od podkomorzyca nosił upominki dla Ludwisia?...

Pani Olecka lekko spłonęła i odrzekła:

— Czegóż on chce od ciebie?...

— Chce, żebym mu poradził, jakimby sposobem kupić mógł na własność grunt i chatę w Ohrebyszczach, z których matka jego czynsz opłaca...

Pani Olecka coś na to powiedzieć chciała, lecz pan Gustaw ją uprzedził.

http://rcin.org.pl

— Mędziński—rzekł—mógłby na własność Ohrebyszcze i Krasiłowce kupić...

Pani wypatrzyła się na gościa ze zdziwieniem.

— I dobrzeby zrobił...—ciągnął tenże.—Inaczej bowiem, jeżeliby go kto podszedł i na spekulacyę wyciągnął, to mógłby stracić wszystko...

— Ale, zkądże?... zkądże?... on?... Kacperek?... do majątku takiego przychodzi?...—zawołała pani.

— Na loteryi wygrał...—odpowiedział pan Olecki.—Pisze to właśnie... Postawił rubli trzydzieści i wyciągnął los na rubli trzykroć sto tysięcy...

— Jezus Marya!...—krzyknęła pani.

— Tak to się ludziom zdarza... Trzeba, żeby i Ludwiś do Odessy jechał...

— Tylko nie po to, żeby na loteryę stawiać...—podchwycił pan Gustaw rękę wyciągając.—Na Boga!... nie po to... Gra na pewniaka, na owoce pracy własnej, jest bezpieczniejszą, aniżeli na ślepy traf, który, dla udobrodziejstwowania jednego, tysiące, miliony na majątku i sumieniu rujnuje... Pan Ludwik zna zapewne bajeczkę o testamencie tego ojca, co synom zapisał skarb w roli zakopany...

Ludwikowi oczy się śmiały, nie wiadomo, do bajeczki, czy też do loteryi.

List Kacpra sprawił zamieszanie niejakie we frasoblewieckim dworze. Pani Olecka ze zdziwienia wyjść nie mogła, łamiąc sobie głowę nad rozwiązaniem zagadnienia, dla czego to los wybrał nie kogo innego, a lokaja podkomorzyny. Tego zrozumieć nie mogła. To przechodziło jej pojęcie.

Pan Olecki także tego nie pojmował. Uważał jednak, że na list odpisać wypada, a że nie wiedział, co mianowicie, więc się odwołał do pana Gustawa.

— Najlepiej odpiszę mu, ażeby się radził pana dobro-

http://rcin.org.pl

dzieja, jeżeli to panu dobrodziejowi przykrości wielkiej nie sprawi...

— Najmniejszej...

— Więc tak... Odpiszę i list panu dobrodziejowi wręczę...

— Bardzo dobrze...

— Pan dobrodziej wraca wprost do Odessy?...

— Naturalnie... Odwiedzę tylko księżnę, która mnie prosi, ażebym był u niej, i ponieważ Mędzińskiemu mam radzić; w przejeździe do Krasiłowiec przez Ohrebyszcze wstąpię do matki kochanka fortuny... Niech pan dobrodziej z łaski swojej list przygotuje...

— Nie ma nic śpiesznego...

— Za godzinę odjeżdżam...

— Jakto!...—zawołali małżonkowie oboje.—Pan dobrodziej nie chce u nas na noc pozostać?.. A, to być nie może.

— Nie mogę... Biorę czas w tem znaczeniu, jaki mu nadają Anglicy...

— Co tam Anglicy!... Tu nie Anglia ale Polska... Panie dobrodzieju!...

Wymawiał się pan Gustaw i wypraszał, broniąc się dzieciom, które go, pomagając rodzicom, z płaczem błagały.

— Pan musisz nocować w Krasiłowcach—przekładał pan Olecki—w karczmie u żyda, bo tam w pałacu noclegu dla gości nie było nigdy, a tembardziej teraz... Zlitujże się pan!...

Upór atoli pana Gustawa przełamać potrafił prośby i płacze. Pan Olecki oddalił się na chwilkę w celu wystosowania do Kacpra odpowiedzi, na którą, gdyby nie pan Gustaw, musiałby Kacper długo czekać; niebawem z listem gotowym powrócił—i gość pożegnał gospodarstwo uprzejmie.

http://rcin.org.pl

W Ohrebyszczach komissant nasz zatrzymał się przed chatą Mędzińskiej. Staruszka, czepka i jędrna, na spotkanie jego wyszła. Pan Gustaw oznajmił jej na wstępie, że jedzie do Odessy i z Kacprem widzieć się będzie.

— Powiedzcież mu, panie wielmożny, że proszę Boga, ażeby mi pozwolił oglądać go przed śmiercią...

— Bóg prośby waszej wysłucha, pani matko...

— Co wielmożny pan powiada!...

— Kacper ma zamiar kupić na własność grunt i chatę, z których czynsz opłacacie...

Staruszce oczy się zaśmiały, lecz się wnet zasmuciła.

— Wielmożny pan mówi to tak tylko, ażeby starą babę pocieszyć trochę...

— W każdym razie, zobaczycie go... Wyszedł ze służby...

— Wyszedł ze służby!...—krzyknęła stara Mędzińska w radości wielkiej.

— Cóż mu powiedzieć od was, pani matko?...

— Niech przybywa, choć piechotą, choć w żebraczych łachmanach, ażeby go oczy moje jak najprędzej oglądały..

— Kacprowi dzieje się dobrze, bardzo dobrze...

Po tych słowach, staruszkę pożegnał i przerzucił się z chaty do pałacu.

Sam pałacu krasiłowieckiego widok smutne jakieś wzbudził w nim uczucie. Budynek trzymał się i nie świecił a tchnął ruderą. Na podwórzu trawa, na dachu kawek i gawronów pełno, szyby w ilości wielkiej powybijane, od spodu wilgoć, wyżej na ścianach osad dający życie ziółkom nikłym. Pan Gustaw konie z bryczką zostawił w domu zajezdnym i przyszedł piechotą, nie wywołał więc nikogo na spotkanie swoje. Gdyby jednak był i zajechał z hałasem przed krużganek, to, rzecz wątpliwa, ażaliby kto na-

http://rcin.org.pl

przeciw niemu wybiegł. Służba, liczna niegdyś, zredukowała się do wyrażenia najprostszego, występującego pod postacią paru dziadów, tytułujących się kamerdynerami i baby, jednego z tych dziadów małżonki, pełniącej funkcyę kuchmistrza. Przy księżnej pozostała wierna Weronika. Nie było więc komu spotykać i meldować gościa, i ten, wszedłszy do pałacu, błądził po nim, nie spotykając nikogo. Przechodził z komnaty do komnaty; kroki jego budziły echo, które duszę jego napełniało czemeś nakształt postrachu. Zatrzymywał się i oglądał. Czuł, jakby go coś z góry gniotło—uczucia podobnego doznaje się w lochach grobowych. Aż otworzył drzwi jedne, próg przestąpił i zatrzymał się zdziwiony. Oczom jego przedstawił się stoliczek, przy stoliczku fotel, a na fotelu potwór w postaci człowieczej, tuszy przerażającej—twarz rozlana, głowa duża w ramiona wsunięta, usta wywrócone, oczy przymrużone. Pan Gustaw, postawszy chwilkę w niemej kontemplacyi, postąpił kroków parę i chrząknął. Potwór wnet się odezwał:

— Spodziewam się, że zdrowie asana dobrodzieja w pożądanym znajduje się stanie...

— Kto ty?...—zapytał przybysz.

Potwór na zapytanie to ruszać się począł z oznakami niecierpliwości i otworzywszy usta wydawał odgłosy: „he, he“... Po chwilce rękę na stoliczek wyciągnął, ujął dzwonek w palce i zadzwonił. Dźwięk rozległ się daleko. Słyszeć się dało niebawem stąpanie, otworzyły się drzwi, wszedł starzec pochylony i drżącym głosem, który najwyżej podnieść usiłował, zwracając się do potwora, zapytał:

— Co wasza książęca mość rozkaże?...

— Więc to książe Godfryd Gamajda?...—zapytał pan Gustaw starca.

http://rcin.org.pl

Starzec, nie odwracając od księcia oczów, trzęsieniem głowy odpowiadał.

Książe pozostawał pod wpływem jakiegoś wzruszenia, drżał bowiem jak w febrze i nie zaraz starcowi odpowiedział:

— Wody... flakonik...

Za starcem, odchodzącym w celu spełnienia rozkazu, wyniósł się i pan Gustaw na palcach.

— Gdzież księżna?...

— A co?...—starzec na to.—Jaśnie oświecona księżna pani chyba?...

Poznał komissant, że etykiecie uchybił, poprawił się więc:

— Pragnę przedstawić się jaśnie oświeconej księżnej pani...

— Niech wielmożny pan chwilkę wstrzymać się raczy... Zamelduję, tylko jaśnie oświeconemu księciu panu wody i flakonik podam...

Chwilka przeciągnęła się na minut z dziesięć. Starzec powrócił i przeprowadziwszy Gustawa przez długi szereg komnat stęchlizną cuchnących, zatrzymał się w pokoju wyglądającym na przedpokój i zapytał:

— Kogóż mam honor meldować?...

— Gustaw Zahalnicki...

— Jaśnie wielmożny czy wielmożny?...

— Nic, prosto: Zahalnicki...

— Nie prezes ani marszałek?...

— Komissant zbożowy...

Do uszów Gustawa doszło z za drzwi meldowanie.

— Jaśnie wielmożny komissant zbożowy, Gustaw Zahalnicki...

http://rcin.org.pl

Nastąpiła prędka odpowiedź: „prosić!“ i okrzyki na poły spazmatyczne.

Starzec wyszedł, drzwi na ścieżaj otworzył i drżącym a chrypiącym głosem zawołał:

— Jaśnie oświecona księżna pani prosi jaśnie wielmożnego komissanta zbożowego...

— Gustawie!...—przemówiła księżna podchodząc ku wchodzącemu.

— Pani!...—odparł ten, cofając się w tył i ręce, jakby do obrony własnej podnosząc.

— Czy tak?... po latach tylu?...

— Rozstrzygnęliśmy kwestyę listownie i ja zgodziłem się stanąć przed panią nie w charakterze kochanka, ale dla tego, żeś mi pani napisała: „ratuj w nieszczęściu!...“ Przystałaś pani na to... Przybywam podać pani rękę...

Księżna wyprostowała się. Była w dobie tej piękności powtórnej, która na kobiety schodzi pomiędzy latami trzydziestym a czterdziestym i amatorom wybrednym podoba się bardziej aniżeli pierwsza. W stroju jej, eleganckim, acz nie świeżym ani też bogatym, czarny przemagał kolor. Włosy ułożone w dyadem, otaczały warkoczami głowę. Ręce bialutkie i delikatne świadczyły, że się pracy, mimo nędzy, żadnej nie imała.

Wyprostowała się i sucho a krótko z jakimeś jednak chrypieniem głuchem w gardle, odrzekła:

— Dobrze... Siadaj pan...

I ukazała gościowi ręką fotel. Sama opodal usiadła na kanapie.

— Potrzebuję rozpatrzeć się w interesach pani...—odezwał się Gustaw.

— Rozpatrzeć się?... cha, cha, cha... Jeżeliś się pan rozpatrzył w pałacu, jeżeliś przypadkiem widział księcia,

http://rcin.org.pl

małżonka mego, to... znasz już najdokładniej stan interesów moich... Interesa są bez ratunku... I ja—dodała po chwilce—nie dla interesów... o ratunek do pana zawołałam...

— Jaż pisałem wyraźnie...

— Tak... Wolno jednak kobiecie, której wyraz „kocham“ przez lat tyle w uszach dzwoni, mieć to złudzenie, że w sercu tego, co wyraz ten wymówił, przechowała się iskierka jakaś...

Gustaw wstał.

— Co?...—zawołała księżna.

— Nie przemawiaj pani tym językiem do mnie... Zanalizowałem owo „kocham“, któreśmy sobie w sałtanie mówili i znam je... Bawiliśmy się w zielone... Dziś zabawek czas przeszedł, nastała pora przewagi rozumu nad uczuciem... Mówmy o interesach, albo o niczem...

— Mówmy o interesach... — odrzekła księżna rezolutnie.

Gustaw usiadł i zawiązała się rozmowa, jakby dwoje tych ludzi nigdy w życiu w kochanie się nie bawiło.

---

http://rcin.org.pl

XII.

W domku przy ulicy Chersońskiej od czasu jakiegoś zapanował niepokój. Cóż ten niepokój znaczy? Czy to już symptom przesytu w bogaczu? Czy dziecko chore? Czy pan nie domaga? Czy może zapowiada się już owa choroba straszna, którą piewca padlin, Beaudelaire, jeden z najoryginalniejszych francuzkich poetów w czasach ostatnich, takim pięknym opisał językiem? Nie. Z przyczyn powyżej wymienionych nie działa żadna. Przyczyna niepokoju tkwi w czem innem. Dowiemy się o niej z odpowiedzi, danej przez męża żonie, gdy ta zapytała:

— Czego ty taki markotny, Kacprze?...

— Tego... ot... że nie przychodzi odpis na list...

— Może jeszcze przyjdzie...

— Powinienby już być... Zapytywałem na poczcie, ile potrzeba czasu na to, ażeby pismo poszło do Frasoblówki i z Frasoblówki powróciło... i czas ten dawno już minął...

— A czyż nie może to być, że pan Olecki nie odpisze wcale?...

— Może być... i dla tego też niepokoję się wielce... Nie wiem, co i jak zrobić, ażeby od matki, albo o matce wieść dostać...

— Pomyśl, albo poradź się kogo...

— To bo to jest, że ja się radzić nie chcę, tylko ko-

http://rcin.org.pl

goś pewnego... Najpewniejszym wydawał się mi pan Olecki i do niego też uderzyłem... On nie odpisuje... cóż więc pozostaje?... Iść do pana Grochiewicza, czy co?...

— A niech cię Pan Bóg broni!... Pan Grochiewicz gniewać się musi za to, żeśmy na tem jego śniadaniu nie byli..

W dniu tej właśnie pomiędzy małżeństwem rozmowy, do domku przy Chersońskiej ulicy zapukał pan Gustaw. Że rodzina właściciela domu czuwała pilnie nad oddaleniem natrętów, niełatwo więc i nieprędko dostał się przed oblicza ekslokaja i ekspraczki. Odbyła się najprzód negocyacya, w której pośredniczyła córka gospodarza. Pan Kacper przyjął pana Gustawa w saloniku eleganckim, gustownie urządzonym, kobiercami wysłanym. Pani Katarzyna przez przymknięte drzwi zaglądała i nie prędzej wyszła, aż mąż zawołał:

— Kasiu!... a oto i odpowiedź od pana Oleckiego...

Pani Katarzyna wysunęła się, zapomniała gościowi dygnąć, a wprost do męża:

— Cóż odpowiada?...

— Potrzeba przeczytać...

Jęli czytać w obecności gościa, który tymczasem rozpatrywał się w niektórych przedmiotach sztuki, ozdabiających salon, podziwiając smak, który ustrzegł pana Mędzińskiego od kupowania bohomazów. Nie było tam nic osobliwego, ale też i nic wstrętnego. Dobór obrazów, bronzów i rzeźb drewnianych odznaczał się czystością i poprawnością. Gustaw myślał sobie, że to kobieta wybór czynić musiała. O, jakże się mylił!

Państwo Kacprostwo przeczytali list nareszcie.

— Pan Olecki pisze, żebym się pana we wszystkiem radził, otóż radzę się najprzód, co do kupna chaty i gruntu...

— Co do chaty i gruntu...—zawtórowała Kasia.

— Bo, coby też to za radość wielka dla matki mojej była!...

— I dla matki i dla nas...—podchwyciła Kasia.

— Jakby to zrobić?...—zapytał pan Kacper.

— Zrobić to niełatwo...—odparł Gustaw.

I wyłożył w formie jak najprzystępniejszej położenie majątku, znajdującego się pod sekwestrem na rachunek wierzycieli i zagrożonego, albo sprzedażą, albo też eksdywizyą. Czyby kto kupił w całości, czyby też kredytorowie rozebrali częściami, to nie można było traktować o kawałek gruntu przed zakończeniem procesu, po zakończeniu zaś, sprzedaż kawałka owego zależała całkowicie od dobrej woli właściciela nowego. Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko czekać końca procesu.

— A długoż to, panie łaskawy?... — zagabnął pan Kacper.

— Lat parę, przynajmniej...

— Ojoj!... A czy lat parę użyczy Bóg życia staruszce?...

— Widziałem matkę pańską...

— Widział ją pan!...—podchwycili oboje, przerywając Gustawowi, i dalejże rozpytywać.

Pan Gustaw opowiedział bytność swoją w chacie starej Mędzińskiej, zapewniając, że znalazł staruszkę w zdrowiu jak najlepszem i powtarzając słowa, które ona do syna przekazała. Ucieszyło to państwa Mędzińskich niewymownie.

— O, jakżebym pragnął ten grunt i tę chatę nabyć jak najprędzej...—zawołał pan Kacper.

— Nabądź pan Ohrebyszcze...—rzucił mu Gustaw.

— Ohrebyszcze?... hę!... całe?...

— Całe Ohrebyszcze i Krasiłowce przytem...

http://rcin.org.pl

— Nierozumiem pana dobrodzieja...

— A przecież to rzecz taka prosta...—odparł Gustaw. Chyba, że państwo macie zamiar miasta się trzymać...

— Gdzieżtam!...—krzyknęła pani Katarzyna.—My nie dla czego innego chcemy grunt i chatę kupić, jeno dla tego, żeby się na wieś przenieść jak najprędzej...

— Kupcie więc Ohrebyszcze i Krasiłowce, które są na sprzedaż... Gdy je kupicie, to chata z gruntem dostanie się wam przez to samo...

— Kupić, to znaczy dziedzicem zostać?...—wyrwała się pani.

— No tak...—odparł pan Kacper.—Tylko to jakoś to ono nie zdaje mi się, żeby można było... Ohrebyszcze i Krasiłowce?... Ohrebyszcze i Krasiłowce?...

— Niemożliwość nie zachodzi najmniejsza... byle chcieć...

— Któżby nie chciał!...

— Prawo nie sprzeciwia się temu, ażebyś pan dobra ziemskie kupował; przemawia zaś za tem bezpieczeństwo, jakie wynika z ulokowania kapitału w ziemi... Ani woda go nie zabierze, ani ogień nie spali... U rodzi się raz lepiej, znów gorzej, lecz się urodzi zawsze i zawsze dochód się ma... Gospodarstwo rolne u nas przystępnem jest dla każdego, komu klepek w głowie nie brak...

— To prawda...—odpowiedział pan Kacper.—Tylko że... wie pan... jakoś mi się to dziwno wydaje: od razu panem zostać...

— Iii!...—zawołała pani Katarzyna.

— Przyzwyczaisz się pan do tego z łatwością...—odparł pan Gustaw z uśmiechem.

— Panować, to nie sztuka...—poparła go pani.—Sztuka zapracować...

http://rcin.org.pl

Pan Gustaw skinieniem głowy potwierdził zdanie pani Katarzyny i tak dalej rzecz prowadził:

— Przyznam się, radbym, żeby się te majątki dostały panu, nie zaś komu innemu, dla tego, że spodziewam się, iżbyś pan okazać zechciał względy pewne dla istoty nieszczęśliwej, w najsmutniejszym znajdującej się stanie, dzięki złemu kierunkowi, jakie jej wychowanie nadało...

I odmalował w wyrazach krótkich a żywych stan tej istoty.

— Któż to taki?...—zapytał pan Kacper.

— Księżna Ludwika Gamajdzina...

— O!...—krzyknęła pani Katarzyna.—A widzisz!... Biedaczka...

— Jeżeliby Ohrebyszcze i Krasiłowce, które się nadają do połączenia w całość jedną, dostały komu innemu, położenie księżnej byłoby rozpaczliwem... Książe zniedołężniał zupełnie, musiałaby więc chyba męża porzucić...

— Męża porzucić!...—podchwyciła pani Katarzyna tonem zgrozy, jakby przez to wyrazić ohciała, że nad to nie masz nieszczęścia większego.

— A no...—odparł pan Kacper.—Niech i tak będzie... Pan Olecki mi pisze, że nie znaleźć człowieka uczciwszego od pana... Oddam więc panu pieniądze wszystkie i rób co zechcesz...

To rzekłszy, wyszedł na chwilę i powrócił, niosąc w ręku plik bumażek.

— Co widzę!...—krzyknął pan Gustaw.

— Pieniądze, com wygrał...—odrzekł pan Kacper tonem naturalnym.

— Trzymasz je pan w domu?...

— A jakże!...

— Złóż w banku, będą panu niosły procent i pozostawały na każde pańskie rozporządzenie...

http://rcin.org.pl

— Ależ teraz panu do kupowania Ohrebyszcz i Krasiłowiec potrzeba...

— Nie... Potrzebuję tylko pełnomocnictwa do działania w pańskiem imieniu... Z pełnomocnictwem w kieszeni, udam się do sądów i do wierzycieli mass ohrebyskiej i krasiłowieckiej z propozycyami... Pieniędzy nie podniosę ani grosza bez pańskiego przyzwolenia...

Pani Katarzyna i pan Kacper spojrzeli po sobie wzrokiem porozumienia, ten zaś ostatni odezwał się:

— No... widzę, że pan człowiek uczciwy...

— Pomimo, że na śniadanie nie prosi...—dodała pani—jak pan Grochiewicz...

Gustaw zmarszczył brwi, usłyszawszy nazwisko kolegi, nic jednak nie rzekł, ale poprosił właściciela fortuny o przerachowanie pieniędzy, złożenie takowych w paczki po dziesięć tysięcy rubli i jechanie z nim natychmiast do banku.

Pojechali.

Bank wydał rewersy na imie Kacpra Mędzińskiego.

Udali się następnie do urzędu, w którym spisany i zaoklatowany został akt pełnomocnictwa.

Z urzędu wyszedłszy, pan Kacper przyznał się, że od półroku blizko bał się ludzi, lękając się wpaść w ręce niepoczciwe i że mu to bardzo na sumieniu ciężyło, bo, jak się wyrażał:

— Jestem tego przekonania, że świat nie składa się przecie z samych nieuczciwych...

Gustaw na to:

— Teraz możesz pan już śmiało wdawać się ze wszystkiemi... Jesteś zabezpieczony...

Rozstali się. Pan Kacper, wbrew zwyczajowi jeżdżenia fiakrem, dla unikania spotkań, udał się do domu piechotą. Na zakręcie jednej z ulic spotkał się nos w nos z Gro-

http://rcin.org.pl

chiewiczem, który, zoczywszy go niespodzianie, wydał okrzyk podziwienia, połączonego z wielką radością.

— Co za szczęście!... co za wielkie szczęście!... Pan dobrodziej w dobrem zdrowiu, jak widzę!... A pani dobrodziejka?... A aniołek?...

— Niczego... chwała Bogu...

— Jakże się cieszę ze spotkania z panem dobrodziejem, właśnie bowiem myślałem o panu... Mam dla pana dobrodzieja interes, prawdziwie złoty interes...

— Na który potrzeba pieniędzy?...

— Oczywiście... Interes żaden bez pieniędzy się nie robi, ale na dobrym wychodzi się tak: dajesz pan dobrodziej sto, a odbierasz trzysta... Rodokanaki, Papadopuło, Inglezi spokoju mi nie dają, ażebym ich do tego interesu przypuścił, ale ja zwlekałem, myśląc o panu dobrodzieju... I szczęśliwy traf dał mi pana spotkać... Co za szczęście!...

— Cóż to za interes?...—zapytał pan Kacper, idąc powoli trotuarem i szturchając przed sobą laską.

— Złoty, powiadam panu dobrodziejowi... Pan nie potrzebujesz palcem kiwnąć... Dasz mi... ile?... sto tysięcy karbowańców, oddam panu... za ile?... za miesiąc... trzykroć sto tysięcy... Dasz mi pan dwieście tysięcy, oddam sześćkroć sto tysięcy... Może wstąpimy do Wysoczańskiego na likieru kieliszeczek?...

— Nie... padam do nóg... Śpieszno mi do domu..

— Gdzież pan dobrodziej mieszka?... Pragnąłbym rozmówić się z panem bliżej o interesie, którego tylko ogólne przedstawiłem zarysy...

— Czy to pilne?...

— Ha! jak zwykle w interesach pieniężnych... Czas płaci, czas traci... Włosi powiadają, że interes każdy ma ogon śliski... jak się raz z rąk wypsnie, już po nim... Kuj

http://rcin.org.pl

żelazo póki gorące... Nie ręczę, ażeby za trzy dni interes ten był jeszcze do zrobienia...

— No, widzi pan, co za nieszczęście!...—odparł pan Kacper tonem wcale dobrze udanego zmartwienia.—A ja złożyłem w banku moje pieniądze i nie mogę się do nich dotknąć, jak tylko za trzechmiesięcznem wypowiedzeniem...

— I trzebaż to było ręce sobie tak związywać!...— Grochiewicz na to.

— Zrobiłem to, żeby nie skorciało...

— Któż to panu dobrodziejowi poradził?...

— A tenże... bodaj go!... pan Gustaw Zahalnicki...

— A!...—zawołał kolega Gustawa, a oczy mu zamigotały dziwnie jakoś. To pan dobrodziej z nim się zetknął... Ahm...

— No jużci... trzeba się było zetknąć z kimeś... Czy to on tego?... e?...

— Cóż ja mam o nim powiedzieć!... Ja mało co o nim słyszałem, wiem tylko, jak on pięknie rodzeństwo swoje pokierował...

— Jakże to?...

— Tego na stolarza... tego na ślusarza... Siostrę jedną zgubił po prostu, na aktorkę z jego łaski poszła... Jeżeli on tak wszystkim dobrze radzi, jak rodzonym braciom i siostrom, tobym do niego psa mego po radę nie posłał...

— No, proszę kogo!...—odezwał się pan Kacper z filuternem oburzeniem.

— Ale, jest na to rada... Pan dobrodziej ciągnąć może weksle, a ja...

— A niech mnie Pan Bóg od tego broni!...—krzyknął pan Kacper z oburzeniem rzeczywistem.

Pan Grochiewicz zrobił minę kwaśną, zapytał o adres, wymówił się interesem powołującym go do Sicarda i pożegnał pana Kacpra bardzo czule.

http://rcin.org.pl

Pan Kacper zdał ze spotkania tego sprawę przed swoją panią.

Wieczorem wyszli oboje razem na bulwary.

Uczęszczać zaczęli na operę włoską.

I urządzili sobie żywot w sposób, którym im i czas uprzyjemniał i polor nadawał.

Żywot ten ich, wzięty w powieściowym względzie, nie nadaje się na materyał do zapełniania stronnic. Dla nich była w nim pewna rozmaitość; powieść atoli, gdyby go odmalować chciała, musiałaby zmienić się w dziennik zatrudnień, jakim się oddawali eks-Kacperek i eks-Kaśka w ustroniu swojem na ulicy Chersońskiej. Dziennik podobny nudziłby czytelnika. Dla tego milczeniem pomijamy epokę całą pobytu ich w Odessie. Przeniesiemy się raczej, na skrzydłach wieści, w okolice Ohrebyszcz i Krasiłowiec.

Wieść o tem, że Ohrebyszcze i Krasiłowce kupuje Kacper Mędziński, były lokaj podkomorzego, przeniosła się z Odessy w lot i rozeszła się z szybkością zadziwiającą. Zdaje się, że nim Kacper na kupno przystał, to już o tem gadano. Przypuszczać należy, że poszło to z Frasoblówki, gdzie się urodził domysł—domysł, który, jak to się zwykle zdarza poszedł w kurs jako rzeczywistość.

Co też to za gadanie zrobiło!.

Zawrzało—zakipiało.

Ta kwestya—ten sęk, że lokaj nie zaś kto inny wygrał stał się najpierwszym roztrząsań głębokich przedmiotem.

Następnie nasunęła się do roztrząsania kwestya następująca:

„Lokaj obywatelem zostanie!“

Niektórym mdławo się koło serca robiło na herezyę podobną. Nie mogli przypuścić, ażeby to być mogło.

http://rcin.org.pl

Radzili się prawa. Prawo powiadało wyraźnie, że szlachcicowi wolno nabywać dobra ziemskie w ilości nieograniczonej; szlachcic zaś, posiadający sto dusz, staje się *eo ipso* obywatelem, ma prawo do gałki na wyborach, do munduru złotem szytego i do dostojeństw najwyższych, chociażby do marszałkostwa gubernialnego.

— Horrory!...

— Czyż przynajmniej nie żonaty?...—zapytywały matki niektóre.

— Żonaty!... z praczką!...

Prawo, zapewne dla trudności niesłychanej przeprowadzenia granicy demarkacyjnej pomiędzy lokajstwem a nielokajstwem, nie powiadało, ażeby tracił do obywatelstwa prawo ten, co lokajem był.

Nie było więc rady.

Wprawdzie, w gronie pewnem, przy preferansiku, urodził się był projekt „patryotyczny“, nie dopuszczenia Mędzińskiego do kupna Ohrebyszcz i Krasiłowiec, a to, za pomocą składki obywatelskiej. Postanowiono zapłacić chociażby dwa razy tyle! Odwoływano się do ducha poświęcenia. Wołano o ofiary. Odgrażano się bardzo głośno. Skończyło się jednak na tem, że zebrano podpisów na rubli srebrem tysięcy szesnaście (jak na niedorzeczność, za wiele), podczas kiedy chodziło o tysięcy około siedmset. Summę tę, na czasy owe ogromną, Mędziński, za pomocą zaciągnięcia długu bankowego, w całości gotówką płacił. Zabiegi więc „patryotyczne“ skończyły się na niczem.

Interes kupna prowadził Gustaw. Lat dwu z górą potrzeba było, ażeby do końca doprowadzić. Ostateczna wypłata nastąpiła w Kijowie, na kontraktach, na które pan Kacper z panem Gustawem jeździł i na których po raz pierwszy o spółobywateli się otarł. Nie obeszło się bez afron-

http://rcin.org.pl

tów, które on z filozoficznym przyjmował spokojem, nie zważając wcale na przycinki dwójznaczne, a może nie rozumiejąc takowych. Najważniejszym faktem tego rodzaju był okrzyk jakiegoś wąsala na sali kontraktowej:

— Precz ztąd z lokajami!...

Ci, co przy Mędzińskim bliżej się znajdowali, odstąpili i sformowała się do koła niego próżnia, której on stanowił centr ze wszech stron oglądany. Sytuacya nie miła, bądź co bądź. Pan Kacper nie wiedział, co ze sobą począć i zmieszał się nieco, gdy ujrzał jegomościa jakiegoś hardej postawy, kroczącego wprost ku niemu. Jegomość ów miał taką minę, jakby go chciał za kołnierz ująć i za drzwi wyprowadzić. Lecz nie małem a nader miłem było jego zdziwienie, kiedy ten rękę mu publicznie podał, dłoń uścisnął i głośno przemówił:

— Korzystam ze sposobności przedstawienia się panu dobrodziejowi, jako jeden z sąsiadów jego, Erazm Dębski...

— Miło mi bardzo...—bąkał Mędziński.

Pan Erazm wsunął mu rękę pod ramie i począł się z nim przechadzać po sali, wśród grupp głośno o wypadku rozmawiających, lecz za każdem ich zbliżeniem się umilkających. Pokątnie odgrażano się wyzwaniem Dębskiego na pojedynek. Lecz odgrażanie się przeszło bez następstw.

Z Kijowa, pan Gustaw podążył wprost do Odessy, pan Kacper zaś obrócił drogę na dobra swoje, w posiadanie których wprowadzonym być miał urzędowie w marcu dopiero.

Zajechał wprost do chaty matczynej.

Staruszka łzami się rzewnemi zalała, ujrzawszy po latach tylu jedynaka panem. Państwu jego nie zdziwiła się, coś już bowiem o tem słyszała; ludzie gadali, a ona i wierzyła i niewierzyła. Znalazła go jednak dziwnie wypięknialym, pomimo, że pan Kacper pięknym w rzeczy samej

http://rcin.org.pl

nie był. Posiadał jednak akcent powagi, odpowiedni stanowi, w jaki wstępował. Był to człowiek wzrostu więcej jak miernego, twarzy dużej i pociągłej, oczy błękitne, włosy płowe, nos równy, czoło nie wysokie ale i nie nizkie i na obliczu rozlany wyraz, który Francuzi nazywają *placidité*. Matka go zasypała pytań gradem i na odpowiedź nie czekała:

— Tyś się ożenił?... nieprawdaż?... z Kaśką?... I macie już dziecko jedno?... nieprawdaż?... dziewczyna?... Niech rośnie i zdrowo się chowa!... Ty chciałeś kupić chatę z gruntem, aleś się namyślił i kupiłeś Ohrebyszcze z Krasiłowcami?... Zkąd ty do pieniędzy przyszedł?... Ja się temu wydziwować nie mogę... Ojciec twój nieboszczyk życie całe pracował i... gdzie!... Nigdy mu na myśl nie przychodziło kupowanie chaty, nie dopieroż Ohrebyszcz i Krasiłowiec... A jak mojej wnuce na imie?... A kiedy ja ją zobaczę?... I na co się ty ożenił z Kaśką, kiedy ja tu upatrzyła dla ciebie żonkę jak malowanie?... Ej, Kacprze, Kacprze! czy ja się spodziewała doczekać czegoś podobnego!...

Baba gadała, trzepała i nieprędko Kacper zdołał głos zabrać, ażeby matce opowiedzieć szczegóły jej nieznane a ciekawe. Staruszka przerywała często synowi opowiadanie wykrzyknikiem:

— Wyraźna łaska boża!...

Wieść o przyjeździe przyszłego dziedzica doszła do dworu, w którym zamieszkiwała administracya majątku. Pan administrator zawitał wnet do chaty starej Mędzińskiej z podziwieniem i z prośbą, ażeby pan Kacper stanąć raczył we dworze. Kacper się wymówił. Obiecał bytność swoją nazajutrz i prosił, ażeby przygotowano sanie i konie, oświadczając, że chce na chwilę do Krasiłowiec zajrzeć.

http://rcin.org.pl

Nazajutrz udał się do dworu. Zaledwie go poznał. Ruina! Sztachety powyłamywane; dach obdarty; okna, jedne papierem pozaklejane, inne poduszkami pozatykane; stajnia wpółzwalona; oficyna spalona; ogród zapuszczony. Przeszedł się po pokojach, i pomijając zniszczenie ogólne, jakie dotknęło podłóg, ścian i mebli, najbardziej uderzył go fortepian, który stał w bawialnym pokoju, na dawnem swojem miejscu, ale sztorcem, ogonem do góry, i zaopatrzony był w drzwiczki malusie. Pan Kacper otworzył drzwiczki. Z wnętrza fortepianu wyskakiwać poczęły króliki białe z oczami czerwonemi. Administrator tłumaczył, że królikom zimnoby było na dworze lub gdzie w śpichrzu jakim i dla tego ulokował je we dworze, a że, gdyby je swobodnie zostawić, breweryeby wyprawiały, więc zamyka je w tem pudle, które inaczej bez użytkuby stało. Fortepian ów był wiedeński i pochodził z najpierwszej fabryki. Kacprowi przypomniał on zaręczyny podkomorzanki.

Konie zamówione czekały. Pojechał do Krasiłowiec.

Tam oczekiwały na niego: owacya ze strony żydów i uprzejme przyjęcie ze strony księżnej.

Żydzi spotkali go z dziesięciorgiem i witali oracyami. Musiał wysiąść w domostwie Borucha, wypić kieliszek szabasówki i przyjąć upominki pod postacią ciast, zwanych uszami hamanowemi, makagig, pierników, fig, rożków i orzechów.

— *Es lebe*!...—wołali.—*A giter puryc*!... Na sto lat!... Na zdrowie!... Na szczęście!...

Księżna powitała go podaniem dłoni. On rękę jej ucałował.

— Siadajcież, panie Kacprze...—rzekła.—Tak to, fortuna kołem się toczy... Byłam na górze, tyś był na dole... Dziś ja na dole, ty na górze...

http://rcin.org.pl

— Dotrzymam święcie, com panu Gustawowi przyrzekł...—odparł Kacper.

— Dziękuję wam... za siebie i za księcia... Bądźcie pewni, że cenić umiem dobre serce wasze... Nie należy się mi od was nic... Robicie więc dla mnie ofiarę...

— Ofiarę?...—zapytał Kacper, jakby znaczenia wyrazu tego nie rozumiał.

I zafrapował go wyraz ten.

Kiedy go wielka przyciskała bieda, że aż musiał u sołdata złotówkę pożyczać; kiedy pod ciężarem pracy upadał, zarabiając na nędzne utrzymanie dla dziecka-niemowlęcia, dla żony, co do niczego nigdy ręki nie przyłożyła: wówczas ani mu przez myśl przechodziło, że ofiarę czyni. Wydawało się mu, że pełni powinność i nic więcej. Dziś, gdy wydzielił część ze zbytków swoich na korzyść dwojga nędzarzy, ciśnięto mu w oczy wyrazem: ofiara. To go zastanowiło. Była to rzecz dla niego nowa zupełnie. Opuszczając przeto księżnę, wynosił od niej mętne jakieś pojęcie zasługi, której przedtem nie rozumiał wcale.

Zarządził w Ohrebyszczach reperacye co najniezbędniejsze, zamówił officyalistów, pożegnał się z matką i powrócił do Odessy, gdzie go pani Katarzyna z utęsknieniem wielkiem wyglądała.

Do pozostawania w Odessie nadal, nie było powodu najmniejszego.

Państwo Kacprostwo wybierali się powoli, układając sobie niejako program życia nowego, jakie niebawem rozpocząć się dla nich miało. Pani sama spoglądała w przyszłość ze spokojem jak największym i z ufnością zupełną. Spokój ten i ta ufność niepokoiły trochę pana Kacpra.

— Kasiu—powiadał do żony—pomyśl jeno, czy potrafisz ty być panią jak należy?...

http://rcin.org.pl

— Owa!... czy to tak trudno!... Wiem już przecie, czego nie robić: nosa palcami nie ucierać, palców w gębę nie tkać, nie drapać się przy gościach w głowę, w plecy ani nigdzie, tyłem się nie obracać, nóg nie zadzierać, nie rozwalać się, nie *hykać*, nie szturchać ludzi palcami ani kułakiem... o... i cóż więcej?... Wiem z drugiej strony co robić: siedzieć swobodnie na kanapie albo na krześle i o zdrowie rozpytywać... To nie sztuka, powiadam ci... Większa sztuka być dobrą praczką, jak przyzwoitą panią... Dam ja państwu rady, nie bój się... Zobaczysz...

W tej materyi miał Mędziński i z panem Gustawem rozmów parę, powód do których dało owo stronienie od niego obywatelstwa w Kijowie. Pan Gustaw dawał mu radę następującą:

— Nie narzucaj się pan, pełń powinność swoją na stanowisku, na jakiem cię los postawił i o resztę nie dbaj... Nie poczuwasz się przecie do winy żadnej...

— Ja się nie poczuwam, ale, zdaje się, jakby mi poczytywano za winę sposób, w jaki do majątku przyszedłem...

— Przeminie to... nie ma w tem bowiem racyi logicznej... Przyszedłeś pan do majątku przypadkiem, jak każdy, co nie doszedł do fortuny pracą własną... Urodzenie się człowieka każdego jest dziełem przypadku, losem na loteryi, jaki każdy, przychodząc na świat, wyciąga... Przypadek względem ciebie rozłożył się na dwa tempa: urodziłeś się ubogim i zbogaciłeś się w sile wieku... Winę przypisywać by ci można w takim jeno razie, gdyby za wstyd uważano posiadanie majątku nie zapracowanego... Może to kiedy nastąpi; jak długo jednak nie nastąpi, używaj w spokoju fortuny, nabytej zupełnie tak, jak jej nabywa każdy, co się bogaczem urodził... Nie narzucaj się współ-

http://rcin.org.pl

obywatelom i czekaj cierpliwie, aż oni sami do ciebie przyjdą...

Z jednej strony żona, z drugiej pan Gustaw dodawali Kacprowi otuchy. Okrom tego, istniała jeszcze racya jedna, która pana Kacpra od rozpaczy broniła. Racya ta polegała na tem, że znanemi mu były słabe obywatelstwa strony, wiedział co ono lubi, do czego lgnie, czego użyć można na nie w rodzaju wędki lub wabika. Lokajowałże przecie, to znaczy, i ocierał się o obywatelstwo i służył mu, a znajdował się w dobrej szkole—w szkole podkomorstwa, które okolicy swojej ton nadawało. W programie przeto, jaki w głowie sobie układał, miejsce naczelne zajmował kucharz a obok kucharza piwnica.

— I mnie samemu to nie zaszkodzi—myślał sobie—zjeść bowiem dobrze, toć to i miło i zdrowo (nie słyszał doktora Gallopin, wulgaryzatora hygieny publicznej i domowej, głoszącego, na podstawie nauki, że smak jest z pomiędzy wrogów człowieka największym)... i ludziom dogadza... Zresztą, co tam żałować sobie!... Skąpy dwa razy traci...

Powiadał o tem żonie. Pani Katarzyna jednak wniknąć nie umiała w głębokie znaczenie kwestyi kuchennej. Nie rozwinęła w sobie jeszcze i nie wyrobiła smaku do stopnia takiego, ażeby kwestya ta miała dla niej to znaczenie, jakie do niej mąż przywiązywał. Zdawało się jej, że przecie każdy, z obywateli zwłaszcza (o nich to bowiem chodziło), ma w domu co jeść, a podjadłszy sobie, cóżby tam się miał łakomić! Do tego sposobu myślenia doprowadziła ją kuchnia odesska. Właścicielka domku przy ulicy Chersońskiej karmiła państwo Kacprostwo dobrze—tak dobrze, że pani Kacprowa tyć znacznie zaczęła—nie dawała im atoli potraw wykwintnych, ani też, w interesie własnym, nie stawiała na ich stole owych specyfików kulinarnych, posiadają-

http://rcin.org.pl

cych własność zaostrzania apetytu. W Odessie przeto państwo Kacprostwo powodowali się apetytem naturalnym. Dla tego to, pani Katarzyna kwestyi kuchennej nie rozumiała jeszcze.

Rozumiał ją jednak pan Kacper bardzo dobrze. Stanowiła ona dla niego dopełnienie rady pana Gustawa. Radą tego ostatniego było: „Nie narzucaj się!“—pan Kacper dodawał: „i miej kucharza *arte*“... Kończył zaś tą samą, co pan Gustaw konkluzyą: „O resztę nie dbaj“...

Ta reszta atoli zatrwożyła go nieco, zapowiedziała mu się bowiem niejako, w Odessie jeszcze, na dni kilka przed opuszczeniem stolicy handlu czarnomorskiego, pod postacią bardzo przykrą. Zaanonsowano mu wizytę dwóch jakicheś panów. Pan Kacper kazał służącemu zapytać o nazwiska. Służący przyniósł dwie karty wizytowe, obie z koronami, jedna szlachecką, druga hrabiowską, na jednej nazwisko J. de Grochiewicz, na drugiej C-te Charles de Kostrzewicki.

— Prosić...—rzekł do służącego.

Sam zaś z salonu uciekł, pod pozorem poprawienia czegoś w toalecie swojej, w istocie jednak w celu nabrania ducha, który w nim, nagle, jakby zamarł.

— Co ci?...—zapytała żona, postrzegłszy pomieszanie jego.

— I nic...—odparł, stając przed zwierciadłem, gładząc sobie szczoteczką czuprynę i dziwiąc się sam bladości twarzy własnej.

— Ktoś przyszedł...

— Przyszedł... Wiesz kto?..Nie zgadłabyś.. Pan Karol.

— A no... Chyba czegoś chce...

Uwaga ta żony przywróciła panu Kacprowi odwagę, którą postradał był niewiedzieć dla czego. Przygładził so-

http://rcin.org.pl

bie włosy, utarł nos, odchrząknął i wyszedł do gości krokiem pewnym.

Powitanie odbyło się za pomocą ukłonu, który ze strony pana Karola tak był lekkim, iż go prawie nie było.

— Proszę panów...—przemówił Kacper, ukazując ręką krzesła i wahając się, czy sam ma usiąść.

Usiadł jednak.

Pan Karol przypatrywał mu się z miną na poły drwiącą, co Kacprowi szyki w głowie mieszało.

— Jakże zdrowie?...—zaczął.

— Hm... hm...—odpowiedział Grochiewicz.

Zapanowało chwilowe milczenie, które przerwał pan Karol.

— Byłem u ciebie—rzekł—trzy lata temu, tego samego dnia, w którym ślepy traf dał ci w ręce fortunę...

Kacper giestem odpowiedział, że się o tem pierwszy raz dowiaduje.

— Czy wiesz, po co przyjeżdżałem?...

— Nie wiem...

— Powinszować ci... Przyjeżdżałem powinszować ci i czekałem wraz z matką moją, że się przecie domyślisz i sam zgłosisz do ludzi, którym tyle winien jesteś...

— Ja?...—zapytał pan Kacper z przyciskiem niejakim.

— Któż?...

Kacprowi stanęło nagle w myśli oddanie go pod sąd przez podkomorzynę.

— Gdyby ciebie nieboszczyk ojciec mój nie wziął i nie wychował, gdyby matka moja nie była cię zabrała do Odessy, gdybyś nie był od dzieciństwa przez rodziców moich obsypywany dobrodziejstwami, to dziś chodziłbyś za pługiem... Tak, czy nie?... A tyś nawet nie raczył do nas zajrzeć, pomimo żem cię pierwszy odwiedził...

http://rcin.org.pl

— I ja odwiedzałem, jak sobie pan Kacper przypomina...—odezwał się pan Grochiewicz.—I prosiłem pana do siebie nie w innym celu, jeno w tym, ażeby przypomnieć mu obowiązek wdzięczności względem pani podkomorzyny...

— Wdzięczności—podchwycił pan Karol—posuniętej do tego stopnia, że nietylko o prostej względem dobroczyńców swoich powinności zapomniał, ale jeszcze i majątek im zabrał...

— Ja...—replikował Grochiewicz—wbrew zwyczajowi memu, napraszałem się prawie z radami, narzucałem się niemal... i gdyby pan Kacper mnie słuchał, byłby tego nie dopuścił... Jak to?... zabierać majątek dobroczyńcom swoim?... A!...

— I ani zajrzeć do nich!...—wykrzyknął pan Karol.

— I ani zajrzeć do nich!...—zawtórował Grochiewicz.

Pan Kacper, który to bladł, to znów czerwieniał, podczas kiedy panowie kolejno przemawiali, ochłonął nakoniec, poprawił się na krześle, odchrząknął głośno, uśmiechnął się drwiąco i głos zabrał:

— Wiem, w jakim celu zaszczyciliście mnie panowie wizytą swoją... Żeby atoli celu tego dopiąć, trzeba się było do mnie inaczej trochę brać... Ślepy traf majątek mi w ręce dał i ten sam ślepy traf w ręce nieboszczyka podkomorzego mnie oddał... Wszystko poszło z zająca, którego ojciec mój nieboszczyk zastrzelił... Jeżeli przeto komu wdzięczność się odemnie należy, to najprzód ojcu memu, za zastrzelenie zająca, a potem żydowi, który mnie namówił do kupienia biletu na loteryę... Rodzicom pańskim—tu się zwrócił wprost do pana Karola—służyłem, i służbą, jakiej po mnie wymagano, odwdzięczałem się za dobrodziejstwa, które odbierałem pod postacią zasług... Nie znam dobrodziejstw innych...

http://rcin.org.pl

— Samo to, żeś w domu był...—wtrącił pan Karol.

— Gdzież być miałem!... Służąc... za lokaja! Nie sposób lokaja trzymać gdzieindziej, jak w domu...

— Faktem jednak jest, że zabrałeś pan majątek—podchwycił Grochiewicz—i że ze strony pańskiej należy się pierwotnemu onego właścicielowi indemnizacya odpowiednia...

Pan Kacper uśmiechnął się.

— Majątek, panie łaskawy, kupiłem—odrzekł—u wierzycieli podkomorzyca Kostrzewickiego...

— U oszustów!... u złodziei!...—krzyknął podkomorzyc.—Kto kradzione rzeczy kupuje!...

— Indemnizacya nie należy się odemnie żadna nikomu...—odparł Kacper, wstając, prostując się i głowę podnosząc.

— Aaa!...—krzyknęli obydwa.

— I, jeżeli panowie tym dalej do mnie przemawiać będziecie językiem, to poproszę panów uprzejmie o wyświadczenie mi dobrodziejstwa i skrócenie wizyty...

Po słowach tych, wyrzeczonych tonem stanowczym, spojrzeli po sobie pan Grochiewicz i podkomorzyc, ten zaś ostatni odrzekł:

— No-ooo!... W gorącej widać kąpanyś wodzie, kiedy tak wszystko bierzesz wnet do serca... Tu nie chodzi o nic innego, tylko o to, żeby cię nie dopuścić popaść w niewdzięczność... Rzecz czysta i prosta...

— Indemnizacya jakaś należy się, chociażby się spuścili na sąd cygański...—dodał Grochiewicz.

— Dobrze...—odparł Kacper z powściąganym uśmiechem. Zgoda... Odwołajmy się do sądu... chociażby cygańskiego...

— Co tam sądy!...—podchwycił pan Karol.—Sądem

http://rcin.org.pl

najlepszym, sumienie człowieka... Pewny jestem, że sumienie powiada Kacprowi, że się mnie od niego coś należy...

— Co, naprzykład?...—zapytał Kacper tonem już wyraźnie drwiącym.

— Cóż?... nic?...—odparł podkomorzyc.

— Na dobrą sprawę, albo wszystko, com wygrał na loteryi, albo nic.

— Nie wszystko i nie nic, ale tysięcy... ze... hm...

— Dwadzieścia...—dokończył Grochiewicz.

— Trzebaż było od tego zacząć i wręcz mi powiedzieć: Kacprze, przyszedłem do ciebie po to, ażebyś mi dał dwadzieścia tysięcy... Jabym odpowiedział: dam karbowańców sto...

— Ha! *canaille*!...—krzyknął podkomorzyc, zrywając się i za kapelusz chwytając.—Dokop się tu uczuć szlachetnych w lokajskiej duszy!...

Nałożył kapelusz i wyszedł, popychając przed sobą Grochiewicza. W przedpokoju słychać było głos tego ostatniego:

— Czegoś się pan dobrodziej uniósł?...

Kacper pozostał na środku salonu z uśmiechem ironicznym na ustach, i nim uśmiech ten ustąpił, doczekał się powrotu jednego z dwóch gości swoich, a mianowicie pana Karola...

— Uniosłem się...—rzekł wchodząc i dłoń Kacprowi podając.—Przepraszam... Znasz mnie przecie i wiesz, że się unoszę niekiedy... Przyznaj jednak sam, możnaż było nie unieść się, jakeś mi stem rubli w oczy cblasnął!... Przyznaję, że co ten dudek powiedział... tysięcy dwadzieścia... to za wiele... za wiele... Ale tak... połowa tego...

Kacper, który ujętą i mocno ciśnioną dłoń swoją, pozostawił bezwładnie w dłoni podkomorzyca, głową wstrząsnął na znak odmowy.

http://rcin.org.pl

— Więc tysięcy pięć...

Znów Kacper głową wstrząsnął.

— Jakto?... nie?... nic?...

— Rubli dwieście...

— Ha!.. to niech będzie... trzy tysiące...

— Nie...

— Ani tysiąc pięćset?...

— Nie...

— Tysiąc!...

— Pięćset...—rzekł Kacper tonem, który zapowiada postanowienie ostateczne i niezłomne.

— Wiesz, Kacprze...—odparł podkomorzyc tonem półrozrzewnienia—że miałem dla ciebie słabość zawsze... Rubli pięćset... to kpina... Nie zrobiłbym tego dla nikogo, tylko dla ciebie jednego... Dawaj!...

— Dam, ale pod jednym warunkiem...

— Po jakim?...

— Przez tę słabość, jaką ma pan dla mnie, napiszesz mi pan pokwitowanie, że biorąc u mnie rubli pięćset za nic, zrzekasz się oraz wszelkich pretensyj do wdzięczności z mojej strony...

— Na cóż to?...

— Na wszelki wypadek... Może kiedy potrzebować będę przekonywać kogo, żem dług wdzięczności spłacił...

— Masz moje słowo...

— Wolę pismo...

— Słowo honoru!...

— Inaczej nie dam rubli pięciuset...

— Cóż z tobą robić!... Dawaj papieru i pióro...

Pokwitowanie w żądanej formie zostało napisane.

Pieniądze zostały wypłacone.

http://rcin.org.pl

XIII.

Państwo Kacprostwo osiedli tedy w Ohrebyszczach.

Mamże opisywać ich przybycie? Porządek powieściowy wymagałby tego. Mam nawet w ilości sporej frazesy gotowe do ulokowania w tem miejscu. Ale—powiem po naszemu: „pal djabli porządek!“—pominę część opisową, a przystąpię wprost do opowiadaniowej.

Pani Katarzyna, jakkolwiek, co do kwestyi panowania, czuła ufność zupełną sama do siebie, wszakże na samym panowania wstępie, zrobiło się jej jakoś nijako—i to nie w obec współobywateli i współobywatelek, których nawet nie widziała jeszcze, ale w obec Ohrebyszczan, w obec domowników i sług własnych, w obec zresztą miejsc samych tysiącem wspomnień brzemiennych. Tu stało się jej-to, tu owo. Ten ją połajał nieraz, od tego w kark dostała, ów obszedł się z nią w sposób wcale... nie kawalerski, ani też szarmancki. Ujrzała oblicze kobiety, która ją po razy kilka na godzinę „niechlują“ nazywała. Nikt jej zresztą inaczej nie nazywał, i gdy uciekła, to głos powszechny wróżył jej koniec bardzo smutny, na tej podstawie, że taka jak ona utrzymać się jeno mogła w Ohrebyszczach jednych, gdzie się urodziła. Nie przypuszczano, ażeby ją kto na służbę przyjął. Nie wiedziano, co ją do ucieczki zmusiło. Zapomniano o niej—i oto, nagle, Kaśka niechluja, Kaśka niero-

http://rcin.org.pl

ba, Kaśka popychadło i przedmiot żartów czeladzi najpośledniejszej, zjawia się panią Ohrebyszcz i Krasiłowiec.

I jej było nijako—i ludziom było nijako.

Niektórym kręciło się po myśli: czy nie uciekać w świat za oczy?

Lękali się zemsty Kaśki.

Kaśka jednak, w panią Katarzynę przeistoczona, o zemście żadnej ani myślała. Ona się sama czegoś lękała—czego?—tego by zdefiniować nie mogła. Zdawało się jej, że dla odwrócenia owej „niby zemsty“ od siebie, wypada ujmować dobrocią czeladź, sługi. Stanęła więc względem nich od razu, jako pani i gospodyni wyrozumiała i względna, przystępowała do nich z ostrożnością i nieśmiałością niejaką i kiedy do niej ta sama, co ją najczęściej „niechlują“ przezywała, „imość lubko“ przemówiła, rozpłakała się z rozrzewnienia głębokiego, które ją nagle opanowało.

Lękając się owej „niby zemsty“, nietyle może miała na względzie siebie samą, co Franusię swoją, dziewczynkę w czwartym roczku, oczko swoje złote. O nią jej głównie chodziło. Sługi jednak, jakby przeczuwając troskę matczyną, otoczyły dziecko odrazu tą pieczołowitością, jaką jeno na wsi znają, gdzie dzieci uważają się na seryo za błogosławieństwo Boże. Franusia była w mieście obsługiwaną; na wsi ujrzała się wśród niewolnic i niewolników, śledzących jej skinienia. Stała się więc łącznikiem, który sprowadził bardzo prędko harmonię pomiędzy dawną Kaśką a byłymi jej prześladowcami. Franusia sankcyonowała ją na panią; włożyła jej na głowę koronę macierzyństwa i ta dokonała przeistoczenia. Matka panienki nie mogła być czem innem jeno panią.

Panu Kacprowi poszło w tym względzie bez porównania łatwiej. On bo był panem i przedtem, tylko nic dla

http://rcin.org.pl

równych sobie i nie dla wyższych, których znajdowała się w Ohrebyszczach liczba ograniczona. A i tych kataklizm majątkowy, jaki dotknął dawnych panów, rozpędził na cztery wiatry, tak, że z całego grona pozostał jeden stary Lewicki, zamieszkujący tymczasowie w chacie chłopskiej i nie wiedzący co ze sobą począć. Ten, zaledwie państwo Kacprostwo we dworze stanęli, przedstawił się dawnemu podwładnemu swemu z ukłonem do kolan.

— A! to wy, panie Lewicki?...

— Ścielę się do stópek jaśnie pana...—była starego kamerdynera odpowiedź—i ofiaruję mu służby swoje...

Owo „jaśnie państwo“ spadło jak z nieba. Pan Kacper nie zaprotestował, nie mogąc się połapać odrazu, czy mu się ten tytuł należy czy nie, a czując, że go on podnosi w oczach gawiedzi. Nie zadawał sobie pytania, ażali „jaśnie państwo“ nie jest przywiązane do dziedzictwa Ohrebyszcz. Za granicą, gdzie się szlachcice wedle ziem lub zamków nazywają, byłoby to zupełnie w porządku. Ten jest markizem od markizatu, ów hrabią od hrabstwa, inny księciem od księztwa—jaśnieją blaskiem pożyczanym, jak księżyce. Nasi, w małpowaniu księżyców, słońca udają, i dodając sobie „de“ do „ski“ chcą świecić blaskiem własnym. Pan Kacper kwestyi tej nie zbadał, nie poprawił więc Lewickiemu tego *lapsum linguae* umyślnego i odpowiedział dawnemu swemu przełożonemu zapytaniem:

— Chcesz stanąć na służbę u mnie?...

— Jeżeli łaska jaśnie pana...—odparł Lewicki, kłaniając się powtórnie.—Służba kamerdynerska na palcach mi jest znana... Lat czterdzieści pięć, jaśnie panie!... w tym domu...

— Dobrze więc, zostań u mnie... na warunkach...

— Jaśnie wielmożny podkomorzy nieboszczyk płacił

http://rcin.org.pl

mi rocznie rubli srebrnych siedmdziesiąt i pięć i obiecywał podwyższyć, ale... śmierć zaskoczyła, a potem, jak jaśnie panu musi być zapewne wiadomo, nastąpiła zarwanica...

— Ja ci pensyę podwyższę do rubli... ośmdziesięciu pięciu...

— Do nóżek się ścielę jaśnie panu, dziękując jak najpokorniej za wspaniałomyślność jego...

To także był szlachcic i przodkowie jego podobnoś... Mniejsza jednak o to! Dość, że Lewicki zajął we dworze ohrebyskim stanowisko, zajmowane dawniej i przez wprowadzenie „jaśnie państwa“ przyczynił się niemało do wzmocnienia stanowiska pana Kacpra.

Wszystko to atoli odnosiło się do spraw, że tak powiemy, wewnętrznych. „Jaśnie państwo“ wśród służby przyjęło się. Za służbą poszli żydzi krasiłowieccy, których olśniewał „*a glik*“ człowieka nagle zbogaconego i gotowi go byli tytułować, nie tylko „jasnym“, ale i „najjaśniejszym“, gdyby wolno było. Za służbą poszli officyaliści i chłopi i sprawy wewnętrzne dobrze się ułożyły, tembardziej, że pan Kacper, jako pan i dziedzic, postawił się poważnie, podszywając powagę sprawiedliwością i konduitą moralną. Było to osobliwością. Osobliwość ta jednak łacno się tłumaczy, biorąc na uwagę tę okoliczność, że się z lokajstwa w państwo przerzucił nie odrazu, ale przeszedł przez czyściec prany i nabrał dla pracy poszanowania. Na tem, bodaj, czy nie opiera się cała moralność.

Wołaliśmy wciąż: „lokaj!... lokaj!“, odkładając umyślnie przyciśnięcie pióra w tem miejscu, na którem podkreślić możemy wyraz „*praca*“.

Praca go oczyściła.

Uszanował ją.

I dla tego umiał szanować bliźniego w osobach sług

http://rcin.org.pl

i officyalistów swoich, żydów i żydówek, poddanych i poddanek.

Odrazu to się czuć dało. Sprawy wewnętrzne ułożyły się dobrze, nie wmieszały się bowiem do nich męty i tajemnice, o których, „ne znajut' ni żinka ni dity", jak Szewczenko powiada.

Pozostawały jednak sprawy zewnętrzne do urządzenia.

Otóż tu znajdował się sęk, który wydawał się do rozbicia trudnym.

Pan Kacper miał rozgarnienia na tyle, że wiedział, iż od kroku pierwszego wszystko zależy, nie chciał więc stawiać precedensów, któreby na jego wypadły niekorzyść: nie śpieszył się z oddawaniem sąsiadom wizyt, w obawie, ażeby się nie narazić na to, iżby pierwszy, któregoby atencyą swoją zaszczycił, bez rewizyty go nie zostawił. Wolał przeto puścić rzecz tę w odwłokę, czekając na okazyą. Zameldował się tylko marszałkowi powiatowemu, który przyjął go sztywnie, officyalnie i z tą grzecznością, która przymusem trąci. Zresztą, nie jeździł do Frasoblówki nawet, a tylko... przyjął kucharza.

Przyjął kucharza, który dwóch obywateli na marszałków guberskich wykierował i słynął na Podole, Wołyń i Ukrainę całą.

Był to kucharz i cukiernik w jednej osobie.

Wieczerza jedna cukrowa, którą sporządził, oczekiwała jeno na poetę, coby ją potomności przekazał.

Przyjęcie kucharza tego wstrząsnęło opinią publiczną okolicy. Zajmowano się Kacprem ogromnie i bez tego. Od tego atoli momentu, nie zajmowano się czem innem, jak tylko wnioskami, przypuszczeniami i domysłami, jakie fakt ten nastręczał.

http://rcin.org.pl

— Co on sobie myśli!...—powiadano.—Dla kogo on tego kuchmistrza wziął?... dla siebie i dla jejmości swojej?..

Dowcipnisie powiatowi popisywali się z konceptami. Opowiadali, naprzykład, że pan Kacper i pani Kacprowa, przy każdym obiedzie, po każdej potrawie, przypominają jedno drugiemu, ażeby się oblizało. Końca temu nie było. Konceptów na wołowej nie spisać skórze. Państwo Kacprostwo stali się przedmiotem pośmiewiska powszechnego, pośmiewiska zabijającego, które atoli zwalić nie mogło faktu—kucharza. Gdyby pan Kacper, pośmiewisko do serca biorąc, był kucharza odprawił, byłby, jeżeli nie zginął (zginąć nie mógł pan taki) w opinii publicznej, to przynajmniej położenie sobie bardzo utrudnił.

On jednak nie zważał wcale na to. Kucharza trzymał.

Kucharza trzymał i doczekał się tego, że do ohrebyskiego dworu zaglądać poczęli ten i ów sposobem przypadkowym. Pierwszym, co się herezyi tej dopuścił, był właśnie autor konceptu o oblizywaniach się. Przejeżdżał przez Ohrebyszcze i koń dyszlowy podkowę zgubił. Pod sekretem powiadamy czytelnikom, że koń ten bez podkowy z domu wyszedł. Mniejsza jednak o to. Podkowa ta sprowadziła zbieg okoliczności taki: dzień roboczy, kuźnia zamknięta, kowal w polu, sprowadzenie kowala zależało od ekonoma, któremu się szlachcic nie chciał kłaniać i udał się do dworu, przedkładając wypadek, jaki go spotkał i prosząc o pozwolenie kowalowi zarobienia groszy kilka.

— Najchętniej, panie dobrodzieju, najchętniej...—była odpowiedź pana Kacpra, który też natychmiast po kowala posłać kazał.

Szlachcic podziękował serdecznie i zabierał się do odejścia.

— Ależ pan dobrodziej—odezwał się uczynny gospo-

http://rcin.org.pl

darz—będziesz musiał trochę poczekać... Kowal na poletku swoim... Nim to go odszukają, upłynie czasu niemało...

— Ha! i cóż robić!..—szlachcic na to.—Wypadek taki.

— Możeby pan dobrodziej rozgościć się zechciał w moim domu... Toć to już i obiadowa pora... Posiliłby się pan dobrodziej...

— Subjekcya...—odparł szlachcic.

— Co za subjekcya!... Byłoby mi najmilej... proszę mi wierzyć...

— Ha!... Człowiek się przeciwko przypadkom assekurować nie może...

Pozostał szlachcic, do stołu zasiadł, usługiwali mu lokaje w białych rękawiczkach i we frakach, uśmiechała się do niego uprzejmie pani Mędzińska, jadł, oblizywał się—konia mu tymczasem podkuto—zjadł, wypił filiżaneczkę kawy czarnej, wypił likieru kieliszek, dostał sygar Hawanna na drogę, siadł na bryczkę, oblizywał się i rozgłosił po okolicy całej o przypadku, który go na obiadek w Ohrebyszczach naraził.

— Co za obiadek, powiem asańśtwu dobrodziejstwu!.. Co za szyk!... fiii-hi!...

W tygodni kilka później przyznawał się, że mu smak nietylko do gęby, ale i do nosa powraca.

Za przykładem szlachcica tego poszli inni. Przypadków z podkowami, z kołami, z naszelnikami, etc., mnożyć się zaczęło w Ohrebyszczach w sposób zadziwiający. Z tuzin jaki szlachciców musiał na obiadku pozostawać. Pan Kacper wciąż jeszcze na okazyę czekał, pilnując wyłącznie spraw wewnętrznych i nie żyjąc z nikim, z wyjątkiem księztwa Gamajdów.

Życie atoli z księztwem—cóż to było za życie!

Książe trzymał się miejsca, przy stoliczku, na fotelu.

Księżna pędziła dnie w samotności i smutku—w ko-

http://rcin.org.pl

ściele i przed zwierciadłem. Nie bywała nigdzie, nie chciała się widywać z nikim. Przesuwała się, gęstym woalem zasłonięta, z pałacu do kościoła, z kościoła do pałacu, pisywała do matki listy długie, zresztą studyowała fizyognomię własną, na której czas i smutek pisały literami wielkiemi pożegnanie młodości. Czego ona właściwie na obliczu swojem śledziła, to trudno wytłumaczyć. Bywają ludzie, poświęcający czas życia całego badaniu przedmiotu jakiegoś wyłącznego—muszki, żuczka, mrówki, naprzykład. Stanowi to pewien rodzaj manii, prowadzącej niekiedy do ważnych w nauce odkryć. Być więc może, że mania podobna i księżnę opanowała. Nie wiem. Faktem jest, że, jeżeli nie znajdowała się w kościele, nie pisała listu do matki i nie przyjmowała posiłków do utrzymania życia i sił fizycznych potrzebnych, to czas cały, jaki od zajęć tych pozostawał, trawiła przed zwierciadłem. Zasiadała i patrzała, patrzała i patrzała, odrywała oczy na to jedynie, ażeby wnet je zwracać i topić w odbiciu postaci własnej, przedstawiającej się w zwierciadlanej przezroczy.

Postać ta zmieniła się wielce. Gdzie jej było do tej księżnej, którą w Paryżu hołdy kosmopolityczne otaczały! Coś w niej jednak pozostawało z ponęt dawniejszych—coś, czego określić nie sposób inaczej, chyba powiadając ogólnie, że pozór jej budził współczucie. Ze smutkiem było jej do twarzy. Występował on na niej pod postacią owej melancholii, którą Słowacki wyszydzić usiłował, która atoli posiada urok pewien, którą owiewa poetyczność jakaś. Podejrzywać można, że księżna studyowała się w zwierciadle nie w innym celu, jeno dla umelancholizowania smutku swego, dla odróżnienia go od smutku gminnego, sprawiającego wstręt w ludziach, nie mających do smucenia się powodów. Smutek księżnej był takim, że chciało się go z nią podzie-

http://rcin.org.pl

lać, nie miał bowiem ani policzków wychudłych, ani oczów wpadłych lub opuchłych, ani sińców pod oczami, ani kości sterczących, ani ubioru zaniedbanego. Przeciwnie. Księżna wyglądała, nie świeżo wprawdzie, ale wcale nieźle— nie roztyła się, jak pani Kacprowa naprzykład, nie schudła jednak bynajmniej. Dla tego to zapewne melancholia odbijała od niej sympatycznie, bardzo sympatycznie.

Spółczucie dla niej tem było silniejsze, że stroniła od ludzi. Parafianie krasiłowieccy widywali ją zdaleka, przez mgłę woalu, jedynym zaś człowiekiem, co ją odwiedzał, był pan Kacper, którego ona przyjmowała uprzejmie, dziękując mu, że nie zapomina o samotnicy.

— Gdyby nie ty, panie Kacprze kochany—rzekła razu pewnego—nie wiedziałabym już, jak ludzie... ludzie poczciwi... wyglądają...

— Czemuż bo się wasza książęca mość tak odosabnia!...—odważył się pan Kacper uwagę raz z robić.

— Cóż chcesz!...

— Wyjechaćby gdzie, bodaj w pole, jeżeliby wasza książęca mość—dodał nieśmiało — nie chciała zaglądnąć niekiedy do mnie, naprzykład...

— Bez księcia nie mogę...

— A to z księciem panem...

Księżna usmiechnęła się i głową wstrząsnęła, na znak, że jest to rzeczą absolutnie niemożliwą.

Gdy się wznowiła rozmowa podobna, odrzekła:

— Oto wiesz co, panie Kacprze... jeżeli chcesz sprawić mi przyjemność, przyjedź kiedy z żoną i z dzieckiem... Wszak masz dziecko?...

— Mam, wasza książęca mość...

— Duże?...

— Piąty roczek...

http://rcin.org.pl

— Chłopiec?... dziewczyna?...

— Dziewczyna...

— O! posażna panna!...—podchwyciła księżna—jeśli wam Bóg dzieci więcej nie da...

Po krótkiem milczeniu powtórzyła:

— Przywieź mi, panie Kacprze, twoją żonę i córkę... Zrobi mi to przyjemność..

Kacper, w parę dni później, stawił się w krasiłowieckim pałacu z panią Katarzyną i z Franusią.

Panią Katarzynę pałac zafrapował widokiem swoim.

— Ależ rudera!...—krzyknęła.—Jakże tu mieszkać można!...

— Albo co?...—zapytał pan Kacper, którego wykrzyknik żony zastanowił do tego stopnia, że pierwszy raz pałac z wierzchu pilniej oglądać począł.

— Co?... Jabym ci tu za żadne skarby świata nie mieszkała!... Bałabym się, ażeby mi się to wszystko na głowę nie zwaliło...

Kacper ramionami ścisnął i poprowadził żonę z córką do księżnej, która z serdeczną, i jak się zdawało, ani trochę nie udawaną uprzejmością, przyjmowała gości tak odmiennego od niej mianownika. Rozmowy nie powtarzamy—bo i cóż to za rozmowa była! Księżna, celem ujęcia zapewne matki, wydała wykrzyków ilość niemałą pod adresem dziewczęcia:

— Co za śliczna!... co za luba!... Jakież to miłe dziecko!... Zachwycająca!...

— Pieszczą ją wszyscy...—odrzekła pani Katarzyna—babunia szczególnie...

— To ma babunię?...

— Matka moja, mości księżno...—odparł Kacper.

— Jakże bo nie pieścić aniołka takiego!...

http://rcin.org.pl

I tak dalej. I tak dalej.

Wizyta się skończyła. Pan Kacper, wsadziwszy żonę do pojazdu, obchodził czas jakiś pałac do koła, przypatrywał się mu i głową kiwał, mówiąc sam do siebie:

— Kasia ma racyę, jak mi Bóg miły...

Nazajutrz wystąpił do księżnej z propozycyą formalną, którą od następujących, trochę *in crudo*, rozpoczął wyrazów:

— Niech wasza książęca mość z księciem panem wynosi się z pałacu...

— Cóż?... wymawiasz nam dach, panie Kacprze?...— zapytała łagodnie.

— A... nie... Ale w pałacu tym mieszkać niebezpiecznie, a restaurować go nie warto, trzebaby bowiem zwalić i odbudować inaczej... To rudera, co się już sama nie utrzyma, a podeprzeć ją, to podpory licho wezmą... Jest tu dworek w Krasiłowcach, każę go wyreperować i umeblować, tymczasem zaś niech księztwo raczą gościnność w domu moim przyjąć...

Księżna westchnęła, głową wstrząsnęła i odparła:

— Nie sposób...

— I czemuż to?...

— Księcia z jego siedzenia żadna wyrwać nie potrafi potęga, a... gdzie książe tam i ja... Opatrzność nas związała...

Pan Kacper nie mógł się obronić wzruszeniu pewnemu.

— Zacna żona...—pomyślał sobie.—Gotowa żywcem się przy mężu zagrzebać... Szczęście jej tylko, że mąż ten niedługowieczny, i zdaje się, prędzej umrze, aniżeli się pałac zwali...

Dodał jednak głosem wzruszonym:

— Ależ się pałac ten lada moment zwali!...

http://rcin.org.pl

— Ha!... Zmieni się tylko rodzaj grobu... Jest stojącym, będzie leżącym...

Nie było co nalegać dalej. Kacpra dziwićby mogło przywiązanie kobiety do męża, którego ona nie widywała nigdy prawie, gdyby obcemi mu były zwyczaje, w wysokich sferach towarzyskich przyjęte, wedle których przywiązanie a widywanie się stanowią dwie rzeczy całe różne. Gdzie można kochać przez prokuracyę, tam można czuć przywiązanie, nie widując się nigdy. Księżna zapytywała jeno Weroniki codziennie o zdrowie księcia.

Na tem ograniczał się ich stosunek cały. Mimo to, jak się pokazuje, przywiązaną była. To dziwne, ale—dziwnem to być może jeno dla gminu, nie umiejącego umysłem pospolitym pojmować tych węzłów powietrznych, którym uksiążęcenie, uhrabienie, ubaronienie zresztą nadaje moc niespożytą. Gmin, dowiedziawszy się o fakcie, który pan Kacper opowiadał zaglądającym do niego przypadkowo i zjadającym obiadki jego niechcący szlachcicom, wołał:

— Co za poświęcenie!... Co za ofiara!... Co to za kobieta!... Pokazuje się to, mości dobrodzieju, teraz... po harapie... Dobra krew górę wzięła...

Ludzie moich lat, gdy wyrostkami byli, przypominają sobie zapewne trzęsienie ziemi dosyć silne, które się czuć dało na Podolu i Ukrainie. Podobnoś i na Wołyń rozciągnęło się ono. Szczegółu tego nie pamiętam. Pamiętam jednak doskonale trwogę, jaka ogarnęła była nas, w gronie rodzinnem, gdyśmy usłyszeli nagle huk głuchy, połączony z kołysaniem się gruntu pod nogami. Belki w domu zatrzeszczały, ze ścian obrazy pospadały, szkła zadzwoniły, dzwony cerkiewne jękły. Wybiegliśmy gromadą całą domowników na podwórze z okrzykami: ogień!... pali się!... I nie

http://rcin.org.pl

umieliśmy sprawy sobie zdać z tego, co zaszło, aż ojciec nazwał zjawisko. Działo się to nad wieczorem.

To samo, w tym samym czasie, zrobiło się w Ohrebyszczach.

Pan Kacper, pani Kacprowa, chwytając Franię na ręce, słudzy wszyscy wysypali się hurmem na podwórze.

Zjawisko nazwał stary Lewicki, tłumacząc, że się zdarza w jednych miejscach co lat pięćdziesiąt, w drugich co czterdzieści, w trzecich co trzydzieści i t. d., a w niektórych co rok, jak naprzykład, w Dryżypolu, gdzie na świętego Michała, regularnie:

— Tyrrrr... I to proszę jasnej pani—wykładał eks-Kaśce—to od takiej ryby, która, jak kiwnie ogonem, to się ziemia nad ogonem trzęsie, a jak ruszy skrzelą, to nad skrzelą, a jak się trzepnie, to już ziemia się trzęsie... ha!...

— Cóż to za ryba taka?...—zapytała pani Katarzyna z zajęciem.

— A taż, co to proroka Jonasza połknęła... Pan Bóg ją za to w ziemię wetknął i pozwolił jej trzepać raz ogonem, znów skrzelą, znów sobą całą, inaczej bowiem trzęsienie ziemi byłoby bez końca... Taka jej pokuta... I proroka oddać musiała i swobody się pozbawiła... Pan Bóg wie co robi...

Tłumaczenie fenomenu tak jasne, o ile z jednej strony uspokoiło o tyle z drugiej zajęło umysły. Frania mianowicie nie dawała rodzicom spokoju, dopytując się o rybę ową, czy to szczupak, czy karp' i przy herbacie wieczornej wytoczyła kwestyę tę na stół, matka zaś, korzystając z okazyi, opowiadała jej, jak to Pan Bóg złych karze.

— Ot, widzisz—mówiła—co się z rybą zrobiło...

Frania zakonkludowała, że proroków połykać nie wolno.

http://rcin.org.pl

I właśnie kiedy dziecko do tej logicznej bardzo i naturalnej konkluzyi doszło, wpadł do sali jadalnej zadyszany żydek krasiłowiecki z okrzykiem na ustach:

— Palac!...

Strwożyła się pani Katarzyna; zerwał się od stołu pan Kacper w przeczuciu wypadku jakiegoś. Zapytywany żyd, wymachiwał rękami, pokazywał coś na migi, zachlistywał się i krzyczał:

— Palac!... ny!... palac!...

Wpadł drugi żyd, ujął się dłoniami za głowę i wołać począł:

— Aj waj!... aj waj!... aj waj!...

Po drugim wbiegł niebawem trzeci, podniósł głowę do góry i zawył żałośnie:

— Uuuuu!...

— Konia!...—krzyknął pan Kacper na służbę.—Konia dla mnie osiodłać i do powozu zaprządz!...

Domyślał się czegoś. Wybiegł na ganek. Ujrzał żydów gęsiego śpieszących. Kazał przed nimi bramę zamknąć i psy z łańcuchów pospuszczać. Kazał powozowi, gdy gotów będzie, do Krasiłowiec jak najśpieszniej jechać. Sam zaś wsiadł na konia i popędził.

Pędząc, wywrócił żydów paru, nie ściągnął jednak koniowi cugli, aż na widok zarysowujących się na tle pomroku wieczornego sterczących ścian pałacu. Na widok ten, w piersiach uczuł ciśnienie. Wjechał stępem na podwórzec, na którym zastał tłum ludzi. Zbiegli się włościanie krasiłowieccy, mieszczanie i żydzi. Poznali dziedzica—czapki pozdejmowali. Mędziński nie śmiał pytać—i po chwilce dopiero zadał pytanie wymijające:

— Nie ma tu Ogonowskiego?...

— Jest tu gdzieś...—odpowiedziano i rozległy się wo-

http://rcin.org.pl

łania: Panie Ogonowski!... panie Ogonowski!... jasny pan przyjechali...

Ogonowskim nazywał się ekonom krasiłowiecki. Na wołanie odezwał się i przybiegł. Pan Kacper z konia zeskoczył i zapytał:

— Co się stało?

Ekonom domyślił się, że zapytanie nie do pałacu się ściąga. Odparł więc:

— Jej książęca mość.. tam (tu palcem ukazał).. na kamieniu...

Pan Kacper z głębi piersi odetchnął.

— A książe?...

— Książe...—pomyślał ekonom chwilkę, jakby szukając wyrazu najstosowniejszego. Przysypało.

— Tam?...—zapytał pan Kacper z akcentem przerażenia.

— Tam, jaśnie panie...

Przerazić się było czego. Z pałacu pozostały jeno ułamki ścian, i przez dużą lukę, wyłamaną na froncie, pokazywało się wnętrze całe pod postacią olbrzymiego rumowiska.

— Okropność!...—zawołał Mędziński, wahając się czy ma czy nie ma iść do księżnej, którą wyobrażał sobie oddaną rozpaczy najwyższej.

Poszedł jednak. Księżna siedziała na kamieniu, zwrócona twarzą ku gruzom. Obok stała Weronika, a nieopodal od tej ostatniej jeden z dziadów-kamerdynerów. Ten ostatni, poznawszy Kacpra, wysunął się, stanął przed księżną, postawę przybrał i meldować począł:

— Jaśnie wielmożny... etc.

Księżna na Kacpra oczy zwróciła. Oczy jej były suche, wyraz twarzy spokojny.

http://rcin.org.pl

Westchnęła.

Weronika, ukazując oczami na księżnę, a palcem na siebie, zaczęła:

— Niech Pan Bóg broni!... Momencik jeden!... byłoby już nas nie wypuściło... Jak tylko zahuczało, ja w nogi, jasna pani za mną, i jak tylko próg przestąpiłyśmy, aż tu... hrrr!... Wyraźny cud Boży... Matko Bozka!...

— Jaśnie oświecona pani raczy usunąć się od widoku tego strasznego...—przemówił Kacper tonem błagalnym.

— Powinnam być tam...—odparła spokojnie.

— Bóg zrządził inaczej... Niech jaśnie oświecona pani usunie się ztąd...

— Może jeszcze ratunek...—rzekła tonem wzruszenia.

— Ja ratunek natychmiast zarządzę, ale wasza książęca mość niech raczy pojechać do Ohrebyszcz... Natychmiast przyjdzie powóz.. Ja tu zostanę i rozrzucenia gruzów dopilnuję... Może też cud, co waszą książęcą mość uratował i...

Księżna ręką skinęła na znak milczenia. Pan Kacper nie dokończył frazesu rozpoczętego.

W chwili tej słyszeć się dał turkot przybywającego powozu.

— Jeżeli przeto wasza książęca mość raczy...

Księżna, nic nie mówiąc, wstała, zawiesiła się na ramieniu Kacpra, do powozu się udała i do środka z Weroniką wsiadła. Mędziński dał stangretowi zlecenia, co do tego, co ma pani powiedzieć. Powóz ruszył.

Zarządzono ratunek. Włościanie, którym obiecano po dwa złote od nocnej roboty, rzucili się energicznie do dzieła. Rozniecono ogniska i pozaświecano kagańce smolne. Pan Mędziński nietylko pilnował, lecz i sam ręki przykładał, zachęcając i słowem i przykładem. Nad ranem po-

http://rcin.org.pl

kazało się, że będzie jeszcze roboty na dzień cały. Posłano więc po gromadę ohrebyską, która zluzowała krasiłowiecką. Wieczorem pokazało się, że trzeba jeszcze pracować w nocy. Więc znów gromada krasiłowiecka stanęła i ten pierwszy rezultat osiągnęła, że wydobyła z gruzów babę, małżonkę dziada, co przy życiu pozostał, która funkcyę kuchmistrza sprawowała. Zjechał uwiadomiony o wypadku urząd i w obecności już urzędników, w trzecim po trzęsieniu ziemi dniu, odgrzebano dziada kamerdynera i księcia. Baba i dziad byli zgruchotani, zmiażdżeni. Książe, ani tknięty. Belki, łamiąc się nad nim, sformowały rodzaj sklepienia, niedopuszczającego kamieni wielkich. Siedział obok stoliczka, na fotelu swoim—zginął jak żołnierz na posterunku, przysypany całkowicie kurzem i drobnym gruzem. Na obliczu jego, które śmierć białością kredy powlokła, w szeroko otwartych oczach upatrywano przerażenie, w rozszerzonych ustach uśmiech. W pozycyi jego nic nie znamionowało, ażeby się miał ze śmiercią pasować. Lewa ręka na brzuchu, prawa na stoliczku, palce na dzwonku.

Wyprowadzanie śledztwa długiego nie miało racyi najmniejszej. Skonstatowano śmierć nagłą, której przyczyna była widoczną i napisano dokret na oddanie ziemi dziada, baby i jaśnie oświeconego księcia Godfryda Gamajdy.

Dziada i babę pogrzebano cichaczem.

Na pogrzeb księcia Godfryda zjechała się okolica cała.

Katafalk wspaniały; seciny świec jarzących; całun zakrywał podłogę całą i oprócz tego kościół od stropu do dołu osłaniały krepy na ścianach rozpięte. Krepy te pochodziły z żałobnych sukien księżnej, z czasów onych.

Obrządek pogrzebowy, rozpoczęty około dziesiątej rano, nie zakończył się aż około trzeciej po południu, dla długich modłów żałobnych i dla kazań, których było trzy: je-

dno w kościele, drugie przed kościołem, trzecie, miane przez księdza Celowicza, na cmentarzu. Zasługi zmarłego, podniesione do potęgi najwyższej, zajaśniały w blasku całym pożytku na ziemi i chwały w niebie. Cnoty jego podawano na przykład pokoleniom żyjącym i potomnym.

Księżna nie asystowała obrzędowi od początku do końca. Ukazała się jeno. Czarnym osłonięta welonem weszła do kościoła, uklękła przed katafalkiem, welon odsłoniła, pomodliła się gorąco, łzami się zalała, wstała, welon zapuściła, do powozu wsiadła i odjechała.

— Dokąd?...—pytano.

— Do Ohrebyszcz...—rozbiegła się odpowiedź z ust do ust podawana.

Po złożeniu trumny do grobu familijnego i zapieczętowaniu w niej ostatniego potomka znakomitego rodu, obywatelstwo w kupki zbite, gwarzyło, nie wiedząc co ze sobą począć. Pogrzebowi brakło finału, za którym się oglądano, aż ujrzano pana Kacpra, z kapeluszem w ręku, przechodzącego od gruppy do gruppy i zapraszającego do Ohrebyszcz, gdzie, jak powiadał, wdowa w chwili obecnej przebywa. Wymawiał wyraz:

— Kondolencya...

— A!... z kondolencyą do księżnej!... Nie jechać nie wypada!...

Pan Kacper obszedł gruppy i znikł jak kamfora.

Oglądano się za nim jeszcze, jakby oczekiwano, ażeby wyraz „kondolencya“ wyjaśnił należycie, zwłaszcza pod względem cklenia w żołądkach, które, nie zasilane należnym im haraczem od rana do trzeciej, o prawa się swoje upominały; ale pana Kacpra nigdzie nie było. Stanęło więc jakoweś zagadnienie, wymagające rozwiązania. Szlachcic szlachcicowi zadawał pytanie:

http://rcin.org.pl

— Co robić?...

Jeden rezolutnie a głośno odparł:

— Ja jadę...

— I ja jadę...

I pojechali wszyscy, nie opowiadając się jeden drugiemu dokąd, do Ohrebyszcz.

I zajeżdżać poczęły przed dwór ohrebyski karety, kocze, bryczki, najtyczanki, z których wysiadali panowie i panie, starzy i młodzi.

Pan Kacper spotykał gości na ganku, pani Katarzyna przyjmowała ich w salonie.

W przechodzie z ganku do salonu ukazywała się sala jadalna, a w niej, przez drzwi wpółotwarte, stół nakryty w podkowę, zastawiony porcelaną, kryształami, bukietami, butelkami, wieżami chińskiemi i piramidami egipskiemi.

Nikt innej intencyi nie miał, jak tylko, złożyć kondolencyę księżnej i do domu machać. Księżna jednak nie pokazywała się, a tymczasem wniesiono wódek rodzajów dwanaście, w karafinkach kryształowych z napisami złotemi i na zakąskę pierniczki. Szlachcic, któremu najpierwszemu artykuły te wiary jedzeniowej przedstawiono, zakaszlał się, gdy to zoczył, i w rodzaju usprawiedliwienia przed trybunałem sumienia własnego rzekłszy:

— Po kawie jestem...

Kielich jałowcówki golnął.

Drugi w ślad za nim kminkówki zażył.

I tak dalej.

Po wódce, przy okazyi wytoczenia na stół kwestyi powodu śmierci nieodżałowanego księcia Godfryda, zagadano o powodzie trzęsienia ziemi. Ktoś tam prawił o ogniach podziemnych, o wulkanach wewnętrznych, o gazach, lecz jakiś gruby, wąsaty a głośno gadający jegomość znalazł to

tłumaczenie niejasnem i zagmatwanem, tembardziej, że— zawołał gromko:

— Rzecz wiadoma... ryba!...

W tym momencie, drzwi do sali jadalnej się otworzyły i również gromko zaanonsowaną została: zupa na stole!

Pan Kacper podał szarmancko ramie—komu?—pani marszałkowej. Poszła.

Marszałek poprowadził pod ramie panią Kacprowę.

Przypadkiem zgromadzeni goście zasiedli stół w koło, a chociaż ich było osób do półtorasta, każdy dostał miejsce i każdy—rzecz ważna—siedział wygodnie.

Zupa była arcydziełem, po zupie sztukamięsa arcywytworem, dalej ryba arcykąskiem i tak do końca. A wszystkiego dostatek taki, że półmiski okryte schodziły. Co do win zaś, żeby o nich dać pojęcie, powtórzymy, co jeden z obecnych na tym improwizowanym obiedzie smakoszów powiedział:

— Pod kpem!.. nikt lepszych nie pija...

Księżnej przy stole nie było. Dla tego też, marszałek, w imieniu obywatelstwa, wniósł zdrowie nieobecnej, ciężko dotkniętej, głęboko strapionej, której życzył dni długich pociechy, pomimo że utrzymywał, iż po stracie takiej pociecha jest niepodobną, ale dodał w końcu:

— Kobieta z poświęceniem takiem znajdzie w sobie hart duszy i siłę męzką do przełamania boleści srogiej... Niech nam żyje!..

W imieniu księżnej, na podziękowanie, pan Kacper wniósł zdrowie obywatelstwa. Przemówił krótko i głosem nieco drżącym.

Natychmiast po nim podniósł się ów szlachcic wąsaty, co gazy i ognie wewnętrzne zbił rybą, i tak zaczął:

— A ja, panowie dobrodzieje, wnoszę zdrowie gospo-

http://rcin.org.pl

darza, imci pana Kacpra Mędzińskiego!.. Kto tak, jak on zgłodniałych nakarmić a spragnionych napoić potrafi, ten, dalibóg! wart być obywatelem... Tak bywało za ojców i dziadów naszych... Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie... Niech żyje imci Kacper Mędziński!..

Szlachta ruszyła ku Kacprowi z uściskami i całowaniami.

Pan Kacper się rozpłakał. Pani Kacprowa się rozpłakała.

I w ten to sposób, sprowadzony trzęsieniem ziemi, państwo Kacprostwo doczekali się okazyi wejścia w grono obywatelstwa.

http://rcin.org.pl

XIV.

Księżna utrzymywała z matką korespondencyę ustawiczną. Była to jej rozrywka, jej robota. Z korespondencyi przytoczymy ustępów parę, jeden w tym, drugi w następnym rozdziale, wybierając ustępy takie, które do miary opowiadania naszego przypadają. Tłumaczymy z francuzkiego. Podajemy najprzód list księżnej, pisany w dni parę, po pogrzebie księcia Godfryda.

„Ohrebyszcze, dnia... roku..."

„Droga mamo ,— zdziwi cię data na czele listu mego. Bo też dziwnem jest położenie moje obecne! Było upokarzającem, stało się upokarzającem i nieznośnem. Pozostawałam na łasce lokaja, dzięki Karolowi, który mnie wplątał w tę sprawę (*affaire*) z tym głupcem (*nigaud*), moich snów dziecinnych ideałem; dziś cieszę się towarzystwem rzeczonego lokaja i jego godnej małżonki, zdrowej jak kat, tłustej jak wół, spaśny i mądrej jak ryba, byłej praczk u praczek w byłym dworze podkomorzego Kostrzewickiego. Duszę się (*je suffoque*). Stało się to, com przewidywała od dawna. Książe umarł, ale jak strasznie! Wyobraź sobie mamo—trzęsienie ziemi, zamek się wali i księcia gruzami przysypuje. Było to coś okropnego. Ach! serce bije mi teraz jeszcze, gdy o tem myślę. Gdyby nie ta poczciwa

http://rcin.org.pl

Weronika, byłabym i ja w gruzach pozostała. Ona uciekała i ja za nią pobiegłam—i w ten sposób ona mi życie uratowała. Chciałabym mieć coś, żeby jej wynadgrodzić. Ach! jakże to okropnie nie mieć nic. Mamo moja droga! zabierz ty mnie do siebie. Nie istnieje już powód, ofiary dla księcia, jaki mnie w grobie krasiłowieckim zatrzymywał. Ofiara spełniona do końca. Dotrwałam na stanowisku prawdziwie po żołniersku i chciałabym nakoniec odetchnąć powietrzem—powietrzem miasta. Odessa nie Paryż, wiem o tem; zawsze to jednak coś — nie Krasiłowce przynajmniej, nie Ohrebyszcze. Kto taką jak ja wytrwałość w ofierze okazał, ten ma do wynagrodzenia prawo. Zabierz więc mnie już, mamo, zabierz!

„Ach! co też tu się działo na pogrzebie. Ten lokaj, mamo, wyobraź sobie, urządził pogrzeb pierwszorzędny. Szlachty zjechał się tłum i potem tłum ten cały zwalił się do Ohrebyszcz, w celu niby kondoleowania mnie a w istocie dla oddania czci kucharzowi, jakiego protektor mój trzyma. W rzeczy samej, kucharz doskonały — kochany Karol ocenić by go potrafił. Owóż szlachta zwaliła się, marszałkowie, prezesowie, wszyscy dygnitarze i czarniawa. Nie wychodziłam, uważając za rzecz efektowniejszą, trzymanie się za kulisami, nie mogłam jednak powściągnąć się od rzucenia okiem na ten spektakl, jaki się przedstawiał w sali jadalnej. Weronika poczciwa urządziła to tak, żem widzieć mogła, widzianą nie będąc. Ach! widziałam. Najprzód, tłum ten cały, w części swojej męzkiej, wydał mi się zbiorem buldogów, mopsów, legawców i pińczów, w części zaś żeńskiej, kollekcyą marchew, pietruszek, kalarep, buraków, i dyń. Co za figury! Co za koczkodany! Szczególnie widzieć było warto gospodynię domu (*la maîtresse de céans*), jaśniejącą policzkami rubinowemi i uśmiechem pączka na pół-

http://rcin.org.pl

misku. Widać było po niej, że w radości wielkiej, dałaby się zjeść sama. Śmiałyśmy się z Weroniką do rozpuku! Ach! czemuż tu nie było Karola do czynienia postrzeżeń ostrych (*pour faire des remarques piquantes*). Następnie, widziałam ten tłum cały, rzucający się w objęcia... Kacpra! Mamo! tu już mnie śmiech odbiegł a na płacz się zebrało. Ciż sami ludzie, wczora, w objęciach podkomorzego Kostrzewickiego, dziś w objęciach lokaja jego. O! to straszne. Żem trupem na miejcu nie padła, to, jedynie dzięki Weronice, która uwagę swoją zwróciła na panią Oleckę, kichającą w talerz i otrzymującą na głowę ablucyę z rąk małżonka własnego. Niech mama opowie to Karolowi, sprawi mu to przyjemność.

„Mieszkam tedy w Ohrebyszczach, w towarzystwie, od którego, pewną tego jestem, mamie kochanej mrowie po ciele przechodzi. Ach! *à propos*—ludzie ci—jeżeli ludźmi zwać się godzi ten rodzaj—mają córeczkę jedyną, dziecko jeszcze, lat pięć, ale nie omylę się, gdy powiem, że już na nią parol zaginają szanowni ojcowie i zacne matki synów podrastających. Wyczytałam to z oczów pani Oleckiej przez dziurkę od klucza. O ludzie!...

„Mamo kochana, mamo droga! weź ty mnie do siebie! Odpisz mi jak najprędzej! pamiętając jak cierpi, jak boleje i jak do ciebie wzdycha

kochająca cię nad wyraz córka
księżna Ludwika Gamajda.“

Odpowiedź przyszła bardzo prędko, odwrotnym kuryerem. Podkomorzyna pisała:

„Droga moja księżno, ukochana córko,—na Boga, nie przyjeżdżaj! Ty wiesz, życie moje całe, od początku do końca, było i jest jedną długą ofiarą, i wierz mi, dziecko moje, nie zawahałabym się ani chwili wezwać cię do siebie,

http://rcin.org.pl

gdyby nie zachodziły komplikacye, które temu sprzeciwiają się w najwyższym stopniu (*souverainement*). O komplikacyach tych nie mogę ci bliższych w tej chwili dać szczegółów dla fatygi, jaką mi sprawia pisanie, tak, że list niniejszy jest prawdziwą z mojej strony ofiarą, z powodu kataru, który mnie opanował. Moja księżno! cierpienia twoje są wielkie, ale okaż się ty kobietą wyższą. Ofiarność nasza na tem polega. Ja nieinaczej szłam przez życie. Pamiętaj o tem, że Bóg cierpienia liczy, ja zaś, ze strony mojej, robię wszystko co mogę: w codziennych modłach moich nie zapominam błagać Najwyższego o użyczenie ci mocy do zniesienia dolegliwości, jakie cię dotykają. Nie przyjeżdżaj więc, zaklinam cię na miłość dla mnie, na pamięć na ojca, na Boga! Jabym pragnęła, żeby i Karol odjechał, pomimo, że wiesz, iż go kocham niemniej jak ciebie, a pragnęłabym tego dla tychże samych komplikacyj, o których ci nie piszę z powodu kataru. Karol jednak, mężczyzna—mężczyźni nie pojmują uroku ofiary. Nic mu nie mam do zarzucenia, z wyjątkiem tego jednego, czemu on zresztą nie winien.

„Bądź kobietą wyższą, księżno moja! Wznieś się nad gmin, co cię otacza. Szukaj pociechy i pomocy w modlitwie i znajdź sobie ubogich. Nie uwierzysz, jak to miło, mieć ubogich swoich. A to nawet niewiele kosztuje. Ja, naprzykład, wybrałam sobie dwanaścioro, którym w dniach nieoznaczonych po groszu daję. Nie daję więcej, ażeby, broń Boże, nie kapitalizowali i ubogimi być przez to samo nie przestali. Byłoby to zgorszenie, obraza Pana Boga. Ubodzy są potrzebni dla uczynków miłosiernych. Dla tego też, nie daję im więcej, a mam z tego i rozrywkę i zadowolnienie. I tobie radzę, moje dziecko, znajdź sobie ubogich, dawaj im po groszu w dniach nieoznaczonych, ażeby oni, spodziewając się wciąż od ciebie jałmużny, ustawicznie

http://rcin.org.pl

się za ciebie modlili. Modlitwy ich wzmocnią modlitwę twoją i użyczą ci sił potrzebnych do podniesienia się nad gmin. To sposób bardzo skuteczny—mówię ci to z doświadczenia własnego. Posłuchaj mnie, moje dziecko, zobaczysz, że dobrze na tem wyjdziesz. Nie przyjeżdżaj tylko do Odessy.

„Myślę, jakiejby ci jeszcze doradzić rozrywki, ale z powodu kataru pisać długo nie mogę. I to, co piszę, jest ofiarą prawdziwą, a przytem trzebaby nad tem głębiej pomyśleć, bo na wsi, bez towarzystw dobroczynności, bez teatru, bez koncertów, bez wypożyczalni książek, bez bulwarów, o rozrywki trudno. Jeden kościół. Dla tego też to ubodzy najprzód mi na myśl przyszli, a gdy przyjdzie co jeszcze, to ci później napiszę. Spodziewam się, że katar nie będzie mnie trzymał wiecznie.

„Ubawił mnie wstęp listu twego, odnoszący się do zgromadzenia się szlachty u tego indywiduum. Porównania udały ci się znakomicie. Część męzka: buldogi, mopsy, legawce i pińcze; część żeńska: marchwie, pietruszki, kalarepy, buraki i dynie. Czytałam ten ustęp Karolowi i odgadywaliśmy osobistości, które ci mianowicie porównania te natchnęły. Zgodziliśmy się na wszystkie z wyjątkiem kilku. Wszak prawda, że mops, to chorążyc? Karol utrzymuje, że to sędzia. Wszak prawda, że burak, to marszałkowa? Karol chce, żeby marszałkowa była burakiem cukrowym. Rozwiąż-że nam wątpliwości te, księżno moja droga, bo spokoju mieć nie będę, póki nie będę z pewnością wiedziała.

„Ale! zapomniałaś donieść mi o rzeczy najważniejszej. Czy książe Godfryd zeszedł z tego świata opatrzony sakramentami na drogę wieczności? Zarządziłam tu za duszę jego egzekwie prawdziwie wspaniałe, z obleczeniem kościo-

http://rcin.org.pl

łacałego kirem, z wystawieniem katafalku wśród dziesięciu tuzinów świec jarzących, z mitrą na trumnie, z chórami i z *Requiem* Mozarta. Pół Odessy zeszło się. *Requiem* odegrano i odśpiewano świetnie. Co do tego, odbyło się wszystko jak należy—oddało się światu, co się światu winno.

„Kończę, bo mnie katar męczy. Nie przyjeżdżajże, księżno moja droga! Komplikacye okropne! Nie piszę ci o nich, bo i tak, pisząc, ofiarę z siebie robię. Ale nie przyjeżdżaj, bądź kobietą wyższą, pamiętaj, że życie kobiety jest ofiarą, módl się, znajdź sobie ubogich i kochaj matkę twoją, która kocha ciebie jak najczulej i w modlitwach codziennych nie zapomina o tobie.

Klara z hr. Zapamiętalskich hr. Kostrzewicka.

Oszczędzimy sobie analizy listów powyższych, które tłumaczą się same, jako świadectwo pojęć skrzywionych. Pozwolimy sobie jeno na uwagę jedną. Wyglądają one na pozór, jako mieszanina *sacra* i *profana*, gdy w rzeczy samej świętego w nich nie ma nic, bije z nich bowiem ubóstwienie siebie, wynik logiczny moralności, oddanej pod panowanie foremek. Dosyć jednak o tem.

Z listu księżnej pokazuje się, że pragnęła gorąco wydobyć się ze wsi. Nie dziwimy się jej. Zakosztowała życia innego, błyszczała, świetniała—wieś przeto musiała jej wydawać się okropną. Z listu podkomorzyny dowiadujemy się o jakicheś komplikacyach, których domyślamy się. Księżna jechać nie mogła. Pan Karol był już zanadto. Księżna pozostać musiała w Obrebyszczach.

A czy to jej tam doprawdy było źle? Prawda, pod względem towarzystwa, zachodziły niejakie niedostatki. Księżna wprawdzie, w Krasiłowcach, nie miała żadnego; zdarzają się atoli sytuacye takie, w których samotność dasolutna pożądańszą bywa aniżeli zgiełk niesmaczny.

http://rcin.org.pl

W Ohrebyszczach wszakże, gospodarstwo w takich odrazu postawili ją warunkach, że mogła, gdy chciała, być samotną, gdy chciała, mieć towarzystwo. Od niej to zależało. Dano jej ten sam apartament, który zajmowała panną jeszcze będąc, odosobniony, na ogród zwrócony i składający się z trzech pokojów jasnych, czystych i we wszystko zaopatrzonych. Kacper, znający gust pań do czytania, zakupił ryczałtem u księgarza bibliotekę, złożoną z książek francuzkich i polskich i postawić ją kazał tak, ażeby się znajdowała księżnej na podorędziu. Fortepian i nuty były na jej rozporządzenie. Konie i powóz czekały na jej rozkazy Dostatek panujący w domu pozwalał na dogadzanie kaprysom wszelkim. Słowem, księżna urządzić sobie mogła życie, jak się jej podobało.

Podobało się jej pozostawać w Ohrebyszczach tak, jak pozostawała w Krasiłowcach. Odosobniła się, zamknęła i w tym jeno względzie tryb życia zmieniła, że codzienne raporta Weroniki o zdrowiu księcia ustąpiły miejsca długim, tejże Weroniki, przedstawianym w sposób humorystyczny sprawozdaniom z tego, co się we dworze dzieje. Weronika opowiadała, księżna słuchała i śmiała się. Dodawać nie potrzebujemy, że opowiadania powiernicy były—jak to mówią—mocno szarżowane i niekoniecznie z prawdą zgodne. Nie przeszkadzało to im jednak być bardzo śmiesznemi i rozweselać samotnicy do łez niekiedy. Zresztą, patrzała w zwierciadło, jeździła do kościoła—jadła, piła i nic nie robiła.

Pod tym ostatnim względem, pomiędzy księżną a panią Katarzyną zachodziło podobieństwo jak najzupełniejsze. I pani Katarzyna, jadła, piła i nic nie robiła. Zachodziła jednak i różnica. Księżna nie tyła, pani Katarzyna tyła—tyła i doznawała od czasu do czasu niesmaków jakicheś,

http://rcin.org.pl

tem dziwniejszych, że wszystko co jadła takie było smaczne. W tem przeto podobieństwie, zbliżającem wielką panię z urodzenia i wielką panię z przypadku, tkwiła różnica, jakby na to, ażeby stanowić dowód, że wielką panią nie może być lada kto. Wprawdzie, i paniom największym zdarza się tyć straszliwie i niesmaków doznawać.

Księżna trzymała się od pani Katarzyny zdaleka. Nie znaczy to, żeby pomiatać nią lub też ubliżać jej miała. Nie. Przeciwnie. W stosunkach z nią zachowywała grzeczność zawsze jednaką i dobrotliwość jak największą. Tytułowała ją „panią Katarzyną“ i gdy ta niekiedy do niej wchodziła—co zdarzało się bardzo rzadko—nie dawała jej uczuć ani znudzenia ani przykrości i okazywała się łaskawą względem Franusi, która częściej aniżeli matka księżnę panią odwiedzała.

Stosunki z panem Kacprem pozostały zawsze takiemi, jakiemi były w pałacu. Nazywała go często „człowiekiem poczciwym“ i on aniby się domyślić mógł z zachowania jej, jak go przed podkomorzyną rekomendowała. Okazywała się zaś we wszystkiem względną i wyrozumiałą. Na zapytania Kacpra:

— Czy waszej książęcej mości nie braknie na czem?

— Na niczem, mój panie Kacprze... Na czemżeby mi braknąć mogło...—odpowiadała.

— Może księżnej pani co zawadza?... może jej co przykrość sprawia?...

— Nie... nic...

— Wasza książęca mość powiedzieć mi raczy... bez ceremonii... jeżeliby co...

— Powiedziałabym... bądź pewny...

Dopytywanie to miało dwa powody. Raz, pragnął Kacper wybadać, czy nie ma księżna jakich planów, jakich

http://rcin.org.pl

życzeń: czy nie chce naprzykład, odwiedzić matki? Gotów był udzielić jej na ten cel środków i gdyby jeno poznać dała, że chętnieby do Odessy pojechała, miałaby wnet na rozporządzenie swoje konie, powóz, służbę i pieniądze. Sam przez delikatność, nie mógł jej propozycyi czynić; ona zaś nie żądała niczego.

Powtóre. Państwo Kacprostwo zaczęli „żyć“. Księżna gościom się nie pokazywała. Chodziło więc Kacprowi o to, czy nie wolałaby mieszkać osobno: w Krasiłowcach? w Ohrebyszczach? w innym którym folwarku? Gotów był dom dla niej. budować. Ona nic. Pomimo, że przez Weronikę poinformowaną była o wszystkiem doskonale i dokładnie, zdawała się na wszystko ślepą i głuchą.

Zdawało się, że nic nie widziała ani słyszała, luboć we dworze ohrebyskim bywało niekiedy ludno i gwarno.

Państwo Kacprostwo, po pogrzebie wkrótce, rozpoczęli objazd sąsiedztwa, zaczynając od tuzów, od marszałków i prezesów. Wybrali się z szykiem nie wysokopańskim. kocz wiedeński (nie kareta), w lic dzielnych pięć koni (nie sześć), chomąty krakowskie (nie angielskie), służba pokaźna—co się podobało i panom, których nie zaćmiewało i szlachcie, której pochlebiało. Przyjmowano ich wszędzie otwartemi ramiony, a zatem i we Frasoblówce, gdzie do bawienia gości stawał już kontyngens spory, złożony z rodziców i dzieci, wśród których paniczów paru pod wąsem i panienka jedna w kwiecie lat ku mecie życiowej już kroczyli. Ludwik, posłany do Odessy, rok strawił na przygotowaniu się do liceum, zdał egzamen, wstąpił na kursa matematyczne, po miesiącu przeniósł się na kameralne, na święta Bożego Narodzenia do domu powrócił i edukacyę skończył. Z młodszych braci jego żaden do czwartej w gimnazyum nie doszedł klassy. Kończyli edukacye jeden po

http://rcin.org.pl

drugim i zamieszkiwali we Frasoblówce. Tam przeto, raz, było komu gości bawić, powtóre, bawienie podszywała racya, rozłożona pomiędzy sześciu młodych panów Oleckich a zwrócona strzelistą stroną ku jedynej pannie Mędzińskiej. Ha! przezorność jest to zaleta, cechująca rozum stanu. Pani Olecka na wstępie wystąpiła do pani Mędzińskiej z pretensyą.

— A Franusia?... gdzież Franusia?...

— Została w domu... z babunią...

— Czemuż jej było nie przywieźć!... proszę pani dobrodziejki!...

— Bo to, pani dobrodziejko... prawdziwie... To takie jeszcze dziecko...

— Byłaby się zabawiła z dziećmi... Tu przecie są i kawalerowie...—dodała z przekąsem niby.

— Takaż to z niej panna!...—odparła pani Mędzińska

— Zawszeż panna... Trzebaż ją kawalerom pokazywać...

— Oj!...—jęknął pan Olecki, myśląc zapewne o swoich trzech pannach.—Co do mnie, takie wydałbym prawo: Urodzi się dziewczyna, wieź ją do chrztu i zaraz zaręczaj!...

— Komużbym ja moją była zaręczyła!...—odezwała się pani Katarzyna, przypominając sobie zapewne okoliczności, wśród których Franusia na świat przyszła.

— Niechno pani dobrodziejka tylko tu ją przywiezie...—podchwycił pan Olecki—ja jej dam do wyboru chłopców sześciu...

W żartach tych była prawda na dnie.

Państwo Oleccy, sąsiedzi najbliżsi, stali się oraz sąsiadami najlepszymi państwa Mędzińskich. Bywali sami, zrazu rachując się, a dalej i nie rachując się z wizytami; bywali panicze; panny Oleckie, nie ta, to owa, po dni kilka w Ohre-

http://rcin.org.pl

byszczach bawiły, dla towarzystwa to pani Mędzińskiej, to Franusi, która stała się przedmiotem zachwytów i pieszczot całej frasoblewieckich panów rodziny. Dziewczynka, przyciśnięta raz—jak to powiadają—do muru, wybrała sobie na męża Ludwika, za to, że jej ptaszka żywego dał w prezencie. Od momentu tego, państwo Oleccy przezywać ją poczęli swoją synową.

A jak państwo Oleccy, tak i wszyscy sąsiedzi rewizytowali dziedziców ohrebyskich, zawiązując z niemi stosunki zażyłości sąsiedzkiej, mniej lub więcej ścisłej, stosownie do temperamentu. Przeszłość pana Kacpra tonęła w mgle zapomnienia coraz to gęstszej. Widziano w niej obywatela gębą całą i nawet—skutkiem wrodzonej nam własności przesadzania—upatrywano w nim zalety i cnoty, bądź wyższe co do stopnia od tych, jakie posiadał, bądź też takie, jakich nie posiadał wcale. Przypisywano mu rozum głęboki dyplomatyczny, nie żydowski, który jest ceniony lecz nie szanowany, ale wyraźnie dyplomatyczny, głęboki, zasługujący na szacunek cały ze strony tych, z których każdy ma się za dyplomatę.

Dowód szacunku tego złożono w miesięcy kilka po śmierci księcia Godfryda, przy okazyi najpierwszej, jaką nastręczyła święta Katarzyna, patronka pani Mędzińskiej. W każdym dworze i dworku szlacheckim, leżącym wewnątrz koła zakreślonego z Ohrebyszcz promieniem, wynoszącym trzy mile długości, odbyła się na dni kilka przed świętą Katarzyną rozmowa treści mniej więcej następującej:

Mąż.—Gdybym nie zajrzał do kalendarza, nie wiedziałbym, że to za tydzień...

Żona.—Co?...

Mąż.—A że świętej Katarzyny panny...

Żona.—A tak... listopad... Ostatniego listopada An-

http://rcin.org.pl

drzeja, a na pięć dni przed tem Katarzyny... To święto kawalerskie, a tamto panieńskie... Trzeba będzie bałabuszków dla psów upiec...

Mąż.—Nie o bałabuszki chodzi...

Żona.—No... a o cóż?...

Mąż.—O to, że Mędzińskiej na imie Katarzyna...

Żona.—Prawda!... dalibóg prawda!...

Mąż.—(Po chwili namysłu). Czyby nie pobiedz do nich?...

Żona.—Nie zawadziłoby...

Mąż.—Na momencik... Jak się macie?... bądźcie zdrowi!... powinszować i z powrotem...

Żona.—(Po chwili namysłu). Nie obejdzie się to tak, jak się to zdaje...

Mąż.—Dzień krótki... droga zła...

Żona.—Tak... Ale kogoś się zastanie... Zatrzymają...

Mąż.—Kogoby się tam zastało!... Kto o świętej Katarzynie pamięta!... Mnie samemu aniby to na myśl nie przyszło, gdybym nie potrzebował wpisać tego, że się Łysa ożrebiła... Wpisuję... patrzę... o! jak byk stoi: „Katarzyny panny“... Myślę i przypominam sobie: E! toć to Katarzyna w Ohrebyszczach, nie panna, zawsze jednak Katarzyna...

Żona.—Może to nie ta... W kalendarzu ponoś jest Katarzyn więcej...

Mąż.—No!... Chociażby!... Wielkie nieszczęście, że się przejedziemy!...

Żona.—Zapewne... Tylko, że pojechać tam, to zaraz zatrzymają na obiad a może i na kolacyę i na noc... A może kogo zastaniemy...

Mąż.—I! kogożby!... Czy ty jechać nie chcesz?...

Żona.—Nie to... Jak potrzeba, to cóż robić!... Myślę tylko, jakby to się wybrać...

http://rcin.org.pl

Mąż kazał sanie kryte opatrzeć, śnieg bowiem leżał od Wszystkich Świętych, kazał chomąty odczernić, mosiądze odchędożyć, konie pokuć; pani zarządziła wielkie gałganków różnych pranie, z którego wyszły spódnice krochmaliste, kołnierzyki czarujące, mankietki zachwycające, szlareczki gustowne; zarekwirowała arendarza, przy którego pomocy, po za wiedzą męża, sprowadziła z miasteczka poblizkiego drobiazgów mnóstwo do uzupełnienia toalety— i sąsiadów para (z córkami i synami, jeśli ich Bóg takowemi obdarzył), w przekonaniu, że sama jedna o imieninach pani Mędzińskiej wiadomość posiada, ruszyła do Obrebyszcz w dniu świętej Katarzyny, o godzinie dziewiątej rano.

To samo zrobiło się w każdym domu szlacheckim.

Około południa, do Obrebyszcz zjechał się gości huk: panowie, panie, panny, panicze.

Pan Kacper zapukał do księżnej.

— *Entrez*!...—odezwał się głos ze środka.

— Ja do waszej książęcej mości z prośbą o pozwolenie...

— Jakie?... na co?...

— Dziś imieniny mojej żony...

— Imieniny twojej żony?... Szkoda żem nie wiedziała, byłabym jej powinszowała...

— Ona przekonana, że wasza książęca mość dobrze jej życzy... Ale... sąsiedzi łaskawi się zjechali... Jest i młodzież... Chciałbym, żeby się zabawili... Czy wasza książęca mość pozwoli?...

— Proszęż ciebie, panie Kacprze kochany, nie zadawaj sobie dla mnie przymusu najmniejszego...

— Hałas?... może i muzyka?... tańce?...

— Bawcie się... bawcie się...

— Wasza książęca mość taka łaskawa!...

http://rcin.org.pl

— Poczciwy panie Kacprze!....

Niespodziany najazd nie zastał państwa Mędzińskich nieprzygotowanemi. O dwunastej śniadanie *à la fourchette*; około piątej obiad, za wstęp do którego służył szczupak na desce, ugarnirowany tak, że się go oczyma jeść chciało; po obiedzie polonez po domu całym, z wyjątkiem apartamentu księżnej; po polonezie bal do dnia białego, z wieczerzą sutą po północy, z lodami, orszadami, limonadami, sorbetami... z ogniami bengalskiemi i fajerwerkami.

— O, huncwot!...—powiadali o Kacprze później szlachcice.—Złapać go ani weź!...

Imieniny te stały się zapoczątkowaniem zwyczaju, który się następnie rok rocznie powtarzał. Starsi przypominali sobie świętego Marcina, obchodzonego hucznie za życia nieboszczyka podkomorzego i porównywali Marcina z Katarzyną. A choć to starzy, z nałogu niejako, dawne wychwalają czasy, przyznawali jednak:

— Gdzież tam!... ani umywał się Marcin do Katarzyny... Nieboszczyk podkomorzy nie miał ani tego smaku w gębie, ani tego dowcipu, co się tyczy urządzenia fety... Gdzieby podkomorzemu na myśl przyszły ognie bengalskie!... Pali się czerwono... aż tu, fajt... zielono... Tfu!..

Rozprawiano też o ogniach tych, idąc do wątka rzeczy.

— Zkąd się one biorą?...

— Ze słomy, sprowadzanej z Bengalu na okrętach...

Ktoś znalazł się taki, co tłumaczył istotę tej sztuczki lecz mu nie wierzono, z powodu, że tłumaczenie nie było jasne.

— Słomę rozumiem, ale nie jakieś tam chemizmatyki...

I rok rocznie, bez względu na porę zimową, na złe

http://rcin.org.pl

drogi, na zawieje śniegowe, zjeżdżano się z okolicy całej tłumnie do Ohrebyszcz na imieniny pani Międzińskiej.

W czasie jednego ze zjazdów tych poznaliśmy ją. Minęło już lat sporo od chwili owej, dziś jednak w oczach nam stoi jeszcze uśmiechnięta dobrodusznie twarz jej duża i czerwona i wystawiona na poręczy od fotelu ręka, przygotowana dla gości do całowania. Kto ją pocałował, temu ona głową skinęła. Byli tacy, co bądź to dla prostej psoty, bądź też dla tego, że hołdowali wciskającym się zwyczajom cudzoziemskim, podchodzili do niej i kłaniali się. Ona i na ten rodzaj powitania skinieniem głowy odpowiadała, lecz do skinienia dodawała śmiech urywany. A kiedy się śmiała, to się wszystko na niej trzęsło. Cały biust ruszał się, podnosił się i opadał. Wyśmiała się i wnet powracała do stanu normalnego. Uśmiech atoli z ust jej nie schodził.

Dobra to była kobiecina—nie mowna, to prawda, nie robocza, i to prawda, posiadała jednak zalet parę wysokocennych, a mianowicie: nie sposób było ją rozgniewać i nie sposób było na plotkę ją wyciągnąć. Dobra, łagodna, wyrozumiała, mimo uszów puszczała wszelkie komeraże sąsiedzkie, tak, że do niej ze słusznością całą zastosowaćby można to obrazowe wyrażenie, że „wody nie zamąciła". Co do gościnności, w tej granic nie znała; gość był dla niej istotą świętą; więc pomimo, że się mądrością nie odznaczała, lubiono ją powszechnie. Nie posiadała zalet dodatnich żadnych, ale to jej za zaletę wielką poczytać należy, że w roli swojej, wielkiej pani, szkodliwą nie była. Co do mnie, z dwóch złych wybierając mniejsze, wolę Katarzynę Międzińską, aniżeli razem wzięte podkomorzynę i księżnę.

Po wykazaniu zalet, wykazać należy i wady.

Wykaz ten poprzedzimy wstępem króciutkim.

Wspomnieliśmy już raz w nawiasie o doktorze Gallo-

http://rcin.org.pl

pin. Doktór Gallopin nie jest to żadna postać powieściowa, lecz człowiek żyjący, nam spółczesny, uczony, który wziął za zadanie swego życia, apostołowanie w przedmiocie hygieny. Jeździ z miasta do miasta, z kraju do kraju i naucza rzesze, opowiadając im słowa prawdy dotykalnej i namacalnej. Powiada on: „Jeżeli chcecie być cnotliwymi, szanujcie zdrowie, jeżeli chcecie być zdrowymi, wystrzegajcie się smaku!“ Nie jest to może rzecz tak jasna, jak słoma bengalska, albo jak ryba owa, co trzęsienie ziemi sprawia; twierdzenie to atoli uczonego męża, w szczególnym wypadku, jaki się w powieści naszej przedstawia, da się zastosować do poczciwej pani Katarzyny.

Zgubił ją kucharz znakomity.

Wyrobiła sobie smak w gębie.

Rozsmakowała się i rozjadła.

Kompleksya silna długo opierała się działaniu zgubnemu dwóch grzechów głównych, łakomstwa i obżarstwa, przeciwko którym hygiena podaje środki zaradcze; aż w końcu przebrała się miarka. Owe niesmaki, o których wspominaliśmy powyżej, były to ostrzeżenia, wzywające do mienia się na baczności. Pani Katarzyna nie wiedziała o tem. Gdy apetyt jej nie dopisywał, zaostrzała go specyfikami. Jadła i jadła.

Aż się zajadła.

Nagle i niespodzianie, najzdrowsza w świecie, zachorowała.

— Oj!... aj!... boli!... kole!...

Napełniła jękami dom cały.

Księżna się zaalarmowała, posłała Weronikę na zwiady. Weronika powróciła i sprawozdanie jej rozśmieszyło księżnę serdecznie.

— Nic jej się nie stanie... zdrowa taka!...

Kacper się zatrwożył, matka go jednak uspokoiła, twierdząc, że to przejdzie, jeżeli nie od rumianku, to od kwiatu lipowego.

Napojono chorą rumiankiem i kwiatem lipowym.

Nic nie pomogło. Boleści się wzmagały.

— Wódki z pieprzem!...—ktoś poradził.

— Ach!...—zawołała pani Kacprowa.—Dawajcie wódki z pieprzem, czuję bowiem jakby mnie piłą rznęło we środku....

Napiła się—jeszcze gorzej.

Zażyła następnie raz po raz: kamfory, popiołu, kolendry, kropel miętowych, czegoś co od kowala przyniesiono pod nazwiskiem hardymanu, kropel cudownych, któremi ekonomowa siebie, dzieci i męża na wszystkie słabości leczyła, wody święconej w dzień Trzech Króli—nic nie pomagało.

Ogrzewano ją i ochładzano. Okładano gorącym piaskiem z przodu a lodem z tyłu, potem znów gorącym piaskiem z tyłu, lodem z przodu. Nacierano octem prostym i octem siedmiu złodziei. I to się na nic nie zdało.

Boleści się wciąż wzmagały. Chora wydawała jęki przeraźliwe. Całego domu służba koło niej chodziła. Pan Kacper głowę tracił.

Przyjechali państwo Oleccy z synem i córką starszą.

— Państwo łaskawi!... nieszczęście!...—temi pan Kacper spotkał ich słowy.—Radźcie!...

Pani Olecka z córką udała się do pokoju chorej i rozpytywać ją zaczęła tonem spółczucia głębokiego:

— Co pani kochanej?... Co pani droga czuje?...

— Oj!... uj!... boli, kole, rznie, piecze!...

— Gdzie?...

— I tu... i tu... i tu...—odparła zapytana, pokazując na piersi, na plecy i na boki.

http://rcin.org.pl

— Możnaby krew puścić, ale nie radzę... Możnaby pijawki postawić, ale nie radzę... Możnaby emetyku zażyć, ale nie radzę... Możnaby na przeczyszczenie wziąść, ale nie radzę...—radziła pani Olecka.

Chora jęczała, rzucała się na łóżku, to bladła, to czer wieniała i pot kroplisty występował jej na czole od czasu do czasu.

— Oj!... uj!...—wykrzykiwała i wśród krzyków przemówiła: A niech tam państwu Oleckim co na przekąskę dadzą... Obiad będzie niebawem, aleby co przed obiadem... O joj joj!... Matko Bozka!...

— Niechże pani dobrodziejka nie troszczy się o nas...— odparła pani Olecka.

— Och! pani dobrodziejko... Przed obiadem coś koniecznie... Jezus Marya!... Kawioru odrobinkę, łososia marynowanego, półgąska plasterek... O, Panno Najświętsza!... Uch!...—zakłuło ją straszliwie.

— Senesu ze śliwkami!...—radziła pani Olecka.

W przyległym pokoju praktyczniej nieco rzeczy się układały. Pan Olecki rozpytał pana Kacpra, i dowiedziawszy się o symptomatach, zwrócił się do syna z następującemi słowami:

— Koni naszych nie wyłożono jeszcze... Siadaj, Ludwiku, na bryczkę i machaj po doktora...

Ludwik wybiegł a za Ludwikiem pan Kacper. Ten wsiadł na bryczkę i ruszył z miejsca, co koń wyskoczy, ten kazał zaprządz do bryczek pięciu i pchnął takowe w różne strony po uczniów Eskulapa, nakazując posłańcom pod karą śmierci i zaklinając ich pod obietnicą wynagrodzenia pięciorublowego, ażeby nie szczędzili koni ani siebie i dostawili lekarzy jak najprędzej.

http://rcin.org.pl

Chora jęczeć nie przestawała w kurczach, rzutach i prężeniach.

Zawieszono zadawanie środków domowych i pani Katarzyna doznała ulgi niejakiej. Boleści umniejszyły się. Zdawało się nawet, że ustały zupełnie. Zdawało się, że zaśnie, lecz rozbudziła ją myśl o gościach i o marynacie z łososia. Gościom kazała dawać przekąskę i obiad; do marynaty zaś poczuła pociąg—pociąg niepowściągniony.

— Przynieś mi odrobineczkę...—rzekła do służącej.

Służąca powróciła z niczem, a za nią wszedł pan Kacper.

— Nie można, Kasiu...

— Ależ odrobinkę tylko...—przemówiła głosem błagalnym. Łosoś ten tak mi aż pachnie...

— A jeżeli zaszkodzi?...

— Coby szkodzić miał!... Jeszcze co?... łosoś?... O Chryste Panie!...

Stara Mędzińska poparła synowę. Kacper zasięgnął rady państwa Oleckich. Stanęło na tem, że „odrobina“ szkodzić nie może.

Pani Katarzyna, zjadłszy odrobinę, rzekła do służącej:

— Przynieś no jeszcze...

Nowe przedstawienia, nowa narada i nowa do pierwszej podobna decyzya.

Pani Katarzyna, zjadłszy drugą „odrobinę“, zażądała jeszcze.

Mąż w prośby! a ona na to:

— Czuję jak łosoś ten dobrze mi robi... Żadne lekarstwo tak nie skutkowało: ani hardyman kowalski, ani ekonomskie krople cudowne... Gdybym zjeść mogła do syta, tobym wnet wstała...

— Nie boli już cię nic?...—zapytał pan Kacper.

http://rcin.org.pl

— Po łososiu, powiem ci, jak ręką odjął...

Doktór Gallopin, przypominam sobie, całą jedną prelekcyę poświęcił apetytom fałszywym, przypisując takowe zniszczeniom, jakie w żołądku sprawiają przyprawy, dogadzające nie istotnym potrzebom odżywienia organizmu człowieczego, a jedynie i wyłącznie smakowi.

Pan Kacper opowiedział gościom o cudownym wpływie łososia marynowanego na zdrowie Kasi.

— I wyzdrowiała pani dobrodziejka?...—zapytał pan Olecki ze zdziwieniem.

— Wyzdrowiała... Nic ją już nie boli, ani piecze, ani rznie... i domaga się łososia jeszcze...

— Hm... To i cóż!... Jeżeli zdrowa, Bogu dzięki...

Pan Kacper kazał lokajowi zanieść pani marynatę ze słojem całym, w którym przez szkło wyglądało z pół garnca ryby, utopionej w occie z oliwą, napełnionym listkami lauru, ziarnkami pieprzu i kawałkami korzeni różnych. Kucharz ohrebyski posiadał tajemnicę przyprawiania marynat w sposób tak cudowny, że zjadłszy dzwonko jedno ryby przez niego umarynowanej, dostawało się takiego do jedzenia pociągu, iżby się wołu połknęło. Z tego powodu specyał ten uchodził za bardzo zdrowy. Dla tego to, nie dziwiono się bardzo temu, że pomógł pani Katarzynie.

—Ten łososby i nieboszczyka wskrzesił...—zauważył pan Olecki i zapytał: Ciekawym, co doktorowie powiedzą na to?... Pójdzie im to po nosie...

— Zatrzymamy ich na obiadek...—odparł pan Kacper.—Zabiorę przynajmniej znajomość z nimi... Dotychczas Bogu dzięki, obchodziliśmy się bez doktorów i dla tego, jak Kasia nagle zachorowała, nie przychodzili mi na myśl, aż pan dobrodziej przypomniał, że są na świecie...

http://rcin.org.pl

— Czemu to łosoś nikomu na myśl nie przyszedł, tylko pani dobrodziejce!...—podchwycił pan Olecki.

— Widać, że chory wie sam najlepiej, co mu pomaga...—odrzekła pani Olecka.

— Nie... —odparł pan.—Widać, że dobry kucharz, to skarb prawdziwy... to lekarz nad lekarze...

I tak—gadu gadu. Pani Olecka z córką zasiadły przy łóżku pacyentki, która, spożywszy marynaty do syta, czuła polepszenie wyraźne i byłaby wstała, gdyby nie osłabienie, następstwo boleści; to ją w łóżku trzymało. Panie rozmową się zabawiały. Do rozmowy mieszała się i Franusia, panienka w jedenastym już roczku podówczas. Mówiła, jak to ona płakała, kiedy mama krzyczała głosami „niestworzonemi".

Panowie, ze swojej strony, zabawiali się rozmową i fajek paleniem, w gabinecie pana Kacpra.

Lokaje nakrywali do stołu, stawiając sześć nakryć dla sześciu lekarzy spodziewanych.

Wszystko szło jak najlepiej.

Aż tu nagle, jakby psów tysiąc zaskomliło, wrzask przeraźliwy po domu całym się rozległ.

Wszystko co żyło, z wyjątkiem księżnej i Weroniki, do łoża pani Katarzyny się rzuciło.

Boleści, kurcze, pieczenie i rznięcie wznowiły się w spotęgowaniu.

Nikt nie wiedział co robić, ani co radzić. Wyczerpanie, w poprzednim ataku, wszystkich środków domowych obezwładniało chęci najlepsze, jakiemi wszyscy przejęci byli.

Szczęściem przybył doktór jeden. Pan Kacper powitał go wyrazami:

— Panie konsyliarzu, sto dukatów za uzdrowienie mi żony!...

http://rcin.org.pl

Doktór przystąpił do chorej i począł ją egzaminować, badając puls i język i rozpytując o symptoma.

Przybył drugi. I temu pan Kacper oświadczenie powyższe uczynił.

Koledzy powitali się, jak, nieprzymierzając, dwa psy porcelanowe i zaimprowizowali konsylium dwoiste, które zmieniało się w troiste, poczwórne, etc., w miarę jak przywożono lekarzy nowych. Skończyło się na tem, że domownicy i goście odstąpili w głąb, łoże zaś chorej otoczyli mężowie nauki. Pani Katarzyna jęczała, jęczała, wiła się, drgała, podskakiwała, w końcu podniosła się, ręce wyprężyła, wzrok wytężyła, wydała jęk westchnieniowy przenikliwy, na poduszki na wznak upadła i zamilkła.

Jeden z lekarzy ujął ją za puls, wnet jednak rękę jej puścił i po kolegach spojrzał.

Na spojrzenie to, jakby na komendę, lekarze wszyscy razem od łoża się cofnęli.

I wszyscy razem do przyległego wyszli pokoju.

Pośpieszył za nimi pan Olecki.

— No i cóż?...

— Wezwano nas zapóźno... — odpowiedział jeden z nich.

— Cóż?... cóż?... jakaż przyczyna?...

— Przyczyna... gastryczna...—odrzekł tenże.

Wkrótce potem, pod dachem ohrebyskiego dworu rozległ się lament męzki. Pan Kacper w płacz wielki uderzył, włosy sobie rwał i wyrzekał.

Panowie Oleccy, ojciec i syn, pocieszali strapionego głęboko a rzetelnie.

Pani Olecka z córką odjechały do Frasoblówki, zabrawszy Franusię ze sobą.

http://rcin.org.pl

XV.

W pierwszym czy też w drugim rozdziale, w tomie pierwszym powieści niniejszej—kiedy Kacper był chłopięciem takiem mądrem, że jaśnie wielmożnego przedstawiał sobie pod postacią pawia czy papugi—zapowiedzieliśmy byli bohatera i bohaterkę powieści, których podówczas na świecie nie było jeszcze. W ostatnim tomu drugiego rozdziału przypomniała się nam zapowiedź ta. Widziani we mgle przyszłości bohater i bohaterka są już—ale, niestety! przyszli zapóźno. Nie będziemy więc ich czytelnikowi prezentowali. Powieść przeto pozostaje i bez bohatera i bez bohaterki, na co innej rady nie ma, jak tylko, przeprosić czytelnika. Ofiar nasypało się za dużo. Nie byliśmy w stanie wybrnąć z pośród nich i wyjść na kwieciste pole romansu, wyprowadzając na scenę ludzi gołębiej natury. Osobistości opowiadania naszego są ludźmi natury ludzkiej. Ha! nie nasza to wina.

Usprawiedliwszy się w ten sposób przed czytelnikami, przystępujemy do zaokrąglenia opowiadania, obejmującego przeciąg czasu spory, lat trzydzieści kilka. Tem się tłumaczy, dla czego poumierało nam dużo ludzi w ciągu akcyi powieściowej. Umierali, jedni ze starości, drudzy ze zgryzoty, trzeci w skutek wad organicznych, młody książe zginął w trzęsieniu ziemi, pani Katarzyna zeszła ze świata z przy-

http://rcin.org.pl

czyn gastrycznych. Tak się snuje życie samo, którego powieść jest zwierciadłem.

Pan Kacper uczuł śmierć żony głęboko. W pierwszych chwilach był, jakby obuchem po głowie uderzony. Zabrano mu dziecko—on ani wiedział o tem. Pocieszano go—pociecha żadna serca się mu nie chwytała. Chodził niby odurzony; tłukł się po domu, jak—jak to powiadają—Marek po piekle; zachodził niekiedy, nie wiedząc sam jak, do apartamentu księżnej, i na widok tej ostatniej, cofał się powiadając z półpłaczem:

— Nie ma jej...

Księżna spoglądała nań wzrokiem, w którym, gdy na nią patrzał, malowała się litość, gdy nie patrzał, pogarda—i nie śpieszyła do niego ani z pocieszaniem, ani z perswazyą.

Na pocieszeniach i perswazyach nie brakło mu jednak.

Długo atoli był on głuchym na wszystko.

Przemawiała do niego matka. On matce odpowiadał:

— Wolałbym z Kasią być wyrobnikiem i pracować jak pracowałem w tym właśnie dniu, w którym na mnie bogactwo spadło, aniżeli bez niej być panem... Gorzkież teraz państwo moje!... O, Kasiu!... Kasiu!...

Nocami się zrywał i lamentował.

Matka wszakże znalazła punkt, przez który się pociecha do duszy jego wkradła.

Kiedy on na państwo swoje wyrzekał, odezwała się razu pewnego:

— Gadasz, jakbyś na świecie był sam jeden...

— Ano... Nie sam jeden... Mam was, mamo...

— Co ja!... Ja się nie liczę i do twojej kompanii nie należę, ale... Franusia...

— Ach! Franusia!..—przypomniał sobie.—Gdzież ona.

— U Oleckich... we Frasoblówce... Zabrali ją i trzy-

http://rcin.org.pl

mają... ot już miesiąc blizko... Trzebaby chyba, żebyś odebrał, bo choć to i jej tam, jak słyszę, dobrze i z niej kontenci, panny ją pieszczą, panicze wożą, ale i mnie tu bez niej, powiem prawdę, markotno, i jej wypada być raczej przy ojcu aniżeli pomiędzy paniczami...

Pan Kacper kazał natychmiast do powozu zaprządz, pojechał do Frasoblówki, podziękował czule i serdecznie państwu Oleckim za troskliwość o Franusię i przywiózł ją do Ohrebyszcz.

Od chwili tej oprzytomniał niejako. W dziecku znalazła się ta moc, co go podźwignęła z upadku i do opamiętania przyprowadziła, a znalazła się moc ta na drodze sprzeczności. Franusi we Frasoblówce podobało się ogromnie; nie z wielką ochotą z ojcem przyjechała i mocno się jej chciało jechać napowrót do domu, w którym i odpowiednie wiekowi swemu towarzystwo znajdowała i ze strony starszych nadzwyczajnej uprzejmości doznawała i tysiące ciekawości widziała. Dosyć wymienić komornika, co żywcem myszy łapał. Jeden z młodych Oleckich klatkę zrobił. Franusia myszy do klatki zamknęła i zaprowadziła gospodarstwo, które ją zajmowało w stopniu najwyższym. Rozpoczynała właśnie hodowlę myszy na wielką skalę, kiedy ją ojciec do Ohrebyszcz zabrał. Powierzyła dozór nad takową panu Ludwikowi i ciągnęło ją do Frasoblówki, jeżeli nie dla czego innego, to dla czuwania nad dobytkiem tak interesującym. Ojciec perswadować jej musiał, żeć to przecie niedorzeczność. Franusia racyj ojcowskich nie uznawała, dąsała się, płakała, chimerowała. Dyskusye, jakie pan Kacper z powodu tego staczać musiał, wracały mu trzeźwość sądu, którą, skutkiem żalu wielkiego, postradał był prawie.

W żalu wszakże nie ustawał—i dużo trzeba było cza-

http://rcin.org.pl

sn' ażeby pozwolił matce następujące wyrzec do siebie słowa:

— Smutek taki, to bo i nie przystoi nakoniec...

— A cóż ja temu poradzę!... Nie smucę się niby; gdy przypomnę sobie jednak Kasię, jaką ona dla mnie była... jak to ona za mną pobiegła, w jakim stanie do Odessy przyszła, jak za mną światu nie widziała (kochała)... to tak mi się serce ściska, że... a!... Czyżby się znalazła druga taka!...

— Eeej!...—matka na to, ręką machając.—Nie obrażaj Pana Boga... a raczej pomyśl, że tak jak jest pozostawać nie może...

— Jak nie może?...—zapytał.

— Wdowcy się żenią...

— Mamo...—zaczął pan Kacper tonem uroczystym.

— Kacprze!...—przerwała staruszka, kładąc palec na ustach.—Cyt!... Ani słowa!... Albo powiesz coś takiego, czego będziesz potem żałował, albo zrobisz gorzej jeszcze: postanowisz i postanowienie złamiesz...

Kacper znów chciał coś powiedzieć, lecz mu matka znów przerwała:

— Człowiek człowiekiem...—rzekła.—Dola dolą... Nie godzi się doli własnej w poprzek stawiać słowo... Franusi przydałby się braciszek jeden, drugi, przydałaby się jej i siostrzyczka...

— Co to, to nie!...—zawołał Kacper.

Matka mu dłonią usta zasłoniła.

Że się „wdowcy żenią“ o tem i w okolicy gadano, i nie jeden z tych co Kacpra odwiedzali, nasuwał mu zdaleka, bądź jakąś wdowę, bądź jakąś pannę, wynosząc jej cnoty i dając do zrozumienia, że cnoty owe są do wzięcia. Kacper nie poznawał się na tem.

Począł jednak ważyć w umyśle słowa, przez matkę

http://rcin.org.pl

wyrzeczone. I byłby je ważył lata całe, gdyby nie okoliczność jedna. Słowa te same powtórzyła księżna.

Księżna wezwała go do siebie razu pewnego. Samo wezwanie osobliwością było. Nie zdarzało się to nigdy. Pan Kacper pośpieszył i zastał wdowę książęcą ze śladami łez na policzkach. To go tknęło w sposób rozrzewniający.

— Siadaj, panie Kacprze...

Ukazała mu ręką fotel obok kanapy, którą zajmowała.

Kacper usiadł. Księżna, pomyślawszy chwilkę, zaczęła:

— Czy nie przychodzi ci kiedy, panie Kacprze, na myśl, że człowiek każdy powinien ofiarę z siebie czynić?...

— Ofiarę?...—zapytał tonem zdziwienia.

— Ach! ofiarę...—odrzekła.—Raz świat, znów położenie, wymagają od nas poświęcenia osoby własnej... To się nazywa ofiarą... ofiarą z osoby własnej, bywają bowiem ofiary i inne, z czasu naprzykład, albo z majątku, albo z czegoś co nam przyjemność sprawia... Niektórzy, na ofiarę, wstrzymują się od jedzenia poziomek lub brzoskwiń... Niektórzy, na ofiarę, poszczą i suszą... Niektórzy, na ofiarę, odmawiają pewną ilość pacierzy, klęczą, lub krzyżem się kładną... Mnóstwo jest rodzajów ofiar, wszystkie są piękne, lecz najpiękniejszą jest ofiara z samego siebie, z osoby własnej... Nie prawdaż, panie Kacprze?...

— Prawda, mościa księżno...

Nastąpiła chwilka milczenia, w ciągu którego pan Kacper myślał o księżnej, przebywającej w pałacu krasiłowieckim dla księcia Godfryda. Zdawało mu się, że po tem co księżna powiedziała, oczy mu się otworzyły na ofiarę, spełnioną w sposób najszczytniejszy. Komuż, nie znającemu tych tajemnic, które my znamy, takby się nie zdawało!

Po chwili księżna zapytała:

— Czybyś ty nie gotów był, zrobić ofiary z siebie?...

http://rcin.org.pl

W ciągu zapytania tego, przesunął się jej przez usta uśmiech ironiczny.

Kacper westchnął, ust nie otwierając, ramionami ścisnął i odparł:

— W jakim celu, mościa księżno?... dla kogo?...

— Dla... dziecka twego...

— O!... dla Franusi jam gotów na wszystko!...—zawołał.

— Pozostała bez matki... Podrasta... Potrzebuje pieczołowitości kobiecej; potrzebuje wychowania, odpowiedniego stanowisku w świecie, jaki jej nadaje majątek ogromny... Wyrośnie... będzie potrzebowała czuwania życzliwego nad pierwszemi krokami, jakie w świecie postawi... Czyś ty myślał o tem wszystkiem?...

— Nie, mościa księżno... nie...—odparł Kacper jąkając się, jakby w zmieszaniu. Ja tylko myślałem o tem, że, po stracie nieboszczki mojej, nie byłbym w stanie znaleźć sobie żony odpowiedniej...

— A gdyby się ona znalazła sama?...

— Nie... Przyznam się przytem, że ten mój majątek, jest to majątek nie mój, ale nasz wspólny, to jest nieboszczki i mój... to jest: dziecka naszego, Franusi... Gdybym się przeto ożenił, a Bóg dał dzieci...

— A gdyby była ta pewność, że dzieci nie będzie...

— A!...—zaczął Kacper i uciął.

— Zaufałbyś mi pod względem wyboru kobiety na matkę dla twojej córki?...

— Mościa księżno!...—odparł Kacper.

— Chodzi tu nie o żonę dla ciebie, ale o matkę dla Franusi... Zaufałbyś mi?...

— Prędzej aniżeli komu innemu...

— Prędzej aniżeli sobie samemu?...

— Może...

http://rcin.org.pl

— Zadałam ci ostatnie to pytanie dla tego, że ty sam jesteś w tym względzie, jak człowiek z oczami zawiązanemi... Gdyby ci dano do odgadywania w tysiącu, to niezawodnie omyliłbyś się razy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć... Ja zaś, wybieram na pewne...

— Wasza książęca mość—podchwycił Kacper—w taki przemawia sposób, jakby miała już kogo... na matkę dla Franusi... upatrzonego...

— Mam...

— Jeżeli zapytać wolno... kogo?...

— Kobietę od ciebie o lat kilka starszą, wytrawną, doświadczoną, w świecie obytą, świetnie wychowaną, kobietę, co przeszła przez szkołę nieszczęść i umiała nieszczęściu wierną pozostawać... wdowę po księciu Godfrydzie Gamajdzie...

— Co!...—zawołał Kacper, podnosząc ręce i cofając się ciałem w głąb fotelu. Wa-sza ksią-żę-ca mość?...

— Masz mi co do zarzucenia?...—zapytała księżna tak spokojnie, jakby chodziło nie o nią samą, ale o kogoś trzeciego, zupełnie obojętnego.

— Do zarzucenia?... a!... chybabym ślepym był... Ale jabym o tem nigdy pomyśleć nie śmiał...

— Spodziewałam się tego i nie czekałam aż sam pomyślisz...

— Ależ to... ze strony waszej książęcej mości... wielka... wielka... ofiara!...

— Ofiara... tak... nie przeczę... Ofiara konieczna... dla uregulowania pozycyi mojej w twoim domu, w którymbym dłużej pozostawać nie mogła inaczej, jak twoją... żoną... Biorąc przeto rzecz z innej strony, przedstawia się ona tak: albo mnie musisz wydalić... wypędzić, albo też, ofiarę moją przyjąć... No... wypędzaj!...

http://rcin.org.pl

— Nie, mości księżno...—odparł Kacper, dłonie zbliżając, jak do złożenia.

— A więc.. robisz ofiarę z siebie i przyjmujesz ofiarę moją.

Podała mu rękę z książęcą powagą. Kacper rękę jej ucałował.

— Trzeba to zrobić bez hałasu... pocichu...—dodała— za indultem, nie uprzedzając nikogo i nie opowiadając się nikomu... Po ślubie wyjedziemy, z Franusią, na miesięcy kilka, dla dania ludziom czasu do wygadania się... Przystajesz na to?...

— O, mościa księżno!...—odparł, powtórnie ją w rękę całując.

— Zostawże mnie teraz samą... Pomodlę się, ażeby Bóg moją i twoją ofiarę przyjąć i pobłogosławić raczył...

Kacper, ucałowawszy jej rękę raz jeszcze i powiedziawszy, że to na niego niby z nieba spadło, wyszedł. Księżna przechyliła się na kanapie, głowę na łokieć opuściła i płakać poczęła. Płakała długo. Wstała następnie, i chodząc po pokoju, łzy co chwila sobie obcierała. Usiadła wreszcie przed biórkiem, na którem leżał otwarty list podkomorzyny, wzięła list ten do ręki i czytała. Podkomorzyna pisała:

„*Ma princesse, ma fille chérie.—Il y a des moments, où il faut réunir tout son courage pour pouvoir dire un mot, un seul mot. Je me trouve dans un moment pareil. J'ai à te faire part de l'inspiration soudaine qui m'est venue d'en haut, lorsque, hier, agenouillée devant l'autel, j'ai supplié la Mère de Dieu de m'envoyer un rayon de consolation. Tout d'un coup, au milieu de la prière fervente, j'ai tressailli. J'ai senti le rayon descendre sur moi.*

„*Il y a, ô ma fille chérie, un sacrifice à faire, le plus grand le plus éclatant, le plus sublime. La mère de Dieu a bien consenti à devenir femme d'un simple charpentier. Princesse! épouse Kacper—épouse-le! La Providence qui arrange les choses d'ici-bas te*

montre la voie. Ella a écarté la grosse, afin que tu puisses, en marchant sur les traces de Celle qui nous sert d'exemple suprême, te rendre digne d'Elle, en accomplissant un sacrifice suprême".

Listu tego ciąg dalszy podam w tłumaczeniu. Jak się pokazuje, księżna tak samo, jak w liście na początku rozdziału poprzedniego przytoczonym, domagała się usilnie tego, ażeby ją matka wzięła do siebie, podkomorzyna bowiem pisze tak:

„To co było trudnością nieprzezwyciężoną, jest dziś niepodobieństwem absolutnem. Wyobraź sobie! jestem okradzioną, haniebnie okradzioną. Posyłam do banku po pieniądze; przysyłają mi nie pieniądze, ale długi rachunek jakiś, który, jak Karol powiada, znaczy, że nie mam nic. Osłupiałam. Bo i jakżeby to być mogło, ażebym ja nic nie miała! Karol.... *il s'est mis à siffler.* Kazałam Grochiewiczowi podać na bank zaskarżenie o kradzież, ale Grochiewicz odpowiedział mi w sposób hardy (*d'une manière insolente*), z czego poznałam, że istnieje przeciwko mnie zmowa. Grochiewicz z bankierami *sont des compères.* Udałam się do Gubernatora, powiedział że nie ma rady; kogo zapytam, to samo odpowiada. Wyraźnie sprawiedliwość nie istnieje na świecie. Spuścizna po ś. p. rodzicach moich, fundusz święty— jak ludzie ci ośmielili się wyciągać poń rękę świętokradzką! Wówczas to, w rozpaczy, pobiegłam po pociechę do tej, co jest pociech wszelkich źródłem, i Ta zesłała mi promień, który mnie natchnął.

„Księżno moja! Nie jestże to wyraźne zrządzenie Opatrzności? *Tu t'humilies pour te relever ensuite.* Drogą ofiary wracasz, jeśli nie do posiadania, to do używania fortuny ojców twoich. Zadziwiające są drogi, któremi Najwyższy sprawy świata tego prowadzi. Człowiek ten, co majątek nasz zagarnął, ma dziewczynę, córkę, spadkobierczynię je-

http://rcin.org.pl

dyną. *Eh bien*, głos jakiś proroczy powiada mi, że ta istotka stanie się narzędziem restytucyi za sprawą twoją. *Charles est là.* Księżno moja! westchnij do Matki Bożej o pomoc, zrób wysiłek, spełń ofiarę najwyższą i najszczytniejszą, jaką kobieta spełnić może. Mówiłam o tem z Karolem. Karol natchnienie moje nazywa kombinacyą genialną. Karol mężczyzna—mężczyzni nie pojmują uroku ofiary.

„Nie piszę dłużej. Wszystko o czembym pisać mogła, wydaje mi się tak małem, tak mizernem w obec ofiary, do której powołaną jesteś, że doniosę ci tylko, iż pani Zahalnicka z domu Dębska, przyjechała do Odessy na kąpiele w morzu i że hr. S.... żeni się z żydówką. Bądź zdrowa, bądź odważna, zaczerpnij siły w modlitwie, spełń ofiarę i kochaj matkę twoją, która się czuje bardzo nieszczęśliwą. Kochająca cię czule

„Klara z hr. Zapamiętalskich hr. Kostrzewicka.“

Księżna, odczytawszy po raz zapewne dziesiąty list ten, odpisała:

„Stało się. Ofiara spełniona. Indywiduum wychodzi właśnie odemnie, przekonane, że dostaje w osobie mojej małżonkę, będącą doskonałością skończoną, i *par conséquent*, zachwycone, tak zachwycone, że musiałam mu powiedzieć, ażeby szło sobie precz. O! musiałam walczyć ze sobą. Rozwinęłam jednak krasomówstwo całe, utrzymując je na poziomie pojęć przyszłego mego i kochana mama będzie miała tę pociechę, że natchnienie j ej ubierze się za tygodni parę w kości i ciało księżnej, skojarzonej węzłem małżeńskim z lokajem. Przypominam sobie, kiedy o uksiążęcenie moje pertraktacye się toczyły, miałam wielką ochotę dać się wykraść młodemu chłopcu, ozdobion emu romantycznem imieniem Gustawa. Co za szczęście, że do tego nie przyszło! Nie byłoby, ani natchnienia mamine go, ani ofiary mojej.

Otoczona tuzinem dzieci, łamałabym sobie głowę nad poziomościami różnemi, nie mając czasu o ofierze pomyśleć nawet. O! cóż to za szczęście! Wyraźne Opatrzności zrządzenie. Śmiać mi się jednak chce. O ile bowiem rozumiem całą szczytną podniosłość ofiary, wypływającej z natchnienia maminego, o tyle, z drugiej strony, czuję to, co, wyobrażam sobie, uczuwać musi londyński pick-pocket po dokonaniu arcydzieła w zawodzie swoim. Udało się. Dumną jestem. Miłości mojej własnej pochlebia to całopalenie, jakie czynię z mitry książęcej. Cieszy mnie niewymownie, że Karol znajduje natchnienie mamine genialnem. Powiedz mu, mamo, niech liczy na mnie. Pomogę mu z duszy i ze wszystkich sił moich do odzyskania, drogą ofiary, spuścizny ojców, a pomogę mu do tego chociażby nie dla czego, jeno dla tego, ażeby na drodze tej osamotnioną nie być. *Cela s'arrangera.* Przecież matką zostaję, mamo kochana! Jestto jednak rzecz późniejsza. Córka moja, którą, mówiąc nawiasem, Oleccy już obsaczyli (Olecka nie taka gąska, jak się zdawało, umie bowiem z myszy nawet użytek zrobić), ma lat jedenaście dopiero. Na teraz, program taki: za dwa tygodnie, ślub cichy; po ślubie wyjazd za granicę; następnie, co się zdarzy. Mój lokaj—*pardon!*—mąż, zgadza się na wszystko. *C'est un mouton qui se laissera conduire.*

Zaczynając list ten, czułam w sobie ogromny na duchu upadek; kończąc, czuję w sobie sił i energii mnóstwo. Powiesz zapewne, mamo kochana, że to dzieło łaski bożej. Być może. *Je ne dirai pas non, après la conversation avec le bonhomme, dans laquelle j'ai débité un tas des balivernes, à faire l'admiration d'un Molière ou d'un Beaumarchais. J'ai joué mon rôle en perfection—rôle bien difficile, croyez m'en, d'une sacrifiée demandant un sacrifice.* Ale stało się. Kończę list, bo śmiech mnie zbiera. Płakałam dziś ranek cały.

http://rcin.org.pl

„Natchnienie twoje, mamo, jest arcydziełem!

„Ściska cię, mamo kochana, jak najserdeczniej córka twoja,

„Księżna (jeszcze) Ludwika Gamajda".

Spełniło się wszystko wedle programu, który księżna w liście do matki skreśliła. Ksiądz Celowicz osłupiał, gdy go wezwano do wiązania stułą rąk księżnej i Kacpra. Nowożeńce brali ślub na poczekaniu. Kareta podróżna czekała na nich przed kościołem; wzięli ślub, odeszli od ołtarza, wsiedli i pojechali we czwórnasób: dwoje państwa Mędzińskich, panna Mędzińska i Weronika. W okolicy nikt ani się domyślał niczego. Najpierwszy dowiedział się o tem ksiądz Celowicz, który dawszy ślub, długo jeszcze trzymał indult w ręku, odczytując go przez okulary i zapytując siebie, ażali ślub ów nie jest snem na jawie, złudzeniem, lub też—kto wie—figlem złego ducha. „Kto wie"...—powiadamy i my, z naszej strony.

Wiadomość ta sprawiła wrzawę w okolicy.

„Zakotłowało"—jak to mówią.

Wielkiem było zdziwienie, większą atoli pretensya.

Okazya—weselisko, zręczność taka dobra dla kucharza popisania się z wieczerzą cukrową—spełzła na niczem. Przypisywano winę księżnej.

— Ona to sprawiła!... Wielka pani... fumy!... Nieboszczka poczciwa, gdyby jej okazya podobna w ręce wlazła, byłaby i ugościła i sama podjadła... Szkoda, wielka szkoda tamtej... Ta Mędzińskiego osiodła i czort wie co z niego zrobi... chociaż bowiem i ona nie bez zalet i wielkich, ale to nie dla niego para....

Za zaletę poczytywano jej posterunkowanie w pałacu krasiłowieckim. Uważano to za poświęcenie, równie jak za poświęcenie uważano wyjście za Kacpra. Z powodu te-

http://rcin.org.pl

go podzieliły się w okolicy zdania. W mniemaniu jednych większem było poświęcenie tamto, w mniemaniu drugich to ostatnie. Zgadzano się atoli powszechnie na to, że księżna „czort wie co“ z Kacpra zrobi.

— Zobaczycie... — powiadano. — Jeżeli oni powrócą z zagranicy za lat pięć i jeżeli nie puszczą z dymem Krasiłowiec i Ohrebyszcz, to chyba że cud się jaki stanie...

Nie wiem czy cud stał się jaki. Państwo Mędzińscy jednak powrócili nie za lat, ale za miesięcy pięć.

Kiedy wiozące ich kareta podróżna pokazała się na trakcie, koło figury, tak, że ją z dworu rozpoznać było można, na ganek—na ten sam ganek, na którym widywaliśmy podkomorzego czasu onego—wyszedł jegomość jakiś, z fajką na długim w piękny bursztyn ozdobionym cybuchu w ręku, w paletocie z szarego sukna, z bakembardami *à l'anglaise*, z wąsami wpadającemi w bakembardy, z wahającym się mu na piersiach lornionem, wyszedł, stanął i przypatrywał się spokojnie powozowi zbliżającemu się powoli. Na twarzy jego błąkał się uśmiech samozadowolnienia. Naciągał sobie palcami od czasu do czasu bakembardy i pociągał dym z cybucha. W skutek tego nad czołem jego, ozdobionem wpół łysiną, wałęsały się obłoczki sinawe, czyniąc effekt wcale niczły, pod względem malowniczości postaci, przedstawiającej szlachcica polskiego, zreformowanego wedle mody zachodniowca. Przytem jegomość ów wyobrażał spokój zupełny. Jak spokojnie stał, kiedy pojazd ukazał się pod figurą, tak się spokojnie zachował, kiedy kareta przed gankiem się zatrzymała i sług kilkoro poskoczyło do drzwiczek w celu spotykania państwa.

Państwo Mędzińscy wysiedli. Zdawali się być podróżą mocno znużeni.

Pani, w podróżnej ale świeżej i gustownej toalecie,

http://rcin.org.pl

szła przodem, i spotkawszy się na ganku z jegomością, wydała okrzyk:

— A!...

Jegomość głową jej z uśmiechem kiwnął.

Pani, rękę mu podawszy i nadstawiwszy policzek, który on pocałunkiem musnął, udała się w głąb domu.

Pan Kacper, ujrzawszy go, cofnął się i w oczach zamigotało mu zmieszanie. Widocznem było, iż nie wiedział co robić, witać czy nie. Jegomość, pod względem spokoju, zachował nieodmienność zupełną i zdawał się nawet bawić kłopotem gospodarza domu. Wreszcie ten ostatni wziął przed się postanowienie. Wszedł do wnętrza domu, nie powitawszy jegomościa i nie przemówiwszy do niego ani słowa.

Tego nie obeszło to wcale. Zwrócił się do Franusi, która, zoczywszy nieznajomego, zatrzymała się przed nim.

— Nie poznajesz mnie?...—zapytał.

— Niee...—odparło dziewcze przeciągle.

— Nie widziałaś mnie nigdy?...

— Nigdy...

— Ani przez sen?...

— Nie pamiętam...

Dygnęła i przeszła mimo.

Jegomość zwrócił się powoli i udał się do wnętrza domu, biorąc się w sieni na prawo, to jest, na stronę, po której znajdowały się salony i kobiece apartamenta.

W kierunku tym samym udała się i eks-księżna, obecnie pani Mędzińska. Gdy na próg salonu wstąpiła, wydała okrzyk: ach!

Okrzykowi temu odpowiedziało „ach!“, wygłoszone przez kobietę w wieku podeszłym, wyglądającą bardzo poważnie, a ubraną w jedwabne materye koloru ciemnego.

http://rcin.org.pl

Biło od niej coś imponującego, wielkopańskiego, poszanowanie nakazującego.

— Mama!...—krzyknęła pani Mędzińska.

— Księżna!...—odkrzyknęła podkomorzyna (ona to bowiem była).

Rzuciły się obie w objęcia, wśród których eks-księżna odezwała się:

— Nie księżna już, niestety!... nie księżna.... ofiara...

— O! ty dla mnie—odparła podkomorzyna—księżną pozostaniesz na zawsze... księżną, wieńcem ofiarnym ukoronowaną...

— Lecz cóż ciebie, mamo, sprowadziło?... Wiedziałaś, żem do wód pojechała, ale nie wiedziałaś kiedy powrócę... Cóż cię sprowadziło?...

— *Les recors m'ont enlévé tout...* Donosiłam ci o kradzieży... Nie skończyło się na tem... Okradziono mnie najprzód, obdarto następnie... Mam sumienne przekonanie, że wszystkiego tego sprawcą głównym jest Grochiewicz...

— Ten taki usłużny, mamo kochana?... ten sam, co tak dobrze, jak mi w swoim donosiłaś czasie, prowadził sprawę o oddanie Kacpra na galery?...

— Ten sam... Ach! co to za niegodziwiec... Mam, powiadam ci, to sumienne przekonanie, że to on mnie zdewalizował... Podawałam na niego skargę... Ale... sprawiedliwość?... o!... Ach! jak świat głęboko zepsuty... Ach! jacy ludzie źli... Sprawiedliwości nie masz, jeno... tam...

Wzniosła oczy do góry.

Wtem wszedł jegomość, któregośmy na ganku widzieli, jegomość, który był nie kim innym, jeno panem Karolem.

— Boczy się...—rzekł, stając przed paniami.

http://rcin.org.pl

— Ujeździ się...—odrzekła od niechcenia eks-księżna, rzucając na brata spojrzenie ukośne.

— Wyobraź sobie...—zaczęła matka—przyjechaliśmy tu budką żydowską... Ach! co za podróż...

— Okropność!...—krzyknęła pani Mędzińska.

— Padłam ofiarą złości, przewrotności, niesprawiedliwości ludzkiej i gdyby nie ofiara twoja...

Eks-księżna się uśmiechnęła.

— To miałem już zamiar zaofiarować się na kontrabandzistę...—dokończył pan Karol tonem żartobliwym.

— Karol bierze rzeczy ze strony śmiesznej...—podchwyciła podkomorzyna.—Lecz, *ma foi*, śmiesznie bynajmniej nie było... Przyszło mi jednak natchnienie... Jedźmy do Ohrebyszcz!...

— Natchnienie mamine świetnem było...—odrzekł podkomorzyc.—Ale, jeżeli jegomość dalej boczyć się zechce, albo, co gorzej, przyjdzie mu fantazya powiedzieć mnie i mamie, lub też nie mamie ale mnie: *videz la place*, to i to natchnienie i natchnienie tamto mogą nie doprowadzić do kosztowania z ofiar tylu owocu... Trzeba zawczasu karty utasować...

— Ah!... ah!...—odparła pani Mędzińska tonem lekceważenia.

— Hm...—odezwał się pan Karol.—Ja myślę, że niebyłoby najgorzej, nie chwalić się tem, że straciliśmy wszystko i w końcu nas sfantowano... Rzeczy podobne sprawiają na ludziach effekt fatalny... Niech mama powiada lepiej, że sprowadziło ją do Ohrebyszcz przywiązanie nieprzezwyciężone do córki i tęsknota za nią, że mama zrobiła z siebie, dla przywiązania i tęsknoty, ofiarę... *Ça sonne bien... L'engeance humaine est bête...* Trzymać się więc należy tej drogi do końca...

http://rcin.org.pl

— Nie możesz się pozbyć kostyczności w najważniejszych momentach...—zauważyła matka.

— Karol ma racyę...—podchwyciła córka.

— Cóż powiesz ty?...—zapytała podkomorzyna syna.

— Powiem to, co od lat czterdziestu, jeśli nie więcej, mówi komornik we Frasoblówce... Wymyślę sobie pilny jakiś interes i będę się wybierał tak długo, aż wyrośnie ta, co ma być, wedle natchnienia maminego, narzędziem restytucyi fortuny przodków moich... Wówczas zobaczymy...

To rzekłszy, począł pan Karol po salonie chodzić, panie zaś toczyły dalej rozmowę, której nie przytaczamy, z powodu, że treść, acz interesująca, nie nadaje się atoli do zaokrąglenia opowiadania.

Do zaokrąglenia nadaje się co innego.

Kacper przeszedłszy bez powitania mimo szwagra, udał się do apartamentu swego i usiadł. W chwilkę po nim weszła stara Mędzińska i usiadła naprzeciw syna. Nie mówili do siebie nic, a jednakże toczyła się pomiędzy niemi rozmowa, która się odbywała w sposób następujący. Co syn oczy na matkę podniósł, to ta głową kiwała. Co matka oczy na syna podniosła, to ten głową kiwał. Trwało to z pół godziny W końcu Kacper wstał i westchnął:

— Ha!...

Stara wstała, westchnęła i odeszła.

Kacper poszukał w biórku, wydobył papier jakiś, zapisany w ten sposób w jaki się piszą kwity, i położywszy papier ów na wierzchu, zawołał na lokaja.

— Pójdź—rzekł—poproś do mnie pana Karola...

Pan Karol nie dał na siebie długo czekać. Wkroczył z miną spokojną i uśmiechniętą, i podając szwagrowi rękę, uścisnął dłoń jego z akcentem wyrazistym. Rzucił okiem na papier, uśmiechnął się i odezwał:

http://rcin.org.pl

— Ja do ciebie nie mam i rościć nie myślę pretensyj żadnych, najmniejszych... Nie zachodzi pomiędzy nami nic i nic nie zajdzie...

— Tem ci lepiej...—odrzekł Kacper nieco ponuro.

— Zostałeś moim szwagrem; przyjechałem odwiedzić siostrę... Zdaje się, tego brać mi za złe nie możesz?...

Kacper giestem dał odpowiedź potakującą.

— I że mi drzwi nie pokażesz?...

— O tem ani myślę...

— A więc?...

— Pragnę jeno zastrzedz się... przeciwko... przeciwko... przeciwko...

Biedny Kacper nie mógł znaleźć wyrazu stosownego. Pan Karol podchwycił:

— Przeciwko mieszaniu się do interesów twoich... Przeciwko mieszaniu się do stosunków pomiędzy tobą a żoną... O! co do tego, bądź spokojny... Najprzód, ja tu miejsca długo nie zagrzeję... Mam interesa... Powtóre, jeżelim przyjechał, to, pomijając widzenie się z siostrą, w tym głównie celu, ażeby sprowadzić jakieś w familii zbliżenie... Matka moja miała jakiś tam żal do ciebie; ty miałeś jakiś tam żal do niej... To przecie ustać powinno... Czy nie tego jesteś zdania?...

— Czyż mógłbym być innego!...—odparł zapytany.

— Chodź więc... Chodźmy razem...

Ujął Kacpra pod ramie i Kacper dał się poprowadzić.

Nie było bo zresztą co innego do robienia!

Wkroczyli razem do salonu.

Podkomorzyna na widok zięcia doznała lekkiego wstrząśnienia nerwowego, które wnet ustąpiło miejsca powadze spokojnej a uroczystej.

— Przyprowadzam mamie kochanej i przedstawiam—

http://rcin.org.pl

zaczął pan Karol tonem nastrojonym, zarywającym lekko na żartobliwy—pana Kacpra Mędzińskiego, małżonka szczęśliwego księżnej pani, ukochanej córki maminej... Pan Kacper pragnie być przypuszczony do ucałowania ręki maminej...

Ujął rękę podkomorzyny i podstawił takową pod usta Kacprowe. Kacper złożył na niej pocałunek.

Podkomorzyna się odezwała:

— Pan Kacper, spo dziewam się, potrafi ofiarę księżnej ocenić...

— Pani...—była Kacpra odpowiedź.

— Boć, że to jest ofiara, wielka, nadzwyczajna, niezrównana ofiara, to cały świat przyzna... Pan Kacper temu nie zaprzeczy... Dalej, na drodze ofiary, zajść nie sposób... Pan Kacper to oceni i czuć będzie wdzięczność tak dla tej kobiety, co nazwisko jego wzięła, jak dla tej, co, czuwając nad jej dzieciństwem i wychowaniem, do takiego zaparcia się siebie samej przysposobiła... Jest tu ofiara księżnej, jest oraz i ofiara moja...

— Amen...—rzekł pan Karol.

I rozpoczęło się pożycie małżeńskie dwojga ludzi, którzy się znali oddawna, którym jednak nigdy ani się śniło, ażeby los mógł ich węzłem małżeńskim skojarzyć. Przyszło to... na drodze ofiarnej, będącej, wedle mniemania naszego, drogą fantastyczną, równoległą do drogi obowiązków. Równoległość, jak każdemu z matematyki wiadomo, to sprawia, że się te drogi zejść nie mogą. Pierwsza prowadzi w krainę fantazyi i doprowadza może do królestwa niebieskiego—nie wiem—to rzecz nie moja: jest to rzecz, której teologowie, nie zaś powieściopisarze dowodzić mają; druga idzie po ziemi, po twardym gruncie, ma cel wytknięty, do którego kroczących po niej prowadzi, ma prawa wyraźne

http://rcin.org.pl

od zboczeń broniące i przedstawia tę korzyść bardzo ważną, że z logiką pozostaje w zgodzie. Zdaje nam się, że na tej drodze ostatniej nie mogłyby się nawiązywać awantury i zdarzenia, z których wykluło się stadło, tak niedobrane jak księżna i Kacper.

Biedny Kacper!

Biedna Franusia jego!

Sąsiedzi, poinformowani zwykle dobrze o tem, „jak kto siedzi“, o Kacprze powiadali, że padł ofiarą. Nam zaś zdaje się, że powiedzenie to właściwiej zastosowaćby należało do jego dziecka, które się dostało w ręce macoszyne... straszliwie macoszyne! Nie możemy jednak rozpisywać się już o tem. Dodamy tylko, że ta rozmowa pomiędzy matką a synem, którąśmy podali powyżej, powtarzała się od czasu do czasu, w odstępach nieregularnych. Stara Mędzińska siadała naprzeciw Kacpra i kiwali do siebie głowami. Rozmowa ta powtarzała się tak długo, aż staruszka umarła. Od chwili tej Kacper kiwał głową sam do siebie i powiadał:

— Ofiara kością mi w gardle stoi!...

Słodkiem musiało być pożycie jego. A!...

KONIEC.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F.
1257